

The book cover features a dark, atmospheric illustration. On the left, a large tree trunk is covered in a complex, grotesque pattern of faces and skulls, some appearing to be carved into the bark. The colors are muted greens, browns, and greys. On the right, a young girl with long blonde hair in a ponytail, wearing a blue jacket and dark overalls, stands in a misty, shallow body of water. She is looking away from the viewer towards the background. The overall mood is mysterious and unsettling.

STEPHEN  
KING

Dziewczyna, która kochała  
TOMĄ GORDONA

ALBATROS

STEPHEN  
KING

Dziewczyna, która kochała  
TOMA GORDONA

Z angielskiego przełożył  
KRZYSZTOF SOKOŁOWSKI

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

WEEKENDOWA RODZINNA WYPRAWA, KTÓRA ZAMIENIA SIĘ W SAMOTNĄ WĘDRÓWKĘ PRZEZ PEŁEN ZAGROŻEŃ  
LAS.

Dziewięcioletnia Trisha podczas wycieczki z mamą i bratem zbacza z trasy i gubi się w lesie. Stara się nie wpadać w panikę i myśleć racjonalnie.

Niestety, każdy kolejny krok oddala ją od cywilizacji. Tylko dzięki walkmanowi i słuchaniu transmisji z rozgrywek baseballowych zachowuje jakikolwiek kontakt ze światem. A drużyna Red Soxów właśnie rozgrywa ważny mecz, którego losy zależą od ulubionego zawodnika Trishy, Toma Gordona.

W głowie dziewczynki rodzi się pewna myśl: „Jeśli wygramy, jeśli Tom uratuje grę, ja też zostanę uratowana”.  
I mimo głodu, pragnienia i strachu Trisha rozpaczliwie się jej trzyma.

## STEPHEN KING

Wybitny amerykański pisarz, nazywany Królem Horroru, został w 2003 r. uhonorowany prestiżową nagrodą literacką National Book, a w 2015 r. odebrał z rąk prezydenta USA National Medal of Arts. Światową sławę przyniosła mu powieść **Carrie**. Kolejne utwory – powieści, opowiadania i komiksy – opublikowano w setkach milionów egzemplarzy i przełożono na kilkadziesiąt języków. Są wśród nich tak znane książki jak: **Lśnienie**, **Sklepik z marzeniami**, **Bastion**, **Zielona Miła**, **Dolores Claiborne**, **Komórka**, **Uciekinier**, **Czarna bezgwiazdna noc**, **Cujo** i ośmiotomowy cykl fantasy **Mroczna Wieża**, na podstawie którego powstał film z Matthew McConaugheyem i Idrisem Elbą w rolach głównych. W 2017 r. swoją premierę miała pierwsza część ekranizacji jednej z kultowych książek Kinga, **To**, a w 2019 r. na ekrany kin weszła druga część tego świetnie przyjętego przez widzów filmu, pt. **To: Rozdział 2**.

Pod pseudonimem Richard Bachman King opublikował siedem powieści.

Stephen King nieustannie szuka nowych literackich wyzwań. Do jego dorobku obejmującego powieści z gatunku horroru i fantastyki dołączyły kryminały z trylogii z detektywem Billem Hodgesem, do której należą książki: **Pan Mercedes**, **Znalezione nie kradzione** i **Koniec warty**.

[stephenking.com](http://stephenking.com)

*Tęgo autora w Wydawnictwie Albatros*

ROSE MADDER  
DOLORES CLAIBORNE  
GRA GERALDA  
DESPERACJA  
REGULATORZY  
SKLEPIK Z MARZENIAMI  
BEZSENNOŚĆ  
ZIELONA MILA  
MARZENIA I KOSZMARY  
KOMÓRKA  
CZTERY PO PÓŁNOCY  
CHUDSZY  
TO  
BASTION  
OCZY SMOKA  
PO ZACHODZIE SŁOŃCA  
CZTERY PORY ROKU  
UCIEKINIER  
CZARNA BEZGWIEZDNA NOC  
CUJO  
PODPALACZKA  
ROK WILKOŁĘKA  
MROCZNA POŁOWA  
WOREK KOŚCI  
DZIEWCZYNA, KTÓRA KOCHAŁA TOMA GORDONA  
NOCNA ZMIANA  
ŁOWCA SNÓW  
OSTATNI BASTION BARTA DAWESA  
UNIESIENIE  
INSTYTUT  
PÓŹNIEJ

Stephen King, Richard Chizmar

PUDEŁKO Z GUZIKAMI GWENDY

OSTATNIA MISJA GWENDY

***Trylogia PAN MERCEDES***

PAN MERCEDES

ZNALEZIONE NIE KRADZIONE

KONIEC WARTY

***MROCZNA WIEŻA***

ROLAND

(oraz SIOSTRZYCZKI Z ELURII)

POWOŁANIE TRÓJKI

ZIEMIE JAŁOWE

CZARNOKSIĘŻNIK I KRYSZTAŁ

WIATR PRZEZ DZIURKĘ OD KLUCZA

WILKI Z CALLA

PIEŚŃ SUSANNAH  
MROczNA WIEŻA

***Powieści graficzne MROczNA WIEŻA***

NARODZINY REWOLWEROWCA

DŁUGA DROGA DO DOMU

ZDRADA

UPADEK GILEAD

BITWA O JERICHO HILL

POCZĄTEK PODRÓŻY

SIOSTRZYCZKI Z ELURII

BITWA O TULL

PRZYDROŻNY ZAJAZD

CZŁOWIEK W CZERNI

***Wyłącznie jako audiobook i e-book***

Stephen King, Joe Hill

W WYSOKIEJ TRAWIE

Stephen King, Stewart O'Nan

TWARZ W TŁUMIE

Tytuł oryginału:  
THE GIRL WHO LOVED TOM GORDON

Copyright © Stephen King 1999  
All rights reserved  
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022  
Polish translation copyright © Krzysztof Sokołowski 1999

Projekt graficzny okładki: Sławomir Rybka

ISBN 978-83-6742-609-1



**ALBATROS**

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
wydawnictwoalbatros.com  
tel:691962519

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu EPUB oraz MOBI  
Katarzyna Rek

**woblink**

[woblink.com](https://www.woblink.com)

# Spis treści:

[Okladka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[CZERWIEC 1998](#)

[Rozgrzewka](#)

[Pierwsza rozgrywka](#)

[Druga rozgrywka](#)

[Trzecia rozgrywka](#)

[Początek czwartej](#)

[Koniec czwartej](#)

[Piąta rozgrywka](#)

[Szósta rozgrywka](#)

[Początek siódmej](#)

[Siódma rozgrywka](#)

[Ósma rozgrywka](#)

[Początek dziewiątej](#)

[Końcówka dziewiątej](#)

[Końcówka dziewiątej; ratowanie wyniku meczu](#)

[Po meczu](#)

[Postscriptum autora](#)



*Książkę tę poświęcam mojemu synowi Owenowi,  
który w końcu nauczył mnie o baseballu o wiele więcej,  
niż ja nauczyłem jego.*

**CZERWIEC 1998**

## Rozgrzewka

Świat to potwór zębaty, gotów gryźć, gdy tylko zechce. Trisha McFarland odkryła tę fundamentalną prawdę w wieku dziewięciu lat. O dziesiątej rano tego dnia na początku czerwca siedziała na tylnym siedzeniu dodge'a caravana matki, w niebieskiej bluzie treningowej Red Soxów (z numerem 36 – numerem Toma Gordona na plecach), bawiąc się swą lalką Moną. O dziesiątej trzydzieści zablądziła w lesie. O jedenastej rozpaczliwie próbowała opanować atak paniki, broniąc się przed myślą: „To poważna sprawa, to bardzo poważna sprawa”. Rozpaczliwie broniła się także przed myślą, że kiedy ludzie giną w lesie, bywa z nimi niedobrze. Bardzo niedobrze. Bywa, że umierają.

„A wszystko dlatego, że chciało mi się siusiu” – pomyślała, ale prawdę mówiąc, nie chciało jej się siusiu aż tak, poza tym mogła przecież poprosić mamę i Petera, by zaczekali na nią tę małą chwilkę, potrzebną do ukucnięcia za drzewem. Tyle że oni znów się kłócili – ale nowina, no nie? – i dlatego została odrobinę z tyłu, nie mówiąc im o tym ani słowa. Dlatego zeszała ze szlaku, za kępę wysokich krzewów, i o tym też nic im nie powiedziała. Uznała, że należy jej się mała przerwa, proste, prawda? Miała dość słuchania, jak się kłóć, miała dość udawania wesołej i pogodnej, ukrywania, że marzy tylko o tym, by wrzasnąć na matkę: „Odpuść mi! Jeśli aż tak chce wrócić do Malden i mieszkać z tatą, to mu na to pozwól, wielkie mi co. Gdybym miała prawo jazdy, sama bym go odwiozła i wreszcie mielibyśmy chwilę ciszy i spokoju!”. I co by się wówczas stało? Co by powiedziała matka? Jaką by miała minę? I Pete. Pete jest starszy – ma prawie czternaście lat – i całkiem niegłupi, więc czemu się upiera? Dlaczego sobie nie odpuści? Pragnęła powiedzieć mu jedno: „Daj spokój”. A właściwie pragnęła to powiedzieć im obojgu.

Do rozvodu doszło przed rokiem. Sąd przyznał matce prawo do opieki nad dziećmi. Peter gorzko i długo protestował przeciw przeprowadzce z przedmieścia Bostonu do południowego Maine; właściwie nie przerwał protestów aż do dziś. Po części rzeczywiście wolał mieszkać z ojcem i nie miał zamiaru zrezygnować z tego argumentu, kierowany bezbłędnym instynktem, który mu podpowiadał, że w ten sposób jest w stanie ugodzić matkę najgłębiej i najboleśniej, Trisha wiedziała jednak, że nie jest to motyw jedyny ani nawet najważniejszy. Peter chciał wrócić do Bostonu przede wszystkim dlatego, że nienawdził szkoły w Sanford. W Malden szło mu jak po maśle. Rządził klubem komputerowym niczym udzielny książę, miał przyjaciół – dupków, bo dupków, ale była tych chłopaków spora grupa i szkolne łobuzy nie ośmielały się ich zaczepiać. W szkole w Sanford nie było nawet klubu komputerowego, Pete zdobył sobie zaledwie jednego przyjaciela, Eddiego Rayburna, a w styczniu Eddie wyjechał, bo jego rodzice również się rozwiedli. Pete został więc sam – oferta szkolna, nad którą każdy mógł się zniecać do woli. A co najgorsze, wszyscy się z niego śmiali. Zyskał sobie nawet przydomek, którego szczerze nienawdził: CompuWorld.

W te weekendy, których dzieci nie spędzały z ojcem w Malden, matka zabierała je na wycieczki. Z ponurym uporem, na który nie było lekarstwa. Trisha całym sercem marzyła o weekendzie bez wycieczki, bo na wycieczkach było najgorzej, ale nie spodziewała się, by taki cud nastąpił w przewidywalnej przyszłości. Quilla Anderson (matka wróciła do panieńskiego nazwiska i założyła się, o co chcecie, że Peter tego też nienawdził) była kobietą, która doskonale wiedziała, czego chce...

i dokładnie to dostawała. Podczas jednego z weekendów spędzanych z ojcem Trisha usłyszała, jak jej tata mówi do swego ojca: „Gdyby to Quilla dowodziła pod Little Big Horn, Indianie nieźle by oberwali”. Nie podobało jej się, kiedy tata mówił tak o mamie, wydawało się to równie dziecinne, co nielojalne, musiała jednak przyznać, że w tej szczególnej myśli tkwiło więcej niż ziarno prawdy.

W ciągu ostatnich sześciu miesięcy, podczas których jej stosunki z Peterem pogarszały się stale i systematycznie, matka zabrała ich do muzeum samochodów w Wiscasset, do wioski shakerów w Gray, do ogrodu botanicznego New England Plant-A-Torium w North Wyndham, do Six-Gun City – zrekonstruowanego miasteczka z westernu – w Randolph, w New Hampshire, na spływ kajakowy rzeką Saco oraz na narty do Sugarloaf, gdzie Trisha zwichnęła nogę w kostce, co doprowadziło do dzikiej awantury między rodzicami. Wierście mi albo nie, rozwód to doskonała zabawa.

Czasami, kiedy któraś z wycieczek naprawdę mu się podobała, Peter zamykał gębę na kłódkę. Stwierdził, że Six-Gun City to „dla dzieci”, ale mama pozwoliła mu spędzić większość czasu w sali gier komputerowych, więc wrócił do domu wprawdzie niekoniecznie szczęśliwy, lecz przynajmniej milczący. Jeśli jednak coś mu się nie podobało (a najbardziej ze wszystkiego nie podobało mu się Plant-A-Torium, tego dnia, wracając do Sanford, wkurzał się wręcz koncertowo), nie uważał bynajmniej za stosowne zachowania swej opinii dla siebie. Zasada „żyj i daj żyć innym” nie mieściła się w jego światopoglądzie. W matki zresztą też nie, a przynajmniej Trisha nigdy nie dostrzegła u niej usiłowań, by wprowadzić tę zasadę w życie. Za to ona sama uznawała ową zasadę za najprzydatniejszą w świecie, ale cóż w tym dziwnego. Wystarczyło jedno spojrzenie na Trishę, by stwierdzić: „skóra zdjęta z taty”. Nie zawsze jej się to podobało, przeważnie jednak tak.

Trishy nie obchodziło, dokąd wyjeżdżają w soboty. Byłaby szczęśliwa, gdyby odwiedzali wyłącznie wesołe miasteczka i pola do gry w minigolfa, wówczas bowiem kłótnie nie bywały aż tak straszliwe. Mama uważała jednak, że wycieczki powinny być także „kształcące”, stąd Plant-A-Torium i wioska shakerów. Nie da się ukryć, że Pete miał swoje problemy, wśród nich zaś ten, że nienawidził, by kształcono go przymusowo w soboty, które z największą radością spędzałby w pokoju, grając na macu w Sanitarium lub Rivena. Raz i drugi zdarzyło mu się wygłosić opinię o wycieczce wystarczająco dobitnie (brzmiało to mniej więcej tak: „o kant dupy potuc”), by matka uznała za stosowne odesłać go do samochodu z poleceniem „opanowania się”, póki ona nie wróci z Trishą.

Trisha miała wielką ochotę wytłumaczyć matce, że Pete jest za stary, by traktować go jak przedszkolaka i stawiać do kąta, że być może pewnego dnia wróć do pustego samochodu i stwierdzą, że postanowił autostopem powrócić do Massachusetts, ale – rzecz jasna – milczała. Same sobotnie wycieczki były oczywiście bez sensu, mama jednak nigdy nie przyjęłaby tego do wiadomości. Pod koniec niektórych Quilla Anderson wyglądała co najmniej o pięć lat starszej niż na początku, w kącikach jej ust pojawiały się nagle głębokie bruzdy, masowała skronie, jakby cierpiała na dokuczliwy ból głowy... ale nie rezygnowała i nie miała zamiaru zrezygnować. Gdyby była pod Little Big Horn, Indianie może by i wygrali, lecz drogo zapłaciliby za to zwycięstwo.

W tym tygodniu wybrali się do miasteczka w zachodniej części stanu. Biegł przez nie prowadzący do New Hampshire Szlak Appalachów. Poprzedniego wieczoru, siedząc przy kuchennym stole, mama pokazała im fotografie z broszury. Na większości z nich widać było wesołych wędrowców na ścieżce lub w „punktach widokowych”. Oślaniali oczy i spoglądali w głąb pięknych leśnych dolin albo na wygładzone przez czas, lecz nadal imponujące szczyty centralnego pasma Gór Białych. Pete siedział przy stole i wyglądał na kosmicznie wręcz znudzonego. Na broszurę zaledwie zerknął z łaski. Mama postanowiła nie dostrzegać tego ostentacyjnego braku zainteresowania. Trisha, której ostatnio coraz

mocniej wchodziło to w krew, grała zachwyconą rozkoszniczkę. W ogóle miała wrażenie, że upodabnia się stopniowo do uczestników teleturniejów, robiących zawsze takie wrażenie, jakby mieli zsiąść się w majtki z radości na samą myśl o wygraniu kompletu garnków do gotowania bez wody. A gdyby ktoś spytał, jak się czuje, powiedziałaaby, że niczym klej łączący dwie części stłuczonego wazonika. Słaby klej.

Quilla zamknęła broszurkę i odwróciła ją. Na tylnej stronie okładki znajdowała się mapa. Matka stuknęła palcem w niebieską krętą linię.

– To droga numer 68 – oznajmiła. – Samochód zostawimy na parkingu, o tu. – Poklepała niebieski kwadracik. Teraz przyszła kolej na krętą czerwoną linię. – To Szlak Appalachów między drogami 68 i 302 w New Conway, w New Hampshire. Ma niecałe dziesięć kilometrów, oznaczony jest jako średnio trudny. Aha, środkowa część ma oznaczenie „trudny”, ale nie będziemy potrzebowali sprzętu wspinaczkowego i tak dalej.

Postukała w inny niebieski kwadracik. Pete demonstracyjnie wpatrywał się w ścianę. Siedział z głową opartą na dłoni, rozciągnął mu się przy tym kącik ust, przez co wyglądały jak skrzywione w pogardliwym grymasie. W tym roku dostał przyszczy i miał ich na czole cały świeży rząd. Trisha bardzo go kochała, ale czasami – na przykład tego wieczoru, kiedy mama przedstawiła im plan wycieczki – nienawidziła go równie mocno. Bardzo chciała mu powiedzieć, że jest tchórzem, w końcu wszystko się do tego sprowadzało w gruncie rzeczy, jak zwykł mawiać tata. Peter marzył o tym, by powrócić do Malden z małym młodzieńczym ogonkiem między nogami, był bowiem tchórzem. Mama nic go nie obchodziła, siostra nic go nie obchodziła, nie obchodziło go nawet to, że mieszkanie z ojcem wcale nie musiało na dłuższą metę okazać się dla niego dobre. Obchodziło go tylko to, że jada drugie śniadanie, siedząc samotnie na ławce szkolnego boiska. Obchodziło go tylko to, że kiedy wchodzi do klasy po pierwszym dzwonku, ktoś zawsze pozdrawia go słowami: „Hej, jak ci leci, CompuWorld? Co porabiasz, pedałku?”.

– To parking, na który wyjdziemy – powiedziała mama, albo nie zauważając, że Pete nie interesuje się mapą, albo udając, że nie zauważa. – Autobus podejżdża tu około trzeciej. Zabierze nas z powrotem do samochodu. W dwie godziny później jesteśmy w domu. Jeśli nie będziecie zbyt zmęczeni, wybierzemy się razem do kina. Jak wam się to podoba?

Wczoraj wieczorem Pete zachował wyniosłe milczenie, za to dzisiejszego ranka usta mu się nie zamykały. Zaczął, kiedy wsiadli do samochodu w Sanford. Nie chce jechać na wycieczkę, wycieczka jest dowodem ostatecznej głupoty, w telewizji mówili, że po południu ma lać, dlaczego muszą spędzić sobotę, włączając się po lesie, i to o tej porze roku, kiedy wszędzie bywa najwięcej robali, co się stanie, jeśli Trisha wpadnie w trujący bluszcz (jakby go to w ogóle obchodziło), i tak dalej, i tak dalej. Nic, tylko gadał i gadał. Miał nawet czelność powiedzieć, że powinien siedzieć w domu, ucząc się do egzaminów, choć, zdaniem siostry, w całym dotychczasowym życiu nigdy nie uczył się w sobotę. Mama najpierw milczała bohatersko, ale w końcu przecież załaż jej za skórę. Udaowało mu się to bezbłędnie, jeśli tylko miał dość czasu. Kiedy parkowali na ubitej ziemi przy drodze numer 68, ścisła już kierownicę tak mocno, że aż zbiały jej kostki palców, i mówiła wysokim, urywanym głosem, który Trisha znała aż za dobrze. Mama przechodziła właśnie z alarmu żółtego w stan alarmu czerwonego. W każdym razie wyglądało na to, że dziesięciokilometrowy spacer po lasach zachodniego Maine może się okazać wyjątkowo długi.

Trisha próbowała najpierw odwrócić uwagę obojga, wygłaszając pełne zachwyty komentarze na widok zrujnowanych stodoł, pasących się koni i malowniczych przydrożnych cmentarzy, została jednak

tak kompletnie zlekceważona, że po prostu musiała zamilknąć. Siedziała na tylnym siedzeniu z Moną (którą ojciec nazywał Moanie Balogna) na kolanach, przytulona do plecaka, słuchając kłótni i zastanawiając się, czy będzie płakać, czy po prostu zwariuje. Czy kłótnia rodzinna może doprowadzić kogoś do szaleństwa? Może matka masowała czasami skronie czubkami palców nie dlatego, że bolała ją głowa, lecz po to, by powstrzymać zmęczony mózg przed samozapłonem, gwałtowną dekompresją lub czymś w tym rodzaju.

Trisha uciekła od rzeczywistości w swe ukochane marzenie. Zdjęła czapkę Red Soxów i wczuwając się w rolę, skupiła się na podpisie na daszku, zamasztywanym podpisie, wykonanym miękkim flamastrem. Był to podpis Toma Gordona. Peter lubił Mo Vaughna, mama miała słabość do Nomara Garciaparry, lecz faworytem Trishy i jej taty był zdecydowanie Tom Gordon. Zawodnik ten z zasady zamykał grę – wchodził na boisko w ostatniej, dziewiątej rozgrywce, gdy Red Sox wygrywali, ale nie decydująco. Tata podziwiał Gordona, ponieważ zawsze wyglądał na absolutnie spokojnego – „w żyłach tego skubańca płynie woda z lodem”, mawiał – więc Trisha też go za to podziwiała, dodając czasami, że tylko Gordonowi wystarczy śmiałości, by narzucić podkręcaną piłkę przy trzy i zero (tę opinię tata przeczytał jej kiedyś ze sprawozdania w „Boston Globe”). O innych sprawach Trisha rozmawiała wyłącznie z Moanie Balogną i, ale tylko raz, z przyjaciółką, Pepsi Robichaud. Pepsi wspomniała od niechcenia, że Tom Gordon jest „całkiem przystojny”. Monie Trisha mogła się zwierzać bez oporów, i jedynie Mona wiedziała, że Gordon jest najprzystojniejszym żyjącym mężczyzną i że gdyby tylko dotknął ręki Trishy, ona z pewnością by zemdlą, a gdyby ją pocałował, choćby w policzek, to by pewnie nawet umarła.

Teraz, gdy matka i brat kłócili się zażarcie na wszystkie możliwe tematy: o wycieczkę, o szkołę w Sanford, o całe ich zachwiane życie, Trisha wpatrywała się w czapkę, którą tata jakimś cudem zdobył dla niej w marcu, tuż przed początkiem sezonu baseballowego, i w wyobraźni malowała taką oto scenkę:

„Jestem w parku w Sanford, dzień jak co dzień, idę do domu Pepsi przez teren zabaw dla dzieci. Przy wózku z hot dogami stoi mężczyzna. Jest w dżinsach i białym podkoszulku, na szyi ma złoty łańcuszek; stoi tyłem do mnie, ale widzę, jak łańcuszek błyszczy w promieniach słońca, mężczyzna odwraca się i, Boże, nie wierzę własnym oczom, to naprawdę on, Tom Gordon. Nie wiem, co robi w Sanford, ale to on, tak, to on, i te jego oczy, zupełnie takie jak wtedy, kiedy wpatruje się w bazowego, czekając na jego sygnał, te oczy, uśmiecha się, mówi, że się zgubił, i pyta, czy nie wiem przypadkiem, jak dojechać do miasteczka North Berwick, a ja, Boże, mój Boże, trzęsę się cała, wiem, że nie zdołam nic wykrztusić, otworzę usta, lecz nie potrafię wypowiedzieć ani słowa, wydym z siebie tylko zduszony pisk, który tata nazywa czasami pierdnięciem myszy, ale próbuję i okazuje się, że mogę mówić, że mój głos brzmi prawie normalnie, więc mówię...”.

Ja mówię, on mówi, potem ja mówię i on mówi; miło jest myśleć o tym, jak mogłaby wyglądać taka rozmowa. Kłótnia z przedniego siedzenia oddala się i cichnie (Trisha nauczyła się już, że milczenie bywa największym błogosławieństwem, jakie jest w stanie ofiarować nam świat). Dziewczynka niczym zahipnotyzowana wpatruje się w podpis na daszku czapki i kiedy dodge skręca na parking, ona jest bardzo, bardzo daleko stąd („Trisha wędruje po swoim własnym świecie” – jak mawia tata). Nie wie jeszcze, że zwykły, normalny świat to zębaty potwór, lecz już wkrótce się o tym dowie. Teraz jest w Sanford, nie na TR-90. Jest w parku, a nie u wylotu Szlaku Appalachów. Jest z Tomem Gordonem, numer 36, wyjaśnia mu, jak dojechać do North Berwick, a Tom z wdzięczności proponuje jej hot doga – i czy może być większe szczęście na ziemi?

## Pierwsza rozgrywka

Mama i Peter dali sobie spokój, gdy doszło do wyjmowania z samochodu plecaków i wiklinowego koszyka, do którego Quilla zbierała rośliny. Peter pomógł nawet siostrze założyć plecak i żeby było jej wygodnie, skrócił jeden z pasków. Trisha pozwoliła sobie zatem na chwilę bezsensownej nadziei. Może od tej chwili wszystko będzie w porządku?

– Dzieciaki, macie płaszcz od deszczu? – spytała mama, unosząc wzrok w niebo, na razie czyste, choć na zachodzie gromadziły się chmury.

Trisha pomyślała, że najprawdopodobniej będzie padać, choć zapewne zbyt późno, by Peter mógł skarżyć się z satysfakcją, że przemókł do suchej nitki.

– Mam, mamusiu – zaświergotała radośnie w najlepszym stylu teleturniejów.

Peter tylko burknął coś, co mogło oznaczać „tak”.

– Drugie śniadanie?

Trisha przyznała z entuzjazmem, że owszem, ma drugie śniadanie, Peter znów tylko coś mruknął.

– No to doskonale, bo nie mam zamiaru dzielić się moim. – Quilla zamknęła samochód i poprowadziła ich po ubitej ziemi parkingu w kierunku tablicy z napisem: „Szlak zachodni”. Kierunek wskazywała strzałka pod spodem. Na parkingu stało kilkanaście samochodów. Numery rejestracyjne wskazywały, że wszystkie, z wyjątkiem ich dodge’a, pochodzą spoza stanu.

– Środek przeciw komarom?

– Mam, mamu – zaświergotała Trisha, nie do końca pewna, czy go zabrała. Wolą nie zatrzymywać się jednak i nie odwracać, by mama mogła sprawdzić zawartość plecaka, bo to z pewnością obudziłoby milczącego na razie Petera. Jeśli będą iść dalej, może zobaczy coś, co go zainteresuje. Na przykład szopa. Albo jelenia? „Dinozaur byłby niezły” – pomyślała Trisha i zachichotała.

– Co cię tak bawi?

– Tylko moje myśli – odpowiedziała. Dostrzegła zmarszczkę na czole matki, „tylko moje myśli” było jednym z charakterystycznych powiedzonek Larry’ego McFarlanda. „Marszcz się, marszcz – pomyślała. – Marszcz się, ile tylko chcesz. Zostałam z tobą i nie skarzę się, jak ten tam ponurak, ale tata nie przestał być moim tatą i nadal go kocham”. Dotknęła daszka czapki, jakby chciała się co do tego upewnić.

– Dobra, dzieci, idziemy – rozkazała Quilla. – Miejcie oczy otwarte.

– Boże, jak ja tego nienawidzę – jęknął Peter i były to pierwsze artykułowane dźwięki wydane przez niego od chwili, gdy wysiedli z samochodu.

„Boże – pomyślała Trisha – ześlij coś: jelenia, dinozaura, UFO, bo jeśli tego nie zrobisz, zaraz znów zaczną się klócić”.

Bóg zesłał im jednak wyłącznie kilka komarów – niewątpliwie zwiadowców komarzej armii, która już wkrótce miała się dowiedzieć, że w drodze jest świeże mięsko. Kiedy mijali strzałkę z napisem „North Conway, 9 km”, matka i syn nie myśleli już o niczym oprócz awantury. Ignorowali Triszę, ignorowali las, ignorowali cały świat z wyjątkiem siebie nawzajem. „Jap, jap, jap, jap...”; Trisha

pomyślała nawet, że dla nich to jak jakieś chore piesszczotki. I w gruncie rzeczy szkoda, że okazali się tacy głupi, bo wokół było mnóstwo całkiem fajnych rzeczy. Sosny pachniały mocno i słodko, niemal jak rodzyunki. Chmury zaciągały niebo, ale wcale nie przypominały chmur, wydawały się raczej smugami białosiniego dymu. Trisha przypuszczała, że trzeba jednak być dorosłym, by coś tak nudnego jak spacer uznać za hobby, ale ten spacer nie był wcale taki zły. Nie wiedziała, czy cały Szlak Appalachów jest równie dobrze utrzymany jak ta jego część, prawdopodobnie nie, ale jeśli jakimś cudem jednak jest, to wiedziała już, dlaczego ludzie decydowali się na przejście nim całych tych tysięcy kilometrów. Przypominało to spacer szeroką, krętą leśną aleją. Niebrukowaną, oczywiście, i prowadzącą pod górę, ale i tak szło się nią bez wysiłku. Obok szlaku stał nawet szałas kryjący pompę, a obok napisane było: „Woda nadaje się do picia. Proszę napełnić dzbanek do zalania pompy dla następnego spragnionego wędrowca”.

Trisha miała w plecaku butelkę wody, wielką plastikową butelkę wody, ale nagle marzeniem jej życia stało się wypicie świeżej, zimnej wody z zardzewiałego kurka baniaka. Napije się zimnej wody z pompy, marząc o tym, że jest Bilbo Bagginsem w drodze do Gór Mglistych.

– Mamo? – przemówiła do pleców matki. – Moglibyśmy się zatrzymać, żeby...

– Peter, na przyjaciół trzeba sobie zapracować! – tłumaczyła Quilla, nie zwracając najmniejszej uwagi na córkę. Nawet się nie odwróciła. – Nie możesz stać i czekać, żeby koledzy do ciebie przyszli i...

– Mamo... Pete... nie moglibyśmy przystanąć na chwilę i...

– Nie rozumiesz – odwrócił Peter. – Nie masz o niczym najmniejszego pojęcia. Nie wiem, jak to wyglądało, kiedy ty chodziłaś do szkoły, ale mogę ci powiedzieć jedno: teraz wszystko jest całkiem inaczej!

– Peter. Mamo. Mamusi. Tam jest pompa i... – Tak naprawdę pompa była, tak należało się o niej wypowiedzieć poprawną angielszczyzną, w czasie przeszłym, bo została już daleko za nimi i nadal się oddalała.

– Nie przyjmuję tego do wiadomości – odparła natychmiast mama, zajęta dyskusją, i Trisha pomyślała: „Nic dziwnego, że doprowadziła go do szału”. A potem, z zawiścią: „Oni przecież zapomnieli, że ja żyję. Dla nich jestem Niewidzialną Dziewczynką. Niewidzialna Dziewczynka to ja. W gruncie rzeczy mogłabym spokojnie zostać w domu”. Komar zabrzęczał jej przy uchu, opędziła się od niego machnięciem dłoni.

Doszli do rozgałęzienia szlaku. Główna ścieżka, nieprzypominająca już alei, lecz nadal całkiem szeroka i wygodna, odchodziła w lewo za znakiem informującym: „North Conway, 9 km”. Prawe odgałęzienie, zarośnięte i niemal niewidoczne, oznaczone było strzałką z napisem: „Kezar Notch, 16 km”.

– Panowie i panie, muszę się wysuszyć – powiedziała Niewidzialna Dziewczynka, lecz oczywiście nikt nie zwrócił na nią uwagi, mama i brat szli po prostu przed siebie drogą prowadzącą do North Conway. Szli obok siebie niczym kochankowie, patrząc sobie w oczy niczym kochankowie, kłócąc się jak najgorsi wrogowie. „Równie dobrze moglibyśmy nie ruszać się z domu – pomyślała Trisha. – Mogliby się pokłócić w domu, a ja spokojnie czytałabym sobie książkę. Najlepiej *Hobbita*, o istotach lubiących spacerować po lesie”.

„Kogo to obchodzi, ja i tak siusiam” – powiedziała sobie, zaciskając usta. Przeszła kilka kroków ścieżką oznaczoną strzałką „Kezar Notch”. Sosny, zachowujące przyzwyczajoną odległość od głównego szlaku, tłoczyły się wokół tej ścieżki, sięgając ku niej granatowoczarnymi gałęziami, poszycie też było



gęste, bardzo, bardzo gęste. Poszukiwała wzrokiem błyszczących liści, typowych dla trującego bluszczu, trującego dębu, trującego... ale nie zauważyła żadnych zagrożeń, Bogu niech będą dzięki choćby i za to. Mama pokazała jej zdjęcia tych groźnych roślin i nauczyła ją rozpoznawać je dwa lata temu, gdy życie było jeszcze prostsze i łatwiejsze. Trisha często i chętnie spacerowała wówczas z mamą po lasach (jeśli chodzi o wycieczkę do Plant-A-Torium, Peter skarżył się na nią wyłącznie dlatego, że wybrała ją matka. Było to tak oczywiste, że on sam nie zdawał sobie sprawy z przemawiającego przez niego samolubstwa, które zepsuło im wszystkim cały dzień). Podczas jednej z wycieczek mama nauczyła ją także tego, jak dziewczynki powinny siusiać w lesie. Nauka zaczęła się od całkiem prostego stwierdzenia: „Najważniejsze i być może jedynie ważne jest, by nie wejść przy tym w trujący bluszcz. A teraz patrz, co robię, i naśluduj mnie”.

Trisha rozejrzała się dookoła, nie zauważyła nikogo, niemniej jednak postanowiła zejść ze ścieżki. Ścieżka do Kezar Notch nie wyglądała na uczęszczaną; zwłaszcza w porównaniu z szeroką aleją głównego szlaku wydawała się zaledwie zaułkiem, ona jednak mimo wszystko nie zamierzała przecież kućać na samym jej środku. Wydawało się to niewłaściwe. Zeszła więc w kierunku rozgałęzienia na North Conway, nadal słysząc rozgniewane głosy matki i brata. Później, nie mając najmniejszych wątpliwości, że zablądziła, próbując jakoś oswoić się z myślą, że być może przyjdzie jej zginąć w lesie, przypomniała sobie ostatnie usłyszane wyraźnie słowa ich kłótni, wypowiedziane przez Petera piskliwym, napiętym tonem małego dziecka: „Nie wiem, dlaczego mamy płacić za wasze błędy”.

Przeszła kilkanaście kroków w kierunku, z którego dobiegły ją jego słowa, omijając ostrożnie krzaki jeżyn, choć na wycieczkę włożyła dzinsy, a nie szorty. Przystanąła, obejrzała się za siebie. Nadal widziała ścieżkę, a to znaczyło, że każdy idący tędy będzie w stanie dostrzec ją, siusiającą w kucki, z na pół wypełnionym plecakiem na ramionach i czapeczce Red Soxów na głowie. Zawstydzające, a raczej, jak powiedziałyby Pepsi „za-dupia-jące” (Quilla Anderson wspomniała kiedyś, że zdjęcie Penelopy Robichaud powinno znajdować się w słowniku przy haśle: „wulgarność”).

Trisha zeszła po łagodnie opadającym zboczu, ślizgając się na pokrywie wilgotnych zeszlorocznych liści. Kiedy, już na dole, znów obejrzała się za siebie, stwierdziła, że ścieżki do Kezar Notch nie widzi – i bardzo dobrze. Z przeciwnej strony, przed sobą, słyszała głosy mężczyzny i dziewczynki, bez wątplenia idących głównym szlakiem, znajdującym się najwyraźniej niedaleko. Rozpinając dzinsy, pomyślała, że jeśli matce i bratu przyjdzie do głowy obejrzeć się nagle, to kiedy zauważą, że zamiast siostry i córki idzie za nimi nieznamy tata z córeczką, pewnie się zdenerwują.

I bardzo dobrze. Niech się denerwują. Niech raz pomyślą o kimś innym, a nie tylko o sobie.

Cała sztuka, powiedziała jej mama w dawnych dobrych czasach, w podobnym lesie, dwa lata temu, nie polega na samym wysiusianiu się. Dziewczeta potrafią to robić równie dobrze jak chłopcy. Sztuka polega na niezasiusianiu majtek. Trisha kucnęła, przytrzymując się wygodnej poziomej gałęzi. Wolną ręką sięgnęła między kolana, usuwając spodnie i majteczki z „linii ognia”. Przez chwilę nie działa się nic, jak zwykle. Westchnęła męczeńsko; koło jej ucha zabzyczał komar, a nie miała już wolnej ręki, żeby się przed nim opędzić.

– O mój Boże, gamki do gotowania bez wody! – syknęła gniewnie i wydało jej się to śmieszne, takie strasznie śmieszne, takie potwornie głupie i okropnie zabawne, że roześmiała się i natychmiast zaczęła siusiać. Skończyła, rozejrzała się dookoła, szukając czegoś, czym mogłaby się wytrzeć, lecz znów przypomniała sobie, co mawiał tata, i zdecydowała, że nie będzie „nadużywać szczęścia”. Potrząsnęła pupcią (jakby mogło jej to w czymś pomóc) i podciągnęła majtki. Usłyszała bzyczenie

komara, uderzyła się w policzek i z zadowoleniem powitała widok krwawej plamki na dłoni. – A myślałaś, że wystrzeliłam cały magazynek, przyjacielu, co? – powiedziała.

Odwróciła się w kierunku, z którego przyszła, a potem odwróciła się znowu. Wpadła na najgorszy pomysł w swoim młodym życiu, a mianowicie, by iść przed siebie, a nie wracać na szlak do Kezar Notch. Oba szlaki rozeszły się, tworząc literę Y, wystarczyło przejść kawałek, by od jednego jej ramienia dotrzeć do drugiego. Zabłądzić na tak małym kawałku drogi – to przecież niemożliwe. Skoro tak wyraźnie słyszała głosy ludzi, nie istniało nawet najmniejsze niebezpieczeństwo zabłądzenia.

## Druka rozgrywka

Zachodnie zbocze wąwozu było znacznie bardziej strome od tego, którym zeszła. Wspięła się na nie, przytrzymując się gałęzi drzew, pokonała wzniesienie i ruszyła w kierunku, skąd słyszała głosy. W tym miejscu ziemia porośnięta była gęsto krzakami, których kępy Trisha musiała obchodzić, przez cały czas patrząc jednak przed siebie, w stronę głównego szlaku. Szła w ten sposób przez jakieś dziesięć minut, a potem się zatrzymała. W tym wrażliwym miejscu między sercem i żołądkiem, gdzie najwyraźniej zbiegały się wszystkie nerwy ciała, poczuła pierwsze niewyraźne jeszcze ukłucie niepokoju. Czy powinna już wyjść na odgałęzienie szlaku prowadzące do North Conway? Najwyraźniej tak, przecież odgałęzieniem do Kezar Notch przeszła jakieś pięćdziesiąt kroków, zresztą niech będzie sześćdziesiąt albo i siedemdziesiąt, ale z pewnością nie więcej. Odległość między dwoma ramionami Y nie może być przecież aż tak duża!

Nasłuchiwała, oczekując, że usłyszy głosy z głównego szlaku, ale w lesie panowała absolutna cisza. To znaczy nie, cisza nie była wcale absolutna. Trisha słyszała szum wiatru w wielkich, typowych dla Dzikiego Zachodu sosnach, słyszała wrzaski srok i gdzieś, w oddali, postukiwania dziecięcia wyjadającego ze smakiem późne śniadanie ze spróchniałego pnia drzewa; wokół obojga jej uszu – dla odmiany – bzyczały armie komarów, ale tej pełnej dźwięków ciszy nie przerywał żaden ludzki głos. Miała wrażenie, że jest jedynym człowiekiem w lesie, i choć zakrawało to na absurd, nerwy między sercem i żołądkiem zagrały raz jeszcze. Tym razem nieco głośniejsze.

Ruszyła przed siebie, trochę szybciej, marząc tylko o tym, by wyjść wreszcie na szlak, nie myśląc o niczym innym. Drogę zagroziło jej zwalone drzewo, za wysokie, by przez nie przeleźć, Trisha postanowiła się więc pod nim przeczołgać. Wprawdzie zdawała sobie sprawę, że powinna je obejść, ale co by to było, gdyby straciła poczucie kierunku?

„Już straciłaś poczucie kierunku” – szepnął jakiś głos w jej głowie, przerażająco chłodny.

– Stul pysk, nie straciłam poczucia kierunku, stul pysk – szepnęła, klękając.

Pod fragmentem obrośniętego mchem pnia widać było płytkie wgłębienie, postanowiła więc zacząć w tym miejscu. Opadłe poprzedniej jesieni liście były mokre, nim to sobie jednak uświadomiła, przód bluzy miała zupełnie przemoczony, powiedziała sobie zatem, że wilgoć nie ma najmniejszego znaczenia. Podczołgała się dalej i uderzyła plecami w pień. Łup.

– Niech to licha weźmie! – szepnęła. „Niech to licha weźmie” było ostatnio ulubionym przekleństwem jej i Pepsi, nie wiedziały dlaczego, lecz brzmiało to jakby trochę z wiejska i trochę z angielska. Cofnęła się. Zamiast pełzać, stanęła na czworakach, otrzepała wilgotne, nadgniłe liście z bluzy i dopiero teraz zauważyła, że ręce jej się trzęsą. – Nie boję się – powiedziała specjalnie głośno, własny szepot bowiem trochę ją jakby przerażał. – Wcale się nie boję. Szlak jest na wyciągnięcie ręki. Trafie tam za pięć minut i będę musiała biec, żeby ich dogonić.

Zdjęła plecak i popychając go przed sobą, próbowała przepelznąć pod pnem na drugą stronę.

Była mniej więcej w połowie drogi, kiedy coś się pod nią poruszyło. Opuściła głowę. Wśród liści przemykał się gruby, czarny wąż. Przez chwilę czuła wyłącznie obrzydzenie i strach. Zamarła, niezdolna do żadnej myśli, niezdolna wykrztusić słowa. Nie była w stanie ani wypowiedzieć, ani

wyszeptać słowa „wąż”, nie była w stanie nawet uświadomić sobie, co się za tym słowem kryje, czuła to jednak, zimne i pulsujące pod jej ciepłą dłonią. Drgnęła i spróbowała poderwać się na równe nogi, zapominając, że nadal tkwi pod zwalonym pniem. Ułamek gałęzi grubości ramienia ugodził ją w krzyż. Znow padła na ziemię i wyczołgała się spod pnia najszybciej, jak tylko mogła. Prawdopodobnie sama przypominała w tym momencie węża.

Obrzydliwy gad znikł, ale strach pozostał. Przycisnęła ręką ukrytego wśród zgniłych liści obrzydliwego stwora, przycisnęła go ręką. Dzięki Bogu, najwyraźniej nie był jadowity. Ale jeśli tu jest więcej węży? I jeśli te następne będą jadowite? Jeśli te lasy aż się od nich roją? A roją się z całą pewnością, lasy zawsze aż roją się od tego, czego nie lubisz, od wszystkiego, co napawa cię przerażeniem i czego nienawidzisz instynktownie, wszystkiego, co budzi w tobie jedno uczucie: ślepą, wszechogarniającą panikę. Dlaczego w ogóle zdecydowała się pojechać na tę wycieczkę? I w dodatku pojechać na nią z radością!

Chwyliła pasek plecaka i pobiegła przed siebie, czując, jak plecak objima jej się o nogi. Przez ramię rzucała nieufne spojrzenia na leżący pień, na stojące drzewa, na gąszcz gałęzi wypełniający próżnię pomiędzy nimi; czuła paniczny strach, że zobaczy węża, i jeszcze gorszy, jeszcze bardziej paniczny strach przed zobaczeniem mnóstwa węży, niczym w jakimś horrorze, *Inwazja morderczych węży*, w roli głównej Patricia McFarland, przerażająca opowieść o dziewczynce, która zabłądziła w lesie i...

„Przecież ja nie...” – pomyślała Trisha i w tym momencie, ponieważ oglądała się przez ramię, potknęła się o kamień sterczący z grząskiej ziemi, zachwiała, machnęła wolną ręką (w drugiej trzymała plecak) w skazanym z góry na niepowodzenie wysiłku utrzymania równowagi i ciężko przewróciła się na bok. Poczowała straszny ból w krzyżu, gdzie poprzednio ugodziła ją gałąź.

Leżała na boku wśród liści, wilgotnych, lecz nie tak obrzydliwie zgniłych jak pod pniem drzewa, oddychając szybko i czując bicie serca między oczami. Nagle, przerażona i wytrącona z równowagi, zdała sobie sprawę, że wcale nie jest pewna, czy podąża we właściwym kierunku. Oglądała się przecież za siebie, więc mogła w którymś momencie skręcić. Mogła, ale nie musiała.

„Wróć do powalonego drzewa – pomyślała. – Stań w miejscu, w którym spod niego wyszłaś, spójrz wprost przed siebie i idź w tym kierunku, a trafisz na główny szlak”.

Ale czy naprawdę? Jeśli tak, to dlaczego jeszcze do niego nie doszła?

Poczwała napływające do oczu łzy. Mrugnęła i wielkim wysiłkiem woli powstrzymała się od płaczu. Gdyby zaczęła płakać, nie mogłaby już wytłumaczyć sama sobie, że się nie boi. Gdyby zaczęła płakać, wszystko mogłoby się zdarzyć.

Bardzo powoli wróciła pod zwalone, zarośnięte mchem drzewo. Strasznie się bała przejść choćby te kilka kroków w złym kierunku, równie niechętnie wracała do miejsca, w którym widziała węża (mógł sobie nie być jadowity, niech mu będzie, i tak nienawidziła wszystkich węży), zdawała sobie jednak sprawę, że musi to zrobić. Dostrzegła miejsce, w którym spod liści prześwitywała ziemia, to tam zobaczyła (i – Boże jedyny – także dotknęła) węża; rysa długości małej dziewczynki w leśnym poszyciu już podchodziła wodą. Przyglądając się jej; Trisha znow potarła dłonie o wilgotną, zabłoconą bluzę. To, że bluza była mokra i zabłocona, budziło w jakiś dziwny sposób największy niepokój. Świadczyło o tym, że nastąpiła zmiana planu... a nowy plan, zakładający pełzanie po wilgotnej ziemi pod zwalonymi drzewami, uświadamiał, że ta zmiana nie jest bynajmniej zmianą na lepsze.

„Po co w ogóle zeszałam ze ścieżki? I dlaczego odeszałam tak daleko, że straciłam ją z oczu? Tylko po to, żeby zrobić siusiu? Przecież nie chcieli mi się siusiu aż tak bardzo! Zeszałam ze ścieżki, a to znaczy, że musiałam być szalona. A potem dostałam kolejnego ataku szaleństwa i pomyślałam, że mogę

bezpiecznie skrócić sobie drogę przez dziki las (dopiero teraz przyszło jej do głowy to określenie: «dziki las»). No cóż, dzisiaj rzeczywiście czegoś się nauczyłam. Nauczyłam się, że nie wolno schodzić ze szlaku. Niezależnie od tego, co musisz zrobić, niezależnie od tego, jak bardzo musisz zrobić to, co musisz zrobić, niezależnie od tego, czego musisz wysłuchać i jak długo będziesz tego słuchała, nie wolno zejść ze szlaku. Na szlaku bluza Red Soxów była sucha i czysta. Na szlaku nie czuło się ucisku w dołku, a serce biło mocno, równo i powoli. Na szlaku człowiek czuje się bezpieczny, a tylko to się liczy”.

Na szlaku człowiek czuje się bezpieczny.

Trisha sięgnęła ręką za plecy i wymacała wielką dziurę w bluzie na wysokości krzyża. A więc ułamek gałęzi przewróconego drzewa rozerwał go tak łatwo. A ona miała nadzieję, że nic takiego się nie stało. Na czubkach palców dostrzegła ślady krwi. Chlipnęła i otarła dłoń o dzinsy.

– Pociesz się, że przynajmniej nie był to zardzewiały gwóźdź – powiedziała głośno. – Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. – Matka często to powtarzała, lecz Trishy te słowa wcale nie dodawały odwagi. Na razie wszystko było złe. Gorzej niż kiedykolwiek.

Przyjrzała się dokładnie ziemi pod drzewem, przesunęła nawet butem po liściach, jednak po wężu nie pozostał żaden ślad. Tak, najprawdopodobniej nie był to wąż jadowity, ale obrzydliwy, owszem. Węże są strasznie obrzydliwe. Obłe i śliskie, z tymi swoimi ruchliwymi, drgającymi językami. Nie chciała o nim myśleć nawet teraz, nie chciała pamiętać, jak pulsował jej pod ręką, niczym zimny mięsień.

„Dlaczego nie włożyłam porządných butów?” Trisha przyjrzała się swoim niskim reebokom. „Dlaczego musiałam włożyć te cholerne łapcie?”. Odpowiedź na to pytanie narzucała się sama – włożyła je, bo doskonale nadawały się do spaceru po ścieżce, a plan zakładał pozostawianie na ścieżce przez cały czas.

Zamknęła na chwilę oczy.

– Nie stało się nic wielkiego – znów powiedziała na głos. – Wystarczy, żebym nie straciła głowy, nie popadła w panikę. Za chwilę, no, może za kilka chwil, usłyszę ludzkie głosy.

Tym razem własny głos trochę ją pocieszył i poczuła się odrobinę lepiej. Odwróciła się, ustawiła nogi po obu stronach bruzdy w ziemi, którą wryła własnym ciałem, i przyłgnęła pośladkami do porośniętego mchem pnia. O tak. Patrzyć wprost przed siebie. Tam jest główny szlak. Musi być.

Może tak, może nie? Czy nie lepiej byłoby zaczekać tutaj? Zaczekać na głosy. Upewnić się, która strona jest właściwa.

A jednak Trisha nie była w stanie czekać. Bardzo chciała powrócić już na ścieżkę, zapomnieć o tych przerażających dziesięciu (a może minęło nawet piętnaście) minutach, im wcześniej, tym lepiej. Zarzuciła więc plecak na ramiona, żałując, że nie ma przy niej rozgniewanego, narzekającego, ale w gruncie rzeczy całkiem sympatycznego starszego brata, który poprawiłby paski, i ruszyła przed siebie. Małe muszki zdołały ją już osaczyć i wokół jej głowy latało ich tyle, że miała wrażenie, iż przed oczami tańczą jej czarne plamki. Odpędzała owady, machając rękami, ale ich nie zabijała. Kiedyś, dawno temu, być może wtedy, kiedy nauczyła ją siusiac w lesie, mama powiedziała jej, że komary należy zabijać, ale małe muszki się odgania. Quilla Anderson (wówczas będąca jeszcze Quillą McFarland) wyjaśniła, że zabijanie nawet przyciąga małe muszki, no i oczywiście ludzie, którzy bez przerwy klepią się po całym ciele, gorzej znoszą całą tę sytuację. „Jeśli chodzi o owady w lesie – uczyła mama – najlepiej jest myśleć jak koń. Wyobrazić sobie, że ma się ogon i że można je nim odpedzić”.

Stojąc przy zwalonym drzewie i oganiając się od muszek, ale ich nie zabijając, Trisha wypatrzyła wysoką sosnę, rosnącą jakieś czterdzieści metrów dalej... czterdzieści metrów dalej na północ, jeśli w ogóle zachowała jakieś pojęcie o stronach świata. Podeszła do drzewa, stanęła przy nim, oparła dłonie na lepkiej od żywicy korze i obejrzała się za siebie. Czy szła w prostej linii? Miała nadzieję, że tak.

Nabrawszy odwagi, rozejrzała się dookoła i dostrzegła gęsto rosnące krzaczki pokryte czerwonymi kulkami. Podczas którejś z poprzednich wycieczek matka pokazała je im obojgu, a kiedy Trisha zwróciła jej uwagę, że to wilcze jagody, śmiertelna trucizna, tak twierdzi Pepsi, mama roześmiała się i powiedziała: „Słynna Pepsi jednak nie wie wszystkiego. Co za ulga. To golteria, Trish. Wcale nie jest trująca. Smakuje jak guma do żucia Teaberry, ta sprzedawana w czerwonym opakowaniu”. Zjadła kilka golterii i – ponieważ nie padła na ziemię, nie zaczęła się dusić i nie dostała drgawek – Trisha także ich spróbowała. Jej w smaku przypominały raczej żelki, te zielone, lekko szczypiące w język. Teraz podeszła do krzaczków, pomyślała, że mogłaby przecież zjeść parę golterii, po prostu żeby się pocieszyć, ale zrezygnowała. Nie czuła głodu, a żeby ją pocieszyć, trzeba byłoby czegoś doprawdy wyjątkowego, nie jakichś tam jagód. Odetchnęła ostrym zapachem dużych, pokrytych woskiem liści, zdaniem matki, także jadalnych (jej nawet do głowy nie przyszło ich próbować, w końcu nie była przecież świstakiem), a potem znów spojrzała na sosnę. Oceniała, że nadal idzie w linii prostej, i wybrała sobie trzeci punkt orientacyjny: skałkę przypominającą kapelusz ze starego, czarno-białego filmu. Po niej przyszła kolej na kilka brzoź, a później na rosnącą w połowie zbocza wspaniałą kępę paproci.

Trisha tak bardzo koncentrowała się na kolejnych punktach orientacyjnych (koniec z oglądaniem się przez ramię, skarbie), że dopiero kiedy stanęła przy paprociach, uświadomiła sobie, iż – kiepski żart – będąc w lesie, nie widzi drzew. Poruszanie się od punktu do punktu to oczywiście bardzo fajna rzecz i istotnie, ona idzie chyba niemal dokładnie w linii prostej, lecz co z tego, jeśli w złym kierunku? Wystarczy przecież, by był tylko odrobinę zły, i nieszczęście gotowe, a ona bez wątplenia idzie w złym kierunku. Gdyby nie zboczyła, z całą pewnością wyszłyby już na szlak. Przecież przeszła...

– Rany – powiedziała głośno, a w jej głosie brzmiała nutka, która wcale jej się nie spodobała. – Musiałam przejść z półtora kilometra. A może nawet dwa?

Wokół jej głowy bzycały owady. Muchy trzymały się raczej przed oczami, komary brzęczały niczym miniaturowe helikoptery koło uszu, doprowadzając ją tym brzęczeniem do szaleństwa. Zamachnęła się na jednego i chybiła, ale walnęła się w ucho i teraz brzęczało jej także w głowie. Mimo to musiała siłą powstrzymać się przed kolejną próbą. Gdyby zaczęła, skończyłaby prawdopodobnie, sama waląc się po głowie, niczym bohater starego filmu animowanego.

Upuściła plecak, ukucnęła, odpięła klapę i zajrzała do środka. Znalazła niebieski plastikowy płaszcz przeciwdeszczowy, papierową torbę z drugim śniadaniem, które przygotowała sama, gameboya, krem przeciwsłoneczny (nie bardzo przydatny, chmury prawie całkiem przesłoniły już słońce i z nieba zniknęły właśnie ostatnie plamy błękitu), butelkę wody, butelkę ulubionego napoju Surge, batonik Twinkie i torebkę chipsów. Czego nie znalazła, to płynu przeciw komarom. Oczywiście, rzecz była do przewidzenia. Trisha wysmarowała się jednak płynem do opalania z nadzieją, że powstrzyma to przynajmniej muszki, i zaczęła pakować plecak od nowa. Przerwała na chwilę, przyglądając się batonikowi, ale też go w końcu odłożyła. W zasadzie bardzo te batoniki lubiła, spodziewała się nawet, że kiedy dojdzie do wieku Pete’a, będzie jednym wielkim pryszczem na dwóch nogach, ale na razie nadal nie czuła ani śladu głodu.

„A poza tym możesz nie dożyć wieku Petera – podszeptnął jej niepokojący wewnętrzny głos. Jak to możliwe, że gdzieś w człowieku drzemie taki zimny, taki beznamiętny, jego własny wewnętrzny głos?

Taki zdrajca, niewierzący w sprawę. – Może być i tak, że nigdy nie wyjdiesz z tego lasu”.

– Zamknij się, zamknij, zamknij!... – syknęła, zapinając klapę plecaka drżącymi palcami. Już miała wstać, lecz zamarła nagle, klęcząc na jednym kolanie w wilgotnej ziemi, z podniesioną głową, wężąc niczym łania, która po raz pierwszy oddaliła się od matki. Tylko że Trisha nie weszła, lecz nasłuchiwała, całą uwagę skupiając wyłącznie na zmyśle słuchu.

Słyszała trzask gałęzi poruszających się na najłżejszym wietrze. Słyszała bzyczenie tych okropnych, wstrętnych komarów. Słyszała postukiwanie dzięcioła. Gdzieś, z daleka, dobiegało ją krakanie kruka. Jeszcze dalej, prawie na granicy słyszalności, warczał silnik samolotu. Nie słyszała natomiast ludzkich głosów dobiegających ze szlaku. Pod tym względem w lesie panowała absolutna cisza. Zupełnie jakby szlak prowadzący do North Conway został wymazany z rzeczywistości.

Dźwięk silnika samolotowego umilkł i dziewczynka musiała pogodzić się z sytuacją. Wstała. Nogi miała ciężkie i ciało też wydawało się ważyć zbyt wiele, za to głowa sprawiała wrażenie wypełnionego lekkim gazem balonu, przyczepionego do ołowianych odważników. Trisha poczuła nagle, że się dusi, tonie w oceanie samotności, dławi się jaskrawym, wszechogarniającym poczuciem odłączenia od reszty ludzi. W jakiś sposób udało jej się przerwać więzy, zabłądzić poza linię boiska w świat, w którym nie obowiązywały już znane jej doskonale reguły gry.

– Hej! – krzyknęła. – Hej, ludzie, czy mnie słyszycie? Słyszycie mnie? Hej! – Umilkła, modląc się o jakąś, jakąkolwiek odpowiedź, nie usłyszała jednak żadnej odpowiedzi, wykrzyczała więc z siebie to, co najgorsze. – Ratunku! Pomocy! Pomóżcie mi! Zabłądziłam! Zabłądziłam w tym lesie!

Rozplakała się, niezdolna dłużej wstrzymać łez. Nie potrafiła już się oszukiwać, wmawiać sobie, że w pełni kontroluje sytuację. Głos jej drżał, najpierw był głosem przerażonego małego dziecka, potem wręcz głosem niemowlęcia zapomnianego w kołysce i – a to przeraziło ją znacznie bardziej niż cokolwiek, co stało się dzisiejszego ranka – jedynym ludzkim głosem, jaki rozlegał się w okolicy, zapłakanym i cienkim, wołającym o pomoc głosem dziewczynki, która zabłądziła w lesie.

## Trzecia rozgrywka

Krzyczała tak przez dobre piętnaście minut, czasami przykładając dłonie do ust i zwracając się w kierunku, w którym, jak się jej wydawało, powinien się znajdować główny szlak, ale głównie po prostu krzyczała przed siebie. Krzyknęła wreszcie po raz ostatni, i był to krzyk bez słów, ostateczny wyraz strachu i rozpacz, tak głośny, że zabolą ją gardło, a potem padła na ziemię obok plecaka, ukryła twarz w dłoniach i zapłakała. Płakała tak może pięć minut (nie potrafiła powiedzieć dokładnie, jak długo to trwało, jej zegarek został w domu, leżał sobie teraz na stoliku przy łóżku, kolejne chytre posunięcie Wielkiej Trishy), a kiedy przestała płakać, poczuła się odrobinę lepiej... pod każdym względem, z wyjątkiem owadów. Owady były wszędzie, pełzały, brzęczały i bzyczały, próbowały wysać jej krew i spić pot. Doprowadzały ją po prostu do szału. Poderwała się na równe nogi, wymachując w powietrzu czapkę Red Soxów, cały czas przypominając sobie, że nie wolno jej próbować zabić dręczycieli, lecz jednocześnie wiedząc, że będzie próbowała i zacznie próbować już wkrótce. Po prostu nie zdoła się powstrzymać.

Nie była pewna, czy powinna czekać, czy też raczej iść. Nie miała pojęcia, co będzie dla niej lepsze, bała się tak, że nie potrafiła myśleć racjonalnie. Zamiast rozsądku przemówiły nogi – ruszyła przed siebie, rzucając dookoła przerażone spojrzenia, ocierając przedramieniem podpuchnięte oczy. Podnosiła rękę raz po raz, kiedy tylko dostrzegła na niej kilka komarów. Teraz uderzyła na ślepo, zabijając trzy, z których dwa zdążyły się już nażreć. Widok własnej krwi nie wyprowadzał jej na ogół z równowagi, tym razem jednak nogi się pod nią ugięły, usiadła ciężko na pokrytej igłami ziemi pod kilkoma starymi sosnami i znów się rozpłakała. Bolała ją głowa, dokuczał żołądek. „Kilka chwil temu siedziałam w samochodzie – myślała, niezdolna uwolnić się od tej myśli. – Siedziałam w samochodzie, na tylnym siedzeniu, a na przednim klócili się mama i Peter”. Nagle przypomniał się jej gniewny głos brata, mówiącego: „Nie rozumiem, dlaczego mamy płacić za wasze pomyłki”. Pomyślała, że są to być może ostatnie słowa Petera, jakie usłyszała, i zadrżała, jakby dostrzegła wypelzającego ku niej z cieni straszego potwora.

Tym razem łyzy obeschły wcześniej niż poprzednio, nie płakała też aż tak histerycznie. Kiedy znów wstała (wymachując wokół głowy czapkę i niemal nie zdając sobie z tego sprawy), była prawie spokojna. Nie wątpiła, iż mama wie już, że jej córka zablądziła. Najpierw pomyśli, że miała dość awantury i wróciła do samochodu. Oboje zawrócą więc na parking, po drodze pytając ludzi, czy nie widzieli dziewczynki w czapce Red Soxów (niemal słyszała głos mamy: „Ma dziewięć lat, ale jest wysoka jak na swój wiek i wygląda dorosłej”). Dojdą do samochodu i zobaczą, że jej tam nie ma, więc poważniej się zaniepokoją. Mama będzie wręcz przerażona. Na myśl o tym Trisha poczuła się winna, a także więcej niż odrobinę przestraszona. Narobiła zamieszania, prawdopodobnie wielkiego zamieszania, będą jej szukali nie tylko ratownicy, lecz pewnie także służba leśna, a wszystko przez to, że jak głupia zesłała z wyznaczonego szlaku.

Ten nowy strach nałożył się na wszystkie poprzednie obawy i Trisha przyspieszyła kroku z nadzieją, że trafi na główny szlak, nim wszystkie te okropne rzeczy w ogóle się wydarzą, nim osobiście stanie się przyczyną tego, co matka zwykła nazywać „publicznym praniem brudów”. Szła przed siebie,



zapominając o planie zakładającym poruszanie się między dwoma wybranymi punktami, dokładnie w linii prostej, nieświadomie skręcając coraz dalej na zachód, oddalając się od Szlaku Appalachów wraz z jego mniej ważnymi trasami wycieczkowymi i ścieżkami, skręcając w kierunku, w którym były wyłącznie dzikie lasy z wysokim poszyciem, strome kamieniste wzgórza i w ogóle teren trudny do przebycia. Krzyczała i słuchała, słuchała i krzyczała. Zdumiałaby się śmiertelnie, gdyby wiedziała, że jej matka i brat nadal się kłóć i wciąż jeszcze nie zdają sobie sprawy z tego, że ich córka i siostra zaginęła.

Trisha parla przed siebie, opędzając się od rojów muszek, nie omijając już skupisk pomniejszych krzaczków, lecz po prostu przedzierając się przez nie. Słuchała i wołała, wołała i słuchała, tylko że tak naprawdę wcale nie słuchała, już nie. Nie czuła komarów, siedzących jej rzędem na karku tuż poniżej linii włosów niczym pijacy w dopiero co otwartym barze, wychylający szklaneczkę za szklaneczką, nie czuła muszek wijących się rozpaczliwie, przylepionych do jej policzków w miejscach, gdzie łyż nie całkiem jeszcze wyschły.

Wpadła w panikę nie nagle – jak wówczas, gdy dotknęła węża – lecz powoli, przedziwnie stopniowo. Czerpała z zasobów świata, a jednocześnie niemal całkowicie się od niego odcięła. Szła coraz szybciej, nie patrząc, dokąd idzie, wołała o pomoc, nie słuchając własnego głosu, wydawało jej się, że nasłuchuje odpowiedzi, choć prawdopodobnie nie usłyszałaby nic nawet zza najbliższego drzewa. Zaczęła biec, w ogóle nie zdając sobie sprawy z tego, że biegnie. „Muszę zachować spokój – powtarzała sobie – choć nie biegła już, lecz wręcz pędziła. – Przed chwilą zaledwie siedziałam w samochodzie – myślała, biegnąc coraz szybciej. – «Nie wiem, dlaczego mamy płacić za wasze błędy»” – przypomniała sobie, w ostatniej chwili unikając gałęzi wymierzonej, jak mogłoby się zdawać, wprost w jej oko. Gałąź drasnęła Trishę w policzek, na którym pojawiła się cienka smużka krwi.

Biegła, hałaśliwie przedzierając się przez krzaki, nie słysząc trzasku łamanych gałązek, nieświadoma, że kolce rozdierają jej dżinsy i skórę na nagich ramionach, czując na twarzy chłodny, przedziwnie podniecający podmuch powietrza. Wbiegła na zbocze, pędziła teraz przed siebie najszybciej, jak potrafiła, z przekrzywioną czapeczką na głowie i powiewającymi włosami (po gumce, która ściągała je w koński ogon, nie pozostało nawet wspomnienie), przeskakiwała mniejsze drzewka, powalone przez burzę przed wielu laty, dotarła na szczyt... i nagle pojawiła się przed nią szaroniebieska dolina, której przeciwległe, oddalone o kilka kilometrów zbocze wyznaczała naga granitowa ściana, przed sobą zaś miała tylko świeże powietrze wiosennego dnia; w ostatnich chwilach życia spadałaby przez nie, wirując i na darmo wzywając pomocy mamusi.

Trisha nie myślała, bała się tak bardzo, że nie była w stanie myśleć, lecz jej ciało samo z siebie rozpoznało, że nie zdąży zatrzymać się przed urwiskiem. Mogła tylko mieć nadzieję, że zdoła skręcić, nim będzie za późno. Skoczyła w lewo, prawa stopa poślizgnęła się i dziewczynka zawisła nad przepaścią. Słyszała, jak od skalnej ściany odrywają się kamyki i spadają w dół.

Biegła teraz wzdłuż krawędzi urwiska, po cienkiej linii, odgradzającej zasypane igłami poszycie lasu od nagiej skały. Biegła, w jakiś niejasny, lecz dobitny sposób zdając sobie sprawę z nieszczęścia, które omal jej nie spotkało. Jednocześnie gdzieś z głębin pamięci wypłynęła scena z filmu science fiction, w którym bohater oszukał atakujące go dinozaury, tak że we wścieklej szarzy spadły w przepaść.

Przed nią pojawił się dąb. Dobre sześć metrów jego pnia wisiało nad przepaścią niczym bukszpryt statku. Dziewczynka chwyciła drzewo w objęcia i przytuliła się do niego, przylgnęła podrapanym, zakrwawionym policzkiem do gładkiej kory, oddychając z wysiłkiem – każdy oddech odzywał się w jej

płucach gwizdem, a przez usta wychodził jako szloch. Stała tak długą, długą chwilę, drżąc i przerażona, nie śmiąc oderwać się od drzewa. W końcu otworzyła oczy. Patrzyła w prawo i dostrzegła to, czego tak bardzo nie chciała dostrzec.

W tym miejscu zbocze doliny miało niewiele więcej niż piętnaście metrów wysokości. Dno usłane było polodowcowymi, ostrymi głazami, spomiędzy których wyrastały gdzieniegdzie jaskrawozielone krzaczki. Nie brakowało tam też nadgniłych drzew i gałęzi, pozostałości po jakiejś dawnej burzy. Nagle z przeraźliwą jasnością wyobraziła sobie, co mogłoby się zdarzyć; oczami wyobraźni widziała samą siebie spadającą na dno, krzyczącą i wymachującą ramionami, widziała martwą ostrą gałąź, która przebija jej ciało pod dolną szczęką, przechodzi między zębami, przyszpila język do podniebienia niczym czerwoną karteczkę, a w końcu dociera do mózgu i zabija ją.

– Nie! – krzyknęła, czując jednocześnie wstręt i przerażenie, bo przecież tak mogło być, tak omal nie było! Zachłysnęła się własnym oddechem. – Ale nic się nie stało – powiedziała cicho, szybko. Zadrapania po kolecach na ramionach i skaleczenia na policzku pulsowały bólem i szczypały od potu, z czego dopiero teraz zaczynała zdawać sobie sprawę. – Nic mi się nie stało, wszystko w porządku. Nic ci się nie stało, mała. – Puściła pień, zachwiała się i znów schwyciła go kurczowo w nagłym ataku paniki. Nie myślała jeszcze całkiem racjonalnie i po trosze spodziewała się, że ziemia w każdej chwili może się przechylić i zrzucić ją w przepaść. – Nic mi nie jest – powtórzyła tym samym szybkim, zdyszany głosem. – Nic mi nie jest, nic mi nie jest. – Powtarzała te słowa raz za razem, niczym zaklęcie, upłynęło jednak kilka minut, nim była w stanie zmusić się do puszczenia pnia przewróconego dębu po raz drugi, a gdy wreszcie jej się to udało, natychmiast odstępiała od urwiska. Włożyła czapkę na głowę, obracając ją daszkiem do tyłu, z czego zresztą nie zdawała sobie sprawy, i spojrzała przez całą szerokość doliny. Zobaczyła niebo, ciężkie od deszczowych chmur, zobaczyła drzewa, na oko ze sześć bilionów drzew, nie dostrzegła natomiast ani śladu obecności człowieka, choćby tylko dymu z ogniska.

– Wszystko w porządku, ze mną wszystko w porządku – powiedziała głośno, odsuwając się od rozpadliny. Krzyknęła, gdy coś – wąż, wąż – otarło się o jej nogę, ale były to oczywiście tylko krzaki. Krzaki golterii, las był ich pełen, takich słodkich, takich obrzydliwych. I owady znów ją znalazły, otoczyły chmarą, setki czarnych plamek tańczyły jej przed oczami, tylko że teraz wydawały się czarniejsze niż przedtem, a także otwierały się niczym kwiaty czarnych róż. Trisha zdążyła jeszcze pomyśleć: „Mdleję, właśnie mdleję” – i przewróciła się na wznak, wywracając oczy, tak że widać było tylko białka. Muszki krążyły nad jej bladą twarzą, a po chwili dwa najodważniejsze komary usiadły na jej powiekach i rozpoczęły ucztę.

## Początek czwartej

Odzyskując przytomność, Trisha pomyślała najpierw: „Mama przesuwa meble”. Potem, że tata zabrał ją do hali Good Skaters w Lynn i że to dzieciaki szaleją na rolkach na starym drewnianym, pochylonym torze. Nagle coś zimnego rozprysło jej się na nosie, więc otworzyła oczy. Kolejna kropla wody trafiła ją wprost w czoło. Na niebie zabłysło jaskrawe białe światło, skrzywiła się i zmrużyła oczy. Huk grzmotu spowodował, że z chrapliwym jękiem obróciła się na bok i instynktownie zwinęła w pozycji płodu. I wówczas niebiosa się rozwarły.

Trisha usiadła i mechanicznie włożyła na głowę leżącą obok na ziemi czapkę. Oddychała ciężko, niczym ktoś, kogo wrzucono do bardzo zimnej wody (a czuła się dokładnie jak ten ktoś). Skoczyła na równe nogi, zachwiała się, lecz nie upadła. Rozległ się kolejny grzmot, na niebie pojawiła się białoniebieska blizna błyskawicy. Stojąc tak z wodą ściekającą z nosa, z mokrymi włosami przylepionymi do policzków, Trisha dostrzegła wysoki, na pół uschnięty świerk w dolinie, wybuchający nagle i rozpadający się na dwie płonące części.

A potem spadł deszcz tak gęsty, iż dolina na jej oczach zmieniła się we własny szkieł, przesłonięty szarą gazą.

Trisha wycofała się w głąb lasu. Przyklękła i wyciągnęła z plecaka niebieski płaszcz przeciwdeszczowy. Włożyła go (tata powiedziałby w tym momencie: „Lepiej późno niż wcale”), po czym usiadła przy powalonym drzewie. W głowie nadal jej się kręciło, powieki miała spuchnięte i swędzące. Okrywające ją gałęzie powstrzymywały deszcz, zbyt gwałtowny jednak, by zdołały powstrzymać go skutecznie. Narzuciła na głowę kaptur i słuchała dźwięku spadających nań kropeł, bardzo podobnego do odgłosu deszczu uderzającego w dach samochodu. Dostrzegła wszechobecną chmurę muszek, pomachała przed oczami dłonią, ale w tym geście brakowało siły. „Nic ich nie odpędzi, zawsze są głodne, kłuły mnie w powieki, kiedy leżałam nieprzytomna, i nie pogardzą nawet moim martwym ciałem” – pomyślała i znów się rozplakała, cicho, rozpaczliwie. Nie przestała jednak opędzać się od much, kurczyła się też za każdym grzmotem. Bez zegarka, nie widząc słońca, nie miała pojęcia, jak szybko mija czas. Wiedziała tylko tyle, że siedzi nieruchomo, skulona, mała postać w niebieskim płaszczku, przytulona do zwalonego drzewa, póki huk grzmotów nie zaczął cichnąć na wschodzie niczym pokonany, lecz nadal agresywny byk. Deszcz ciągle padał. Komary bzycały wokół niej, jeden nawet zabłąkał się pod kaptur. Przycisnęła kaptur kciukiem do głowy i jękiwie bzyczenie nagle umilkło.

– A masz – powiedziała ponuro. – Załatwiłam cię, przerobiłam na marmoladę.

Kiedy próbowała wstać, poczuła burczenie w żołądku. Przedtem nie była głodna, ale to zdążyło się już zmienić. Okropna była sama myśl o tym, że błędziła wystarczająco długo, by zgłodnieć. Zastanowiła się przelotnie, ile takich okropnych rzeczy jeszcze ją spotka, i doszła do wniosku, że lepiej nic nie widzieć, niczego nie przewidywać. „Może już żadna? – pomyślała. – Hej, dziewczyno, uśmiechnij się, może wszystkie okropne rzeczy są już za tobą”.

Zdjęła płaszcz i nim otworzyła plecak, przyjrzała się sobie dokładnie. Wyglądała żałośnie, przemoczona do suchej nitki i od stóp do głów pokryta sosnowymi igłami, na które padła zemdlona.

„Zemdlałam pierwszy raz w życiu – pomyślała. – Będę musiała powiedzieć o tym Pepsi, zakładając oczywiście, że kiedyś jeszcze ją zobaczę”.

– Tylko nie zaczynaj – upomniwała się głośno i odpięła klapę plecaka. Wyjęła z niego jedzenie i picie, układając je przed sobą w prostej linii. Widok papierowej torby z drugim śniadaniem sprawił, że żołądek zaburczał jej głośniejsze, bardziej natarczywie. Która właściwie może być godzina? Ukryty gdzieś głęboko umysłowy zegar, sterowany metabolizmem ciała, powiedział jej, że jest prawdopodobnie około trzeciej po południu, że od czasu, kiedy we wnęce śniadaniowej kuchni ich domu radośnie zjadła płatki kukurydziane, minęło osiem godzin, a od chwili, gdy zdecydowała się pójść po trzykroć przeklętym skrótem, pięć. Było około trzeciej. Może nawet bliżej czwartej.

Na drugie śniadanie przygotowała sobie jajko na twardo (nadal w skorupce), kanapkę z tuńczykiem i kilka łydąg selera. Miała także małą torebkę chipsów, całkiem dużą butelkę wody, butelkę surge, największą, dwudziestojednouncjową, bo bardzo lubiła surge, oraz batoniki Twinkie.

Na widok cytrynowo-limonowej oranżady Trisha poczuła nagle, że bardziej chce jej się pić niż jeść, a przede wszystkim jest szaleńczo wręcz spragniona cukru. Odkręciła zakrętkę, podniosła butelkę do ust i zawahała się. Pragnienie pragnieniem, ale nie byłoby najsmardziej wypić pół butelki jednym haustem. Nie jest przecież wykluczone, że pozostanie w lesie przynajmniej przez jakiś czas. Nie miała ochoty w to uwierzyć, jęknęła, próbowała odsunąć od siebie tę głupią, wręcz szaleńczą myśl, ale jednocześnie doskonale wiedziała, że nie może sobie na to pozwolić. Kiedy wyjdzie wreszcie z tych lasów, znów będzie mogła myśleć jak dziecko, na razie jednak powinna zachowywać się jak dorosła, w każdym razie w miarę możliwości.

„Przecież wiesz, co widziałas – pomyślała. – Wielką dolinę, w której nie było nic oprócz drzew. Ani śladu drogi, ani śladu dymu. Więc musisz zachowywać się mądrze. Musisz oszczędzać zapasy. Mama udzieliłaby ci dokładnie takiej rady. Tata też”.

Wypiła trzy łyki surge, odsunęła butelkę od ust, czknęła i wypiła jeszcze dwa. Starannie zakręciła korek, po czym przyjrzała się reszcie zapasów.

Zdecydowała się na jajko. Obrała je, bardzo dbając o to, by skorupki odłożyć do plastikowej torebki, w którą jajko było pierwotnie zapakowane (do głowy jej nie przyszło, że śmiecić i w ogóle pozostawiając jakieś ślady swej obecności, może uratować życie), a następnie posypała je solą. Zaszlochała przy tym krótko, wyobraźnia bowiem pokazała jej małą dziewczynkę w bezpiecznej kuchni w domu, sypiącą sól na papieraek i skręcającą go zgodnie z naukami matki. Widziała cień głowy i rąk tej dziewczynki, rzucany na biały kuchenny blat przez zapaloną lampę, słyszała dobiegający z dużego pokoju dźwięk telewizyjnych wiadomości, słyszała kroki chodzącego po sypialni na piętrze Petera. Wspomnienie to było czyste, wyraźne i jasne niczym halucynacja, wydawało się niemal wizją. Zupełnie jak u tonącego, który widzi samego siebie siedzącego w łodzi, spokojnego, rozluźnionego, tak straszliwie, beztrudnie bezpiecznego.

Trisha miała jednak lat dziewięć, prawie dziesięć, i była wysoka jak na swój wiek. Głód okazał się silniejszy niż wspomnienia i strach. Posoliła jajko i zjadła je szybko, nadal szlochając. Smakowało wspaniale. Chętnie zjadłaby drugie, a zapewne nawet i trzecie. Matka nazywała je wprawdzie „bombami cholesterolowymi”, ale cholesterol nie wydawał się szczególnie groźny komuś, kto zabłądził w lesie, krwawił z zadrapań, a powieki miał tak opuchnięte od ugryzień owadów, że sprawiały wrażenie obłożonych czymś, może ciastem przyklejonym do rzęs.

Przyjrzała się batonikom, po czym odwinęła sreberko i zjadła jeden. „Seks...szkolne!” – westchnęła; tego największego ze wszystkich komplementów nauczyła się oczywiście od Pepsi. Napiała

się wody. Potem, szybko, nie dając szansy dłoniom, bo któraś mogła okazać się zdrażczynią i wepchnąć jej w usta coś jeszcze, spakowała resztę jedzenia do torby, zwinęła ją (torba dała się zwinąć znacznie bardziej niż przedtem), sprawdziła, czy butelka surge została dobrze zakrecona, i schowała wszystkie swe dobra do plecaka. Jej palce trafiły na wypukłość jednej z kieszeni i nagle doznała uczucia zachwytu, mającego być może coś wspólnego z wchłoniętymi przed chwilą kaloriami.

Walkman! Zabrała ze sobą walkmana! O tak!

Odpięła wewnętrzną kieszonkę i wyjęła go, trzymając urządzenie delikatniej niż ksiądz eucharystię. Przewód słuchawek owinięty był wokół niego starannie, same słuchawki przypięte do plastikowych uchwyty. W środku znajdowała się ulubiona w tej chwili taśma jej i Pepsi, *Tubthumper* Chumbawamy, ale Trishy nie zależało akurat na muzyce. Nałożyła słuchawki i wsunęła je w uszy, przełączyła funkcję na radio i włączyła walkmana. Najpierw usłyszała wyłącznie szum, radio bowiem nastawione było na WMGX nadające z Portlandu, nieco niżej na skali znajdowało się jednak WOXO z Norway, a po drugiej stronie WCAS, niewielka stacja z Castle Rock, miasteczka, które mijali po drodze na tę wycieczkę. Niemal słyszała głos brata, ociekający nowo odkrytą ironią nastolatka, mówiącego: „WCAS! Pipidówka dzisiaj, reszta świata jutro”. I rzeczywiście WCAS było stacją prowincjonalną, bez najmniejszych wątpliwości. Nadawało płaczące piosenki kowbojskie, śpiewane przez wykonawców takich jak Mark Chestnut i Trace Adkins, a w przerwach didżejka przyjmowała telefony od ludzi pragnących sprzedać pralki, suszarki, buicki i broń myśliwską. A jednak Trisha miała teraz jakiś kontakt z ludźmi, słyszała w tej dzicy ich głosy, usiadła więc na zwalonym drzewie, zachwycona, machinalnie opędzając się czapczką od owadów. Podano godzinę – była trzecia dziewięć.

O wpół do czwartej didżejka przerwała „Radiowy sklepik” na chwilę wystarczającą do przeczytania lokalnych wiadomości. Społeczność Castle Rock zdecydowanie wystąpiła przeciw barowi, który na piątkowe i sobotnie wieczory zatrudnił tancerki topless, w miejscowym domu starców wybuchł pożar (na szczęście nikt nie ucierpiał), tor wyścigów samochodowych w Castle Rock miał zostać otwarty po renowacji na święto Czwartego Lipca z nowiutkimi trybunami, zapowiadany jest pokaz sztucznych ogni. Popołudnie deszczowe, noc pogodna, jutrzejszy ranek słoneczny, temperatura dochodząca do trzydziestu stopni. I to wszystko. Ani słowa o zaginionej dziewczynce. Nie wiedziała, czy ma się tym cieszyć, czy martwić.

Już miała wyłączyć radio, kiedy kobiecy głos podał jeszcze jedną informację: „I nie zapomnijcie, proszę, że bostońscy Red Soxci walczą dziś z tymi utrapionymi nowojorskimi Jankesami. Spotkanie zaczyna się o siódmej i jasne, będziecie mogli wysłuchać transmisji tu, na WCAS, gdzie wszyscy wciągnęliśmy oczywiście czerwone skarpety. A teraz wracamy do...”.

„A teraz wracamy do najbardziej głównianego dnia w życiu małej dziewczynki” – pomyślała Trisha, wyłączając radio i owijając je sznurem słuchawek. Mimo wszystko musiała przyznać, że po raz pierwszy od chwili, gdy poczuła ten charakterystyczny skurcz gdzieś między sercem a żołądkiem, odzyskała coś w rodzaju spokoju i poczucia pewności. Częściowo zapewne dlatego, że zjadła co nieco, ale zapewne więcej miał z tym wspólnego ludzki głos z radia, prawdziwy ludzki głos, rozbrzmiewający tuż przy uchu.

Komary zgromadziły się w stada na jej udach, próbując przegryźć się przez materiał dżinsów. Dzięki Bogu, nie włożyła szortów, z jej nóg pozostałyby wyłącznie ogryzione kości.

Ubiła komary i wstała. Co teraz? Czy wie, co powinien robić ktoś, kto się zgubił w lesie? No cóż, wiedziała, że słońce wschodzi na wschodzie i zachodzi na zachodzie, i niewiele więcej. Ktoś kiedyś powiedział jej, że mech rośnie na drzewach od strony północnej, a może południowej, tak naprawę nie

pamiętała której. Być może najmądrzejsze, co mogła zrobić, to pozostać na miejscu, znaleźć sobie schronienie przed komarami raczej niż deszczem (kilku z nich znów udało się przedostać pod kaptur i doprowadzały ją do szaleństwa) i czekać na ekipę ratunkową. Gdyby miała zapałki, mogłaby spróbować rozpałcić ognisko, las był mokry po deszczu i ogień z pewnością by się nie rozprzestrzenił, a dym wskazałby drogę ratownikom. Oczywiście „gdyby świnie miały skrzydła, boczek umiałby latać”. Mądrość ze skarbicy ojca.

– Zaraz, chwileczkę – powiedziała głośno. – Zaraz, chwileczkę...

Pamiętała coś o wodzie. Można wydostać się z lasu dzięki pomocy wody. Tylko jak?...

Przypomniała sobie odpowiedź na to pytanie i znów poczuła znajome uniesienie, tak silne, że zakreśliło jej się w głowie. Zachwiała się, jakby nagle usłyszała puls rytmicznej muzyki... Trzeba znaleźć strumień! Tej mądrości nie zawdzięczała matce, znalazła ją w książeczce z cyklu *Little House*, bardzo dawno temu, miała wówczas może z siedem lat. Trzeba znaleźć strumień, pójść z jego prądem, a prędzej czy później strumień albo wyprowadzi cię z lasu, albo doprowadzi do większego strumienia. Jeśli doprowadzi do większego strumienia, trzeba iść z jego prądem aż do znalezienia jeszcze większego strumienia. W każdym razie któryś z kolejnych „większych strumieni” z całą pewnością wyprowadzi człowieka z lasu, wszystkie strumienie bowiem płyną do morza, a nad morzem nie ma lasu, tylko plaże, klify i od czasu do czasu latarnie morskie. A jak ma znaleźć strumień? Ależ nie ma nic prostszego, wystarczy iść wzdłuż krawędzi urwiska, w które omal nie wpadła, taka była głupia. Krawędź urwiska poprowadzi ją w jednym określonym kierunku, więc prędzej czy później musi znaleźć ten pierwszy strumyk. W lasach ich nie brakuje, w lesie najłatwiej znaleźć strumyk...

Zarzuciła plecak na ramiona – tym razem także na płaszcz przeciwdeszczowy – po czym ostrożnie podeszła do krawędzi urwiska w miejscu, w którym leżał powalony przez burzę dąb. W tej chwili Trisha myślała o swym panicznym biegu przez las z mieszaniną czułości i wstydu charakterystyczną dla dorosłego, wspominającego wyjątkowo niemiłe przeżycia dzieciństwa, mimo wszystko jednak nie była w stanie podejść zbyt blisko krawędzi. Gdyby to zrobiła, pewnie dostałaby mdłości. Może by zemdlała... albo na przykład zwymiotowała. A zwymiotować tę odrobinę jedzenia, którą przed chwilą spożyła, to byłby naprawdę bardzo nierozsądny pomysł...

Skręciła w lewo i ruszyła przez las, mając krawędź doliny w odległości co najmniej pięciu metrów, po prawej ręce. Co pewien czas wręcz zmuszała się, by podejść nieco bliżej i upewnić się, że się od niej nie oddala, że i ona, i widoczna za nią bezkresna dolina nadal pozostają w zasięgu wzroku. Wciąż nasłuchiwała też ludzkich głosów, ale bez wielkiej nadziei. Nie wiadomo, któredy przebiegał główny szlak, mogła nań natrafić wyłącznie dzięki łutowi najgłupszego w świecie szczęścia. Teraz najważniejszy był szmer strumienia – i wreszcie go usłyszała.

„Niewielki pożytek z wodospadu, który wali się w dół z tego przeklętego urwiska” – pomyślała i zdecydowała, że nim uda się jej dotrzeć do strumienia, podejździe i sprawdzi, jak to urwisko wygląda. W ten sposób przynajmniej uniknie rozczarowania.

Drzewa rosły tu nieco dalej od krawędzi, przestrzeń między granicą lasu a zboczem doliny porastały krzaki, które za cztery do pięciu tygodni nakarmiłyby ją bez wątpienia czarnymi jagodami. Na razie jednak przyszłe jagody miały postać zielonych kulek, najzupełniej niejadalnych. Nie brakowało tu jednak golterii, jak najbardziej jadalnych, co warto było chyba zapamiętać. Tak na wszelki przypadek.

Ziemia pomiędzy krzaczkami jagód była jałowa, skalista, odzywała się pod nogami Trishy dźwiękiem przypominającym deptanie rozbitego szkła. Szła po tym piargu bardzo ostrożnie, a kiedy znalazła się jakieś trzy metry od krawędzi, opadła na czworaki i zaczęła się czołgać. „Jestem

bezpieczna – powtarzała sobie – jestem najzupełniej bezpieczna, bo wiem, czym mi to grozi...”, a jednak serce jak młotem waliło jej w piersi. Dotarła wreszcie nad skraj przepaści i roześmiała się krótko, nerwowo, przepaści bowiem właściwie tu nie było.

Dolina nadal wydawała się bardzo szeroka, ale i to się miało wkrótce zmienić, gdyż po tej stronie jej krawędź opadała; Trisha tak intensywnie wsłuchiwała się w szmer wody i tak intensywnie myślała (przede wszystkim o tym, by znów nie wpaść w panikę), że w ogóle nie zdawała sobie z tego sprawy. Podpełzła nieco dalej, za ostatni rząd krzaczków, i spojrzała w dół.

Ściana doliny miała w tym miejscu najwyżej sześć metrów, i nie była to już skalna ściana, lecz raczej stromy piarg. Na dnie dziewczynka dostrzegła nagie drzewa, krzaczki jagód i kolczaste jeżyny, rosnące pomiędzy ostrymi, polodowcowymi skałami. Deszcz przestał już padać, grzmoty rozlegały się zaledwie od czasu do czasu, niegroźne, lecz dowodzące, że natura nie jest w najlepszym humorze, po burzy pozostała jednak mżawka; widoczne na dole głązy robiły wrażenie nieprzyjemnych, śliskich, niczym żużel pozostały po wytopianiu żelaza.

Trisha cofnęła się i wstała. Brnąc wśród niskich krzaczków, ruszyła w kierunku, skąd dobiegał odgłos strumienia. Zaczynała już odczuwać zmęczenie, bolały ją mięśnie nóg, uznała jednak, że w zasadzie jest w dobrej formie. Bała się, pewnie, że się bała, ale przynajmniej nie tak strasznie jak przedtem. To przecież jasne, że ktoś ją znajdzie. Ktoś zawsze znajduje ludzi, którzy gubią się w lesie. Używa się do tego samolotów, helikopterów i specjalnie tresowanych psów, pracujących dopóty, dopóki ten, kto się zgubił, nie zostanie odnaleziony.

„A może ja sama jakoś się uratuję – pomyślała. – Znajdę chatę traperską, wejdę do niej przez okno, jeśli drzwi będą zamknięte, i oczywiście nikogo w środku nie zastanę, ale będzie tam telefon...”

Oczami wyobraźni Trisha już widziała się w chacie jakiegoś trapera, nieużywanej od jesieni, oczami wyobraźni widziała kraciastą ceratę, narzuconą niedbale na meble, i niedźwiedzią skórę na podłodze. Czula zapach kurzu i popiołu z węglowej kuchni, ten jej sen na jawie był tak przekonujący, że czula nawet zapach dawno parzonej kawy! Chata była pusta, lecz wyposażona w telefon, staroświecki, z ciężką słuchawką, którą podnosiło się do ucha obiema dłońmi, ale działający. Słyszała nawet, jak mówi do słuchawki: „Halo? Mama? Tu Trisha. Właściwie to nie wiem, gdzie jestem, ale nic mi się nie...”.

Wyobrażona, nieistniejąca chata i wyobrażony, nieistniejący telefon zaprzętnęły ją tak bardzo, że omal nie wpadła do strumyka wypływającego z lasu i spadającego po niskim, kamienistym stoku. W ostatniej chwili złapała się gałęzi brzozy i zapatrzyła w strumyk z uśmiechem na ustach. Dzień miała gówniany, nie da się ukryć, iż był to dzień *très* gówniany, ale szczęście chyba już się do niej uśmiechnęło, więc czapki z głów, panie i panowie! Podeszła do krawędzi urwiska. Strumyk spadał z niego, tu i ówdzie trafiając na co większe głązy i pieniać się na nich; w słoneczne popołudnie w pianie widziałyby zapewne tęcze. Zbocze po jego obu stronach wydawało się śliskie, zdradzieckie, pełne luźnych, wilgotnych kamieni, mimo wszystko jednak krzaki rosły tu dość gęsto. Gdyby zdarzyło się jej poślizgnąć, chwyciłaby się po prostu któregoś z nich, tak jak przedtem chwyciła się pnia brzozy.

– Woda prowadzi do ludzi – powiedziała głośno i zaczęła schodzić na dół.

Schodziła bokiem, drobnymi kroczkami, prawym brzegiem strumyka. Z początku szło jej nieźle, mimo iż zbocze okazało się w rzeczywistości bardziej strome, niż mogło się to wydawać z góry, a kamienie usuwały się spod nóg przy każdym kroku. Niesiony na ramionach plecak, o którym niemal zapomniała, ujawnił teraz swe istnienie, przypominając ciężkie, choć bezwładne dziecko w nosiłkach; ilekroć się przesunął, musiała machać rękami, by utrzymać równowagę. Mimo to wszystko nadal

wydawało jej się w porządku – i bardzo dobrze, ponieważ kiedy przystanąła w połowie drogi z prawą, położoną niżej, stopą wciśniętą między luźne kamienie, zdała sobie sprawę, że wrócić na górę już nie zdoła. Na dobre czy na złe, musiała zejść w dolinę.

Ruszyła przed siebie. W trzech czwartych drogi owad, wielki owad, nie muszka i nie komar, uderzył ją w twarz, i była to osa, bez wątpienia osa. Zamachnęła się na nią z krzykiem, plecak przekrzywił się gwałtownie i nagle nie sposób już było mówić o utrzymaniu równowagi. Upadła, ramieniem uderzyła w skaliste podłoże, aż szczęknęły jej zęby, i zaczęła się zsuwać.

– Kurka wodna! – krzyknęła, kurczowo chwytając się, czego tylko się dało. Zdołała uchwycić garść kamieni, które spadały wraz z nią, poczuła nagły ból, kiedy ostry odłamek kwarcu przeciął jej dłoń. Trafiała na krzak, którego nie obroniły przed nią absurdalnie płytkie korzenie. Trafiała na coś stopą, prawa noga wygięła się boleśnie i Trisha nagle wleciała w powietrze, wykonując niezaplanowane salto, choć miała wrażenie, że to świat kręci się wokół niej.

Upadła na plecy i zsuwała się dalej, szeroko rozstawiając nogi i wymachując ramionami, krzycząc z bólu, strachu i zaskoczenia. Płaszcz przeciwdeszczowy i bluza podwinęły się jej aż na łopatki, ostre kamienie wrywały kawałki skóry z pleców. Próbowwała hamować stopami, lewa trafiła w głębiej wbity w ziemię kamień, co obróciło ją w prawo. Trisha natychmiast zaczęła się toczyć, brzuch, plecy, brzuch, plecak to wbijał się jej w ramiona, to podrywał ją w powietrze. Niebo jakimś cudem znalazło się w dole, nieznośny ostry piarg w górze, potem zamieniły się miejscami, zmiana partnera w tańcu, wszyscy zmieniamy partnerów.

Ostatnie dziesięć metrów Trisha zjechała na lewym boku, z wyciągniętym lewym ramieniem i twarzą skrytą w zgięciu łokcia. Coś uderzyło ją wystarczająco mocno, by nabić jej siniaków na tym boku, i nagle, nim w ogóle zdążyła spojrzeć nad ramieniem, poczuła świdrujący ból tuż nad lewą kością policzkową. Krzyknęła i poderwała się na kolana, instynktownie uderzając i miażdżąc to coś, czyli oczywiście kolejną osę, która zdołała jednak użądlić ją po raz drugi, a kiedy Trisha otworzyła oczy, ujrzała osy wszędzie dookoła, żółto-brązowe potwory o zwisających, ciężkich odwłokach, obrzydliwe, tłuste fabryki jadu.

Ześlizgnęła się wprost na martwe drzewo u stóp zbocza, jakieś siedem metrów od wesołego strumyka. W miejscu, gdzie z jego pnia wyrastały najniższe gałęzie, dokładnie na poziomie oczu dziewczynki dziewięcioletniej, ale wysokiej jak na swój wiek, wisiało szare gniazdo. Wściekle osy pełzały po nim, a inne wylatywały z otworu u góry.

Kolejna osa użądliła Trishę w szyję po prawej, tuż pod daszkiem czapki, następna w prawe ramię nad łokciem. Wrzeszcząc, w ślepej panice, dziewczynka rzuciła się do ucieczki. Poczuła przeszywający ból w karku i na plecach, nisko, tuż nad paskiem dżinsów, pod podwiniętą bluzą i między strzępami podartego płaszcza przeciwdeszczowego. Biegła w kierunku strumienia bezmyślnie, bez planu, bez żadnego zamiaru, nie widziała tam po prostu żadnych większych przeszkód. Śmigała między kępami krzaków, a kiedy się zagęściły, przedierała się, depcząc je i tratując. Ciężko dysząc, zatrzymała się wreszcie nad brzegiem strumienia; zapłakana i przerażona, obejrzała się przez ramię. Osy znikły, ale nim im uciekła, zdołały przecież dokonać dzieła zniszczenia. Lewe oko, blisko którego użądliła ją pierwsza, było tak spuchnięte, że nic przez nie nie widziała.

„Jeśli jestem uczulona na jad os, umrę” – pomyślała, ale nadal w szoku, nie przywiązywała do tej refleksji większego znaczenia. Usiadła na brzegu strumyka, przyczyny jej ostatnich kłopotów, szlochając i pociągając nosem. Opanowała się odrobinę, zdjęła z ramion plecak. Jej ciałem targały dreszcze, na przemian sztywniało ono i rozluźniało się, a kiedy mięśnie się napinały, czuła ostry ból



ukąszeń. Objęła plecak ramionami, kołysała go na kolanach jak dziecko i płakała. Przypomniła jej Monę spoczywającą na tylnym siedzeniu samochodu, pocziwiałą starą Moanie Balognę o wielkich niebieskich oczach. Był taki czas, kiedy rodzice najpierw rozważali rozwód, a potem się rozwodzili, gdy uważała Monę za swą jedyną pociechę; nawet Pepsi nie byłyby w stanie zrozumieć, co przeżywała. Teraz rozwód rodziców wydawał jej się sprawą nieważną, wręcz błahą. Na świecie istniały sprawy boleśniejsze niż dwójka dorosłych, którzy nie potrafią żyć razem, na przykład osy, i Trisha dałaby wiele, by znów mieć przy sobie Monę.

Na szczęście nie miała umrzeć od osiego jadu, bo gdyby miała, to zapewne już by umarła. Podслуchała kiedyś, jak mama i pani Thomas, mieszkająca po drugiej stronie ulicy, rozmawiały o kimś uczulonym na osy czy pszczoły i pani Thomas powiedziała wówczas: „W dziesięć sekund po użądleniach biedny Frank był spuchnięty jak balon. Gdyby nie miał przy sobie strzykawki, to chyba udusiłby się na śmierć”. Ona jednak bynajmniej się nie dusiła, choć użądlenia strasznie ją bolały i rzeczywiście, puchły niemal jak balony. To przy oku zmieniło się w miniaturowy wulkan gorącej tkanki, a kiedy przycisnęła je palcami, przeraźliwy ból odczuła aż w głowie i po prostu musiała krzyknąć. Nie płakała już, lecz mimo to z jej lewego oka łyzy płynęły nieprzerwanym strumieniem.

Poruszając dłońmi ostrożnie, delikatnie, Trisha sprawdziła, w jakim jest stanie. Udało się jej umiejscowić co najmniej sześć użądleń, a tuż nad biodrem po lewej było miejsce, w które wbiły się dwa lub nawet trzy żądła, i ono bolało najbardziej. Plecy zdawały się wręcz odarte ze skóry, lewe ramię zaś, którym osłaniała się podczas ostatniego etapu zjazdu, ociekało krwią od łokcia aż do nadgarstka. Policzek, zraniony wcześniej gałęzią, teraz znów krwawił.

„To nie w porządku – uznała. – To nie w po...”

I nagle do głowy wpadła jej straszna myśl, tylko że nie była to właściwie myśl, lecz raczej pewność. Rozbiła walkmana, jej walkman roztrzaskał się na milion części w kieszeni plecaka, niemożliwe, żeby przetrwał zjazd po zboczach. Chwyliła sprzączki zakrwawionymi, drżącymi palcami, szarpała paski i wreszcie odpięła klapę. Wyciągnęła gameboya, oczywiście zniszczonego, z displayu, na którym tańczyły niegdyś elektroniczne znaczniki, pozostało tylko kilka kawałków żółtego szkła. Pękła również torba chipsów i biała plastikowa obudowa pokryta była tłustymi okruciami.

Obie plastikowe butelki, wody i surge, były wgniecione, lecz całe. Torba z drugim śniadaniem miała teraz grubość jeża przejechanego przez samochód, ją także oblepiały okruczy chipsów, Trisha nie pofatygowała się jednak, by zajrzeć do środka. „Mój walkman – powtarzała raz za razem, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że szlochła. Otworzyła wewnętrzną kieszeń. – Mój mały, biedny walkman”. Urwanie kontaktu z głosami z prawdziwego, ludzkiego świata wydawało się jej w tej sytuacji wręcz nie do zniesienia.

Sięgnęła do kieszeni i oto zdarzył się cud... wyciągnęła walkmana nienaruszonego. Tyle że sznur słuchawek, poprzednio schludnie obwiązany wokół niego, zsunął się i splątał, ale to wszystko. Trzymała go w dłoniach, z niedowierzaniem biegając wzrokiem od niego do gameboya i z powrotem. Jakim cudem jedno przetrwało bez uszczerbku, a drugie zostało tak całkowicie zniszczone? Jak to możliwe?

„To niemożliwe – odpowiedział jej zniechęcony głos w głowie. – Walkman wygląda dobrze, ale ma zniszczony środek”.

Trisha wyprostowała przewód, założyła słuchawki i położyła palec na przycisku „Power”. Zapomniała o żądłach, o ugryzieniach owadów, o zadrapaniach i rozcięciach. Zamknęła spuchnięte, ciężkie powieki, odcinając się od zewnętrznego świata.

– Boże, błagam – powiedziała w tę ciemność – nie dopuść, by mój walkman był zepsuty.

I włączyła go.

– Informacja z ostatniej chwili – powiedział głos didżejki, tak czysty i dźwięczny, jakby przemawiał do Trishy w środku głowy. – Kobieta z Sanford, odbywająca z dwojgiem dzieci wycieczkę odcinkiem Szlaku Appalachów, poinformowała władze, że jej córka, dziesięcioletnia Patricia McFarland, znikła, prawdopodobnie zabłądziwszy w lasach na zachód od TR-90 i miasteczka Motton.

Trisha otworzyła szeroko oczy i słuchała radia jeszcze przez dobre dziesięć minut, mimo iż WCAS, niczym jakiś nałogowiec, natychmiast powróciło do kowbojskiej muzyki i informacji o wyścigach NASCAR. A więc zabłądziła w lesie i informację tę podano oficjalnie, w radiu. Zatem już bardzo niedługo oni rozpoczną akcję poszukiwawczą, kimkolwiek byliby ci oni; najprawdopodobniej są to ludzie w gotowych do startu helikopterach i treserzy psów gończych. „Matka będzie śmiertelnie przerażona” – pomyślała Trisha i ku własnemu zaskoczeniu odczuła odrobinę satysfakcji.

„Nie miałam odpowiedniej opieki – tłumaczyła się, zdejmując z siebie jakąkolwiek odpowiedzialność za to, co się stało. – Jestem małą dziewczynką i nie miałam odpowiedniej opieki. A jeśli będzie na mnie krzyżeć, powiem jej: «Kłóciliście się cały czas, nie potrafiliście przestać, a ja miałam już tego kompletnie dość»”. Pepsi by się to spodobało.

W końcu wyłączyła jednak walkmana, owinęła go kablem słuchawek, cmoknęła z wdzięczności gładką obudowę i schowała troskliwie urządzenie do kieszeni plecaka. Przyjrzała się spłaszczonej torbie ze śniadaniem i zdecydowała, że brak jej siły charakteru, by otworzyć ją i sprawdzić, w jakim stanie jest kanapka z tuńczykiem i drugi baton. Byłoby to przeżycie zbyt przygnębiające. Dobrze przynajmniej, że zjadła jajko, zapobiegając w ten sposób jego przetworzeniu na sałatkę jajeczną. Na tę myśl powinna być może zachichotać, ale jakoś nie była w stanie. Studnia chichotów, którą jej matka uważała za niewyczerpaną, najwyraźniej wyschła.

Usiadła na brzegu strumyczka, w tym miejscu szerokiego na zaledwie metr z kawałkiem, i wpatrzona weń ponuro, zjadała chipsy, najpierw te z pękniętej torby, potem te przyklejone do torebki z drugim śniadaniem, a na końcu okruszki, które przylgnęły do dna plecaka. Jakiś wielki owad, bucząc, przeleciał jej przed twarzą, krzyknęła i uniosła dłoń w obronnym geście, ale była to tylko ważka.

Wreszcie, poruszając się powoli jak sześćdziesięcioletnia babcia po dniu ciężkiej pracy (i rzeczywiście czuła się jak sześćdziesięcioletnia babcia po dniu ciężkiej pracy), zebrała wszystkie swe dobra łącznie z roztrzaskanym gameboyem, schowała je z powrotem do plecaka i wstała. Nie zapinając klapy, zdjęła płaszcz przeciwdeszczowy i przyjrzała mu się uważnie. Cienki i nietrwały, nie zapewnił jej żadnej ochrony podczas upadku, za to podarł się dosłownie na paski, trzepoczące na wietrze w sposób, który w innych okolicznościach z pewnością uznałaby za komiczny – przypominał niebieską plastikową spódniczkę hula – pomyślała jednak, że warto go zatrzymać. Zapewnił przynajmniej jakąś ochronę przed owadami, które znów krążyły chmurą nad jej nieszczęsną głową. Komarów też było więcej niż przedtem, zapewne przyciągnęła je krew na jej ramionach, którą jakoś wyczuwały.

Miała właśnie włożyć resztki płaszcza przeciwdeszczowego – plecak był następny – kiedy po raz pierwszy dostrzegła błoto na brzegu strumyka. Przyklękła na jedno kolano, krzywiąc się, kiedy materiał dżinsów potarł użądlenia na biodrze, i zanurzyła palce w szarobrązowej mazi. Spróbować czy nie spróbować?

– A co mi to może zaszkodzić? – westchnęła i nałożyła warstewkę błota na opuchliznę na biodrze. Było cudownie zimne i ból zmniejszył się wyraźnie niemal natychmiast. Bardzo ostrożnie posmarowała więc błotem wszystkie użądlenia, do których była w stanie dosięgnąć, łącznie z opuchlizną zasłaniającą oko. Następnie wytarła dłonie o dżinsy (i dłonie, i dżinsy wyglądały obecnie znacznie gorzej niż sześć

godzin temu), włożyła podarty płaszcz, narzuciła plecak na ramiona (dzięki Bogu, nie ocierał żadnej z ran) i ruszyła w dół strumienia. W pięć minut później była z powrotem w lesie.

Maszerowała wzdłuż brzegu przez mniej więcej cztery godziny, słysząc wyłącznie ptasie śpiewy i bzyczenie owadów. Mżyło właściwie cały czas, a raz mżawka przeszła w deszcz, wystarczająco gwałtowny, by ponownie przemoczyć ją do suchej nitki, choć zdołała się schronić pod największym drzewem w okolicy. Pocięszło ją tylko to, że podczas tego deszczu nie grzmiało i nie błyskało.

Trisha nigdy nie czuła się dziewczynką z miasta aż tak rozpaczliwie, jak podczas tego okropnego dnia, który powoli chylił się już ku zachodowi. Miała wrażenie, że charakter lasu zmienia się falami. Przez pewien czas szła wśród wielkich starych sosen, i to było w porządku, ponieważ wyglądało zupełnie jak scena z filmów animowanych Disneya. Potem, nagle, nadchodziła inna fala, a ona musiała się przeciskać wśród gęsto rosnących, pokręconych drzew i kęp krzaków, które przeważnie miały kolce, cały czas uchylając się przed suchymi gałęziami, usiłującymi poranić jej ramiona i wydlubać oczy. Mogło się wydawać, że rosną tylko po to, by zagradzać drogę, i powoli, w miarę jak zmęczenie Trishy wzrastało, dziewczynka zaczęła przypisywać im inteligencję, świadomość obecności obcej istoty w niebieskim płaszczu przeciwdeszczowym, której trzeba przeszkodzić i którą trzeba zranić. Ale nawet ta objawiana przez drzewa chęć, by ją podrapać, a w sprzyjających okolicznościach może nawet wydlubać jej oko, nie wydawała się najważniejsza. Przede wszystkim chciały ją odepchnąć i odciąć od strumienia, drogi do innych ludzi, jedyne sposoby wydostania się z lasu.

Trisha oddalała się od brzegu wówczas, gdy był on zarośnięty tak gęsto, że przedarcie się przez zarośla wydawało się niemożliwością, absolutnie natomiast nie godziła się skrócić w las tak głęboko, by przestać słyszeć szum płynącej wody. Gdy tylko wydawało jej się, że cichy szmer strumienia zanika, wolała raczej na czworakach przedzierać się pod gałęziami, niż iść dalej przed siebie i szukać łatwiejszej drogi. Nienawidziła człogać się po wilgotnej ziemi. Wśród sosen ziemia była sucha i miętko usłana igłami, w kępach krzaków zawsze wydawała się nieprzyjemnie błotnista. Niemal przez cały czas plecak przeszkadzał jej strasznie, płątał się w gałęziach, a kilka razy dosłownie się w nich zakleszczał... i przez cały czas, niezależnie od tego, jak gęste były zarośla, nad głową dziewczynki unosiła się chmura muszek.

Rozumiała, dlaczego czuje się tak źle, skąd bierze się ogarniające ją uczucie beznadziejności, ale nie potrafiła wypowiedzieć tego słowami. Chodziło po prostu o to, że wielu rzeczy w lesie nie umiała nazwać. Matka nauczyła ją rozpoznawać brzozy, buki, klony, świerki i sosny, nauczyła ją rozpoznawać tępe stukanie dzięcioła i chrapliwe krakanie wron, ze zmierzchem w lesie niosło się też skrzypliwie cykanie świerszczy... ale czym właściwie była cała reszta? Jeśli matka ją tego uczyła, Trisha zapomniała tych lekcji, miała jednak wrażenie, że wcale ich nie było. Zaczynała rozumieć, że matka jest, podobnie jak ona sama, dziewczyną z miasta, z Massachusetts, która przeniosła się do Maine, lubi spacerować po lesie i przeczytała kilka popularnych książek przyrodniczych. Czym na przykład były gęste krzaki o lśniących zielonych liściach? Boże, byle nie trującym dębem! Albo małe powykręcane drzewka o szarych pniach? Albo drzewa o wąskich, zwisających liściach? Lasy wokół Sanford, po których matka tak lubiła spacerować, czasami sama, a czasami z córką, były lasami oswojonymi. Ten las z całą pewnością nie był oswojony.

Trisha próbowała wyobrazić sobie setki poszukujących jej mężczyzn, zbliżających się do niej powoli. Wyobraźnię miała niezłą, więc początkowo przychodziło jej to bez kłopotu. Widziała dziesiątki wielkich żółtych autobusów szkolnych z tabliczkami: „Wynajęte: ekipy poszukiwawcze”, tam gdzie zwykle umieszczano się informacje, dokąd autobus dojeżdża. Widziała, jak zjeżdżają na parkingi wzdłuż

całego Szlaku Appalachów w zachodniej części Maine. Widziała, jak przez otwarte drzwi wysypują się z nich mężczyźni w brązowych mundurach, niektórzy z psami na smyczach, wszyscy z krótkofalówkami przy paskach, a kilku z tymi specjalnymi wielkimi głośnikami na baterie. Ich głos miała usłyszeć pierwszy, donośny, wzmocniony, boski głos wołający: „Trisho McFarland, gdzie jesteś? Jeśli mnie słyszysz, idź w kierunku głosu!”.

A jednak cienie w lasach wydłużały się i krzyżowały, ona zaś nie słyszała ludzkiego głosu, wyłącznie cichy szmer strumienia, tak samo szerokiego tu, jak w miejscu, w którym nań trafiła, i swój własny przyspieszony oddech. Obraz mężczyźni w brązowych mundurach bladł i słabł.

„Nie mogę zostać tu przez całą noc – pomyślała – nikt chyba nie oczekuje ode mnie, że zostanę tu przez całą noc...”

Poczuła kolejny przyływ paniki: przyspieszone bicie serca, suchość w ustach, tępy ból oczu wychodzących z oczodołów. Zabłądziła w lesie, otaczały ją drzewa, których nie potrafiła nawet nazwać, była sama w miejscu zupełnie obcym miejskiemu doświadczeniu; jej możliwości rozpoznawania świata i reagowania nań zawęziły się więc dramatycznie do najprostszych i najbardziej prymitywnych. Jednym krokiem pokonała drogę dzielącą dziewczynkę miejską od dziewczynki jaskiniowej.

Trisha bała się ciemności nawet w domu, w swoim pokoju, oświetlonym przez okno stojącą na rogu latarnią. Pomyślała, że jeśli przyjdzie jej spędzić noc tu, w lesie, z pewnością oszaleje. Coś jej podpowiadało, że powinna pędzić, uciekać. Nie zwracać sobie głowy tym, że każdy strumień musi w końcu doprowadzić zbłąkanego wędrowca do ludzi. To prawdopodobnie jeszcze jeden nonsens z serii książeczek *Little House*. Szła wzdłuż tego strumienia ładne parę kilometrów i jedyne, do czego ją doprowadził, to do jeszcze większej inwazji owadów. Pragnęła uciec od niego jak najdalej, obojętne dokąd, najlepiej w tym kierunku, w którym najłatwiej jej będzie uciekać. Biec tak szybko, by spotkać ludzi jeszcze przed zmrokiem. Był to pomysł doprawdy zwariowany, z czego doskonale zdawała sobie sprawę... ale cóż? Nie zmalał od tego ból oczu (a i ukąszenia znów zaczęły boleć), nie znikł metaliczny smak strachu w ustach.

Przedarła się przez kępę drzew rosnących tak blisko siebie, że były właściwie ze sobą splątane, i wyszła na małą, półkolistą polankę w miejscu, gdzie strumyk skręcał lekko w lewo. Polanka, ograniczona krzakami i rosnącymi tu i ówdzie drzewami, wydała jej się po prostu rajem. Był tu nawet zwalony pień, mogący posłużyć za ławkę.

Usiadła na tym pniu, zamknęła oczy i próbowała pomodlić się o ratunek. Prośba do Boga o to, by walkman okazał się cały, była łatwa, ponieważ poprosiła Go o to spontanicznie, teraz jednak modlitwa przychodziła jej z trudem. Oboje rodzice nie chodzili do kościoła, mama wychowała się w wierze katolickiej, lecz ją porzuciła, tata – o ile wiedziała – nie miał czego porzucić, i teraz ich córka znów się zagubiła, nie znajdując właściwych słów. Zmówiła *Ojcze nasz*, ale w jej ustach słowa modlitwy brzmiały nieprzekonująco i nie przynosiły ukojenia, wydawały się w tej sytuacji równie użyteczne jak elektryczny otwieracz do puszek. Uniosła powieki i rozejrzała się dookoła. Aż za dobrze widziała, jak szaro robi się na świecie. Nerwowo splótła poranione dłonie.

Nie pamiętała, by kiedykolwiek zdarzyło jej się dyskutować o kwestiach natury duchowej z matką, ale przed niespełna miesiącem spytała ojca, czy wierzy w Boga. Siedzieli przed jego małym domkiem w Malden, zjadając lody od lodziarza, który nadal rozwoził je białym, dzwoniącym samochodzikiem (na samą myśl o tym małym białym samochodziku Trisha omal znów się nie rozplakała). Peter był, jak to się mówiło w Malden, „w parku”, wygłupiając się ze swoimi dawnymi przyjaciółmi.

– Bóg – powiedział wówczas tata, smakując to słowo niczym nowy smak lodów: waniliowe z Bogiem poproszę zamiast waniliowych z rodzynkami. – Dlaczego o to pytasz, malutka?

Trisha pokręciła głową na znak, że sama nie wie, dlaczego zapytała. Teraz, siedząc na zwalonym piu w ten chmurny, obrzydony ciągłym bzykaniem owadów czerwcowy wieczór, pomyślała nagle ze strachem, że być może gdzieś, w najgłębszej głębi jej istoty, kryje się coś, co potrafi przewidywać przyszłość. I że to coś być może przewidziało, iż wkrótce będzie potrzebowała Boga, więc wysłało sygnał do jej świadomości.

– Bóg – powtórzył Larry McFarland, liżąc lody. – Bóg... no tak, Bóg. – Przerwał i znów się zamyślił. Trisha siedziała po swojej stronie piknikowego stoliczka, patrzyła na mały, wymagający przyszczyżenia trawnik i nie poganiała ojca, on zaś powiedział w końcu: – Powiem ci, w co wierzę. Wierzę w Niesłyszalne.

– W co? – Trisha spojrzała na ojca, niepewna, czy mówi poważnie, czy żartuje. Ale nie sprawiał wrażenia kogoś, kogo trzymają się żarty.

– W Niesłyszalne. Pamiętasz, jak mieszkaliśmy przy Fore Street?

Oczywiście, że pamiętała dom przy Fore Street. Od domu, w którym mieszkał teraz tata, dzieliły go trzy przecznice, stał prawie na granicy miejskiej Lyne. Był większy i miał większy trawnik, który tata zawsze porządnie kosił. W tamtych czasach Sanford przeznaczone było dla dziadków i na wakacje, a Pepsi była po prostu wakacyjną koleżanką i dmuchanie w ramię, „ramienne pryki” były najśmieszniejszą rzeczą pod słońcem, oczywiście oprócz prawdziwych przyków. Przy Fore Street kuchnia nie pachniała zwietrzałym piwem, jak ta. Trisha skinęła głową, doskonale wiedząc, o czym mówi ojciec.

– Ten dom miał elektryczne ogrzewanie. Pamiętasz, jak transformatory w piwnicy szumiały nawet w lecie, kiedy nie włączaliśmy ogrzewania?

Pokręciła głową. Tata tylko skinął głową, jakby tego się właśnie spodziewał.

– Nie słyszałaś ich, bo się do nich przyzwyczaiłaś – wyjaśnił po prostu. – Ale uwierz mi na słowo, one szumiały. A nawet w domu, w którym nie ma transformatorów, zawsze coś się dzieje. Lodówka włącza się i wyłącza. Bułgoczą rury. Skrzypi podłoga. Po ulicy pod oknem jeżdżą samochody. Słyszymy to przez cały czas, ale tak naprawdę wcale tego nie słyszymy, bo wszystkie te odgłosy stały się... – Gestem nakazał jej skończyć, pamiętała ten gest z najwcześniejszego dzieciństwa, kiedy siadywała na kolanach ojca i dopiero uczyła się czytać, i zawsze bardzo lubiła ten gest. Dawne dobre czasy.

– ...niesłyszalne – powiedziała nie dlatego, by rozumiała dokładnie, o czym mówi, lecz dlatego, że ojciec nie pozostawił żadnych wątpliwości co do tego, czego po niej oczekuje.

– Oootóż to! – Tata znów machnął ręką, w której trzymał lody. Kilka kropel spadło mu na nogę i pocięło po nogawce roboczych spodni. Trisha próbowała zgadnąć, ile piw już wypił. – Doskonale, kochanie. Niesłyszalne. Nie wierzę w działającego w świetle, myślącego Boga, który wie o każdym martwym ptaku w Australii i każdej martwej musze w Indiach, Boga zapisującego nasze grzechy w wielkiej złotej księdze i sądującego nas według nich po śmierci. Nie chcę wierzyć w Boga świadomie stwarzającego złych ludzi, by po śmierci smażyli się w piekle, które również stworzył, wierzę jednak, że musi istnieć coś.

Rozejrzał się po podwórku zarośniętym zbyt wysoką, zbyt nierówną trawą, po małym zestawie zjeżdżalni i huśtawek, które ustawił dla swych dzieci (Peter dawno z niego wyrósł i ona także, choć podczas wizyt nadal się huśtała i parę razy zjeżdżała ze zjeżdżalni, po prostu po to, by sprawić mu

przyjemność), spojrział na dwa ogródkowe krasnale (jednego z nich prawie nie było widać zza kępy nieskoszonych wysokiej trawy) i na drewniane ogrodzenie, pilnie domagające się pomalowania. W tym momencie wydał jej się stary. Wystraszony. („Zagubiony w lesie” – pomyślała teraz, siedząc na zwalonym pniu z plecaczkiem między nogami). Nagle skinął głową i spojrział na córkę.

– Tak, kochanie, coś – mówił dalej. – Jakaś dobra siła. Wiesz, o czym mówię?

Trisha skinęła głową. Nie bardzo wiedziała, co miał na myśli, nie chciała jednak, by przerwał i zaczął jej wszystko wyjaśniać. Nie chciała, żeby ojciec ją uczył, nie dziś, dziś chciała sama uczyć się od niego.

– Sądzę, że istnieje siła, dzięki której pijane dzieciaki... większość pijanych dzieciaków nie ginie w samochodach, wracając z balu maturalnego albo pierwszego w ich życiu wielkiego koncertu rockowego. Dzięki której większość samolotów się nie rozbija, nawet jeśli zdarzy się poważna awaria. Nie wszystkie, po prostu większość. Hej, słuchaj, samo to, że od tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku nie użyto broni jądrowej przeciwko ludziom, dowodzi, że jakaś taka siła musi być po naszej stronie. Oczywiście, prędzej czy później ktoś tej broni użyje, ale... przeszło pół wieku... to bardzo długo. – Przerwał i spojrział na gipsowe krasnale o wesołych, pustych twarzach. – To coś, dzięki czemu większość z nas nie umiera we śnie. Nie doskonali, wszystkowiedzący Bóg, zresztą, moim zdaniem, nie ma dowodów na jego istnienie, lecz jakaś moc.

– Niesłyszalne.

– Punkt dla ciebie.

Trisha zrozumiała mniej więcej, co miał na myśli, ale wcale jej się to nie spodobało. Czuli się zupełnie tak, jakby dostała list z pozoru bardzo ważny i interesujący, lecz – po rozerwaniu koperty – przeczytała w nagłówku: „Drogi mieszkańcu”.

– Wierzysz w coś jeszcze, tato?

– Ależ oczywiście, w to, co wszyscy, kochanie. W śmierć, w podatki i w to, że jesteś najpiękniejszą dziewczynką na świecie.

– Taaaat! – Roześmiała się i zaczęła się wyrwać, ojciec zaś przytulił ją i pocałował w czubek głowy. Lubiła, kiedy ją przytulał i całował, ale nie podobał jej się zapach piwa w jego oddechu.

Ojciec puścił ją i wstał.

– Wierzę także, że przyszła pora na piwo. Chcesz mrożonej herbaty?

– Nie, dziękuję – powiedziała Trisha i być może rzeczywiście zdarzyło jej się przewidzieć przyszłość, ponieważ do pleców odchodzącego ojca powiedziała: – Tato, czy ty wierzysz w coś jeszcze? Ale tak naprawdę?

Ojciec spoważniał wtedy i zatrzymał się w pół kroku. Stał nieruchomo, zamyślony (siedząc na powalonym pniu drzewa, Trisha przypomniała sobie, jak wielką przyjemność sprawił jej ten prosty fakt, że on myśli nad jej pytaniem), a roztopione lody ściekały mu na rękę. Nagle podniósł głowę i uśmiechnął się.

– Wierzę też, że twój ukochany Tom Gordon wygra w tym roku czterdzieści gier w końcówkach – powiedział. – Wierzę, że w tej chwili jest najlepszym kończącym we wszystkich głównych ligach i że jeśli nie dozna kontuzji, a średnia wybić Soxów się utrzyma, w październiku będzie narzucał w mistrzostwach świata. Wystarczy ci?

– Jaaasne! – Roześmiała się wesoło, zapominając o tym, że pytała poważnie, naprawdę bowiem kochała się w Tomie Gordonie, kochała ojca za to, że o tym wie i że żartuje z niej sobie, zamiast się

złości. Rzuciła mu się w ramiona i przytuliła go, nie dbając o to, że roztopione lody ściekają jej na bluzeczkę. Co znaczą zaplamiona bluzeczka między przyjaciółmi?

Teraz, siedząc na polance w lesie w zapadającej ciemności, wsłuchując się w otaczający ją szmer wody, wpatrzona w drzewa, zmieniające w mroku kształty i zdające się przeistaczać w jakieś straszne stwory, oczekując wzmocnionego elektronicznie krzyku: „Idź w kierunku mojego głosu!” i szczekania psów, pomyślała: „Nie umiem modlić się do Niesłyszalnego. Po prostu nie umiem”. Nie potrafiła także modlić się do Toma Gordona, to już byłoby naprawdę śmieszne, ale mogła posłuchać, jak narzuca... i to przeciw Jankesom. WCAS włożyło czerwone skarpety, ona też mogła je włożyć. Oczywiście, powinna oszczędzać baterie, doskonale zdawała sobie z tego sprawę, ale nic nie zaszkodzi, jeśli przez chwilę posłucha transmisji, prawda? I kto wie, może nim skończy się mecz, usłyszy ludzkie głosy i szczekanie psów?

Otworzyła plecak, bardzo ostrożnie wyjęła walkmana z jego wewnętrznej kieszeni, założyła słuchawki na uszy. Zawahała się, nagle najzupełniej pewna, że radio nie będzie działać, że kiedy spadała ze zbocza, obluźował się jakiś najważniejszy drucik, i że gdy je włączy, w słuchawkach usłyszy wyłącznie ciszę. Wydawało się to głupie, oczywiście, ale tego akurat dnia, którego przydarzyło jej się tyle strasznych rzeczy, było także przygnębiająco wręcz prawdopodobne.

– Spróbuj, spróbuj, ty tchórze!

Włączyła radio i zdarzyło się coś w rodzaju cudu: usłyszała głos Jerry'ego Trupiano i, co znacznie ważniejsze, także odgłosy z Fenway Park. Siedziała oto w mrocznym, ociekającym deszczem lesie, zagubiona i samotna, ale słyszała trzydzieści tysięcy ludzi.

To był rzeczywiście cud.

– ...wstępuje na stanowisko – mówił Troop – odchyła się, narzuca i... wywołany trzeci strike! Martinez widział, gdzie patrzy! Och, to była śliczna piłka na zewnątrz, przeszła przez sam róg i Bernie Williams nawet się nie poruszył. O mój Boże! Mamy za sobą dwie i pół rozgrywki i nadal Jankesi dwa, Red Sox i zero.

Śpiewny głos poinstruował Trishę, by zadzwoniła pod 1-800-54-GIANT, żeby zreperować sobie coś tam w samochodzie, ale nie usłyszała, o co właściwie chodzi. Dwie i pół rozgrywki za nami, co oznacza, że musi być około ósmej. Z początku wydawało jej się to zdumiewające, lecz mimo wszystko, biorąc pod uwagę szary, szybko zapadający zmrok, nie było przecież tak znowu niewiarygodne. Pozostawiona sama sobie, Trisha przeżyła dziesięć godzin. Niemal wieczność, choć jeśli spojrzeć na to z drugiej strony, te dziesięć godzin wydawało się trwać zaledwie chwilę.

Pomachała, opędzając się od owadów (gest ten był już tak odruchowy, że zupełnie nie zdawała sobie z niego sprawy), po czym zajrzała do torby z drugim śniadaniem. Kanapka z tuńczykiem wyglądała lepiej, niż można się było spodziewać; wprawdzie spłaszczona i porozrywana na części, nadal jednak przypominała kanapkę. Plastikowa torebka jakoś tam utrzymała ją w kupie. Pozostała połówka batonika Twinkie zmieniła się jednak w coś, co Pepsi Robichaud nazwałaby najprawdopodobniej „totalną glizdą”.

Trisha siedziała wsłuchana w transmisję meczu. Powoli zjadła pół kanapki. Pobudziło to jej apetyt i z przyjemnością zjadłaby resztę, ale schowała ją z powrotem do torby i zajęła się zgnicionym batonikiem, wybierając palcem wilgotne ciasto i wstrętno-smaczne kremowe nadzienie („Dlaczego nazywają je kremowym, a nie po prostu śmietankowym?” – zastanowiła się przelotnie). Kiedy nie mogła już nic wygrzebać palcem, wywróciła sreberko na drugą stronę i najzwyczajniej w świecie je wylizała. „Mówcie mi pani Schludna” – pomyślała, odkładając wylizane sreberko do torebki. Pozwoliła

sobie także na trzy spore łyki surge, a następnie rozpoczęła polowanie na resztki chipsów, używając do tego celu wilgotnego, brudnego palca. Red Soxci walczyli tymczasem z Jankesami przez końcówkę trzeciej i całą czwartą rozgrywkę.

W połowie piątej Jankesi prowadzili cztery do jednego. Martineza zastąpił Jim Corsi. Larry McFarland odnosił się do Jima Corsiego nadzwyczaj nieufnie. Pewnego razu, rozmawiając z córką przez telefon, powiedział: „Wspomnij moje słowa, malutka, Jim Corsi nie jest przyjacielem Red Soxów”. Trisha zaczęła wówczas chichotać, po prostu nie potrafiła się powstrzymać. Powiedział to tak uroczyście. Tata też dostał w końcu napadu chichotków. Słowa te pozostały ich tajemnym sposobem porozumiewania się, czymś w rodzaju hasła. „Wspomnij moje słowa, Jim Corsi nie jest przyjacielem Red Soxów”.

W końcówce szóstej Corsi okazał się jednak przyjacielem Red Soxów, eliminując po kolei trzech wybijających. Trisha doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że powinna wyłączyć radio, oszczędzać baterie. Tom Gordon nie miał wystąpić w meczu, w którym Red Soxci przegrywali o trzy obiegnięcia, nie potrafiła jednak znieść myśli o rozłączeniu się z Fenway Park. Słuchała szumu z trybun, monotonnego, potężnego jak szum morskiej fali zakłętej w muszli, ważniejszego dla niej niż głosy komentatorów: Jerry'ego Trupiano i Joego Castiglione. Ci ludzie byli tam, naprawdę tam, na stadionie, zajadali hot dogi i pili piwo, stali w kolejkach po pamiątki, lody i zupę rybną sprzedawaną w kioskach Legal Seafood, obserwowali Darrena Lewisa, czyli DeeLu, jak nazywali go czasem komentatorzy, wstępującego do batterboksu, ciągnącego za sobą długie cienie od elektrycznego oświetlenia, bo na stadionie już się przecież ściemniało. Nie zniosłaby myśli o zamianie szumu trzydziestotysięcznego tłumu na bzyczenie komarów, których o zmierzchu zrobiło się jeszcze więcej, kapanie kropli deszczu z liści drzew, chrypliwe cykanie świerszczy... oraz wszystkie inne możliwe dźwięki.

To właśnie tych innych odgłosów najbardziej się bała.

Innych odgłosów w ciemności.

DeeLu narzucił w prawo, przesuwając bazowego, a jedno wykluczenie później Mo Vaughn złapał odchodzącą piłkę, która nie chciała odejść.

– Odrobione, odrobione, odroobione! – wyśpiewał Troop. – Byk jest w zagrodzie Red Soxów. Ktoś, zdaje się, że Rich Garces, złapał piłkę w locie. Pełne obiegnięcie, Mo Vaughn! Jego dwunaste w tym roku. Jankesi prowadzą tylko jednym punktem!

Siedząca na powalonym drzewie Trisha roześmiała się, klasnęła w dłonie i mocniej nasadziła na głowę czapkę z autografem Toma Gordona. W lesie zapadła ciemność.

Na początku ósmej rozgrywki Nomar Garciaparra wybił za dwie bazy wprost w ekran na szczycie Zielonego Potwora. Red Soxci objęły prowadzenie pięć do czterech. Tom Gordon wyszedł narzucać w końcówce dziewiątej.

Trisha osunęła się z pnia na ziemię. Szorstka kora podrapała użądlenia na biodrze, dziewczynka nie zwróciła jednak na to nawet najmniejszej uwagi. Komary rzuciły się na jej nagie plecy, niechronione przez bluzę, która oczywiście natychmiast podjechała do góry, ani przez strzępy przeciwdeszczowego płaszczka, nie czuła jednak ukąszeń. Nieruchomym wzrokiem patrzyła na odbijające się w strumyku ostatnie promienie dziennego światła, nadające jego powierzchni ciemnosiną barwę ręki. Siedziała na wilgotnej ziemi z palcami przyciśniętymi do kącików ust. Nagle stało się dla niej bardzo ważne, by Tom Gordon zdołał utrzymać przewagę jednej bazy, żeby zapewnił Soxom zwycięstwo w meczu z potężnymi Jankesami, którzy przegrali wprawdzie dwumecz z Anaheim na początku sezonu, ale potem właściwie nie przegrywali.



– Dawaj, Tom – powiedziała.

W pokoju hotelowym w Castle View jej matka umierała z przerażenia, ojciec leciał właśnie deltą z Bostonu do Portlandu, by towarzyszyć żonie i synowi, w koszarach policji stanowej okręgu Castle, mianowanych czasowo Punktem Zbornym Patricia, ekipy poszukiwawcze, niemal dokładnie takie, jakie wyobrażała sobie dziewczynka, meldowały się po powrocie z pierwszych, bezskutecznych wypadów ratunkowych, pod koszarami stały wozy transmisyjne trzech stacji telewizyjnych z Portlandu i dwóch z Portsmouth, blisko czterdziestu doświadczonych leśników (niektórzy z nich rzeczywiście mieli psy) pozostało w lasach Motton i trzech innych miasteczek, rozciągających się aż po New Hampshire wbijające się w tym miejscu w Maine wzdłuż TR-90, TR-100, TR-110. Ludzie lasu zgadzali się ze sobą co do tego, że Patricia McFarland nadal przebywa w rejonie Motton TR-90, w końcu była tylko małą dziewczynką i z pewnością nie odeszła daleko od miejsca, w którym widziano ją po raz ostatni. Ci doświadczeni przewodnicy, strażnicy ostoi zwierzyny i ludzie ze służby leśnej oniemieli by ze zdumienia, gdyby dowiedzieli się, że Trisha zdołała oddalić się o blisko piętnaście kilometrów od miejsca, które uważali za najprawdopodobniejsze miejsce jej pobytu.

– Dawaj, Tom! – szepnęła. – Dawaj, Tom, raz, dwa, trzy, dawaj! Przecież wiesz, jak to idzie!

Dzisiaj szło jednak zupełnie inaczej. Na początku dziewiątej Gordon oddał bazę przystojnemu, lecz złowrogiemu śródpolowemu Jankesów, Derekowi Jeterowi, i Trisha przypomniała sobie, co kiedyś powiedział jej tata: jeżeli przegrywający zespół dostaje darmową bazę, jego szanse na zdobycie punktu wzrastają o siedemdziesiąt procent.

„Jeśli wygramy, jeśli Tom uratuje grę, ja też zostanę uratowana”. Ta myśl przysła jej do głowy nagle, wybuchła w niej niczym fajerwerk. Było to oczywiście głupie, tak głupie, jak ojcowskie stukanie w niemalowane drewno między dwoma narzuceniami – a stukał zawsze. Gdy jednak w lesie robiło się coraz ciemniej, a z powierzchni strumyka znikły ostatnie poblaski srebra, myśl ta wydawała się coraz logiczniejsza i jedynie słuszna, pewna jak dwa i dwa cztery. Jeśli Tom Gordon uratuje mecz, ona także zostanie uratowana.

Pojawił się Paul O’Neill. Jedno wykluczenie. Na batterboksie stanął Bernie Williams. „Zawsze niebezpieczny wybijający” – zauważył Joe Castiglione i Williams natychmiast wybił singla na środek, wysyłając Jetera do trzeciej.

– Dlaczego to powiedziałaś, Joe! – jęknęła Trisha. – O rany, dlaczego musiałeś to powiedzieć!

Pierwsza i trzecia baza obsadzone, tylko jeden zawodnik wykluczony. Kibice na Fenway wrzeszczeli i podskakiwali. Oczami wyobraźni Trisha widziała, jak wychylają się do przodu na ławkach.

– Dawaj, Tom, dawaj, dawaj! – szeptała. Nadal wisiła nad nią chmura muszek, ale teraz dziewczynka w ogóle ich nie widziała. W sercu poczuła ostrą, zimną rozpacz niczym ten nieznośny głos w głowie, który słyszała wcześniej. Jankesi byli po prostu za dobrzy. Wybicie na bazę zakończy mecz remisem, długa piłka da Jankesom zwycięstwo i ten okropny, okropny Tino Martinez będzie ugotowany, mając za sobą najgroźniejszego wybijającego. Słomka kłęczcy pewnie teraz w kółku, wymachując pałką i obserwując, co się dzieje.

Gordon doprowadził do dwa i dwa, a potem rzucił podkręcaną piłkę.

– Wykluczyl go! – krzyknął Joe Castiglione, jakby nie wierzył własnym oczom. – Ach, ludzie, jakie to było śliczne! Martinez minął się z piłką co najmniej o stopę.

– O dwie stopy – wtrącił natychmiast Troop.

– Więc wszystko sprowadza się do tego – mówił dalej Joe, a Trisha słyszała w tle inne głosy, głosy kibiców. Usłyszała też rytmiczne klaskanie. Wierni z Fenway, fanatyczni kibice Red Soxów wstawili teraz z miejsc niczym uczestnicy nabożeństwa w kościele przed odśpiewaniem hymnu – dwie bazy obsadzone, dwóch zawodników wykluczonych, Red Soxci prowadzą jedną bazą, Tom Gordon czeka na swoim miejscu, a do batterboks podchodzi...

– Nie ośmielisz się tego powiedzieć – szepnęła Trisha, nadal siedząca z czubkami palców przyciśniętymi do kątek ust. – Nie wolno ci tego powiedzieć!

Joe nie usłyszał jej jednak. Dokończył:

– ...zawsze niebezpieczny Darryl Strawberry.

No tak, to już koniec, wielki Joe Castiglione otworzył wielką gębę i zapeszył mecz. Czy nie mógł po prostu podać nazwiska: „Strawberry”? Co go podkusiło, żeby powtarzać te bzdury o „zawsze niebezpiecznym”? Przecież każdy idiota wie, że nazwanie „niebezpiecznymi” czyni ich niebezpiecznymi!

– No dobrze, proszę państwa, proszę zapiąć pasy. Strawberry ustawia kij, Jerry tańczy wokół trzeciej, próbując ściągnąć na siebie narzut, a przynajmniej uwagę Gordona, jednak bez powodzenia. Gordon skupia się, Veritek daje mu znak. Gotowe. Gordon narzuca, Strawberry nie trafia. Strawberry kręci głową z niesmakiem...

– A nie powinien, to był przecież całkiem dobry narzut – wtrącił Troop i Trisha, siedząca w mroku gdzieś w zapadłym kącie niczego, pomyślała: „Zamknij się, zamknij się choćby na sekundę...”.

– Słomka schodzi ze stanowiska, klepie się po ochraniaczach, wraca. Gordon patrzy na Williamsa na pierwszej, narzuca... za nisko i na zewnątrz.

Trisha jęknęła. Palce wbiła w policzki tak głęboko, że aż skrzywiły jej usta w niesamowitym uśmiechu. Serce waliło w piersi, jakby chciało z niej wyskoczyć.

– No to zaczynamy – powiedział Joe. – Gordon gotowy, narzuca, Strawberry uderza... wybija daleko i wysoko na prawe zapole, jeśli piłka nie zboczy, to koniec... ale zbacza... zbacza... zbacza... zbacza...

Trisha nie oddychała już.

– Faul – dokończył Joe. – Ale było groźnie, zbyt groźnie. Piłka minęła Pesky Pole po złej stronie o zaledwie sześć, może osiem stóp.

– Powiedziałbym, że raczej o cztery stopy – sprostował natychmiast Troop.

– A tobie śmierzdzą stopy – syknęła Trisha. – Tom, błagam cię, proszę... – Ale wiedziała, że tym razem Tomowi się nie uda. Było blisko, ale bliżej już nie będzie.

Wiedziała Toma Gordona oczami wyobraźni. Nie był tak wysoki i męski jak Randy Johnson, nie był też niski i okrągłutki jak Rich Garces. Średniego wzrostu, szczupły i... przystojny, bardzo przystojny, zwłaszcza w czapce nasuniętej na oczy. Tata twierdził, że prawie wszyscy baseballiści są przystojni. „Mają to w genach” – powiedział jej kiedyś, a potem dodał: „Oczywiście wielu z nich ma pusto w głowie, więc jakoś się to wszystko równoważy”. Jej nie chodziło jednak o urodę Toma Gordona. Zwróciła na niego uwagę, bo zawsze był spokojny, przed narzuceniem stał nieruchomo, i to wzbudzało jej podziw. Nie dreptał po wzgórkach miotających, jak wielu innych narzucających, nie pochylał się, żeby zawiązać buty, nie podnosił torebki z talkiem, aby zaraz odrzucić ją w chmurce białego pyłu. Nie, numer 36 po prostu czekał nieruchomo, aż odbijający zakończy przygotowania. No i oczywiście był ten jego gest, który powtarzał zawsze, kiedy udało mu się uratować wynik. Gest, który wykonywał,

zstępując ze wzgóрка. Za to też go kochała.– Gordon odciąga rękę, narzuca... w ziemię. Veritek zablokował piłkę ciałem, ocalając bazę. Remisową bazę.

– No, niech to diabli – rzucił Troop.

Joe nie próbował nawet złagodzić jego słów.

– Gordon bierze głęboki oddech. Strawberry czeka, Gordon narzuca... za wysoko!

W głowie Trishy wycie tłumu zabrzmiało niby ryk groźnego wichru.

– Mniej więcej trzydzieści tysięcy sędziów na trybunach nie zgodziło się z tym werdyktem – skomentował Troop.

– Owszem, ale decyduje stojący za wzgórkami Larry Barnett, a Barnett zdecydował, że piłka była za wysoka. Darryl Strawberry rozdaje karty. Trzy i dwa.

Rytmiczne klaskanie tłumu stawało się coraz głośniejsze. Ten odgłos wypełnił jej uszy, wypełnił świat. Postukała w martwy pień, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co robi.

– Cały stadion stoi – mówił Joe Castiglione. – Trzydzieści tysięcy ludzi, dziś nikt nie wyszedł w połowie przedstawienia.

– Najwyżej parę osób – uzupełnił Troop, ale nie zwrócili na niego uwagi ani Trisha, ani sam Joe.

– Gordon wstępuje na stanowisko...

Tak, widziała go na stanowisku, stojącego nieruchomo, ze złączonymi dłońmi. Nie patrzy na bazę domową, ogląda się przez lewe ramię.

– Gordon przygotowuje narzut...

To Trisha widziała także, lewa stopa przesuująca się za stojącą twardo na ziemi prawą, dłonie – jedna w rękawicy, druga trzymająca piłkę – złożone na wysokości mostka, widziała nawet Berniego Williamsa wychylającego się jak na zwolnionym filmie, Tom Gordon na nic nie zwracał jednak uwagi i nawet w ruchu zachowywał coś ze swego cudownego spokoju, wpatrywał się w rękawicę Jasona Veriteka wiszącą nisko, skierowaną ku zewnętrznemu rogowi pola.

– Gordon narzuca trzy na dwa, narzuca i...

Tłum, jego radosny wybuch jak grom, powiedział jej wszystko.

– Sędzia wywołał strike three! – Joe Castiglione niemal krzychał. – O mój Boże, Gordon narzucił podkreconą piłkę trzy na dwa i Strawberry nawet się nie poruszył. Red Sox wygrywają z Jankesami pięć cztery, Gordon ratuje wynik po raz osiemnasty w tym sezonie! – Opanował się i już ciszej mówił: – Koledzy Gordona biegną na wzgórek, na czele z Mo Vaughnem wyrzucającym ręce w powietrze w odruchu radości, ale sam Tom, czekając na ich szarżę, wykonuje gest, który kibice poznali już doskonale, choć przecież od niedawna gra jako ostatni narzucający w drużynie Red Soxów.

Trisha po prostu się rozplakała. Wyłączyła walkmana i siedziała nieruchomo na wilgotnej ziemi z wyciągniętymi przed siebie, rozstawionymi nogami, pomiędzy którymi wisiał w strzępach podarty płaszcz przeciwdeszczowy niczym plastikowa spódniczka hula. Wylała więcej łez niż przez cały dzień od czasu, gdy się zorientowała, że zablądziła, lecz tym razem były to łzy ulgi. Zablądziła, ale przecież ją znajdują. Nie wątpiła w to. Tom Gordon uratował zwycięstwo, więc ona też zostanie uratowana. Nadal płacząc, rozpostarła resztki płaszcza przeciwdeszczowego, rozłożyła je na ziemi, wsuwając tak głęboko pod drzewo, jak tylko, jej zdaniem, powinna zdołać się pod nie wczołgać, a potem przesunęła się w lewo i ułożyła na zaimprovizowanym posłaniu. Zrobiła to wszystko właściwie instynktownie, mechanicznie, myślami była bowiem nadal na Fenway Park, widziała sędziego, który wyklucza Strawberry'ego, widziała Mo Vaughna biegnącego na wzgórek, by pogratulować Gordonowi, widziała Nomara Garciaparrę kłusującego ku niemu z pola, Johna Valentina z trzeciej bazy i Marka Lemke

z drugiej, lecz nim zdolali go dopaść, Gordon wykonał gest, który wykonywał zawsze, gdy udawało mu się uratować zwycięstwo: uniośł palec, wskazując nim niebo.

Trisha schowała walkmana do plecaka i nim złożyła głowę na ramieniu, wskazała palcem niebo, zupełnie jak Tom Gordon. Bo i czemu nie? Coś pomogło jej wszak przeżyć dzień, choć był to dzień straszny, a kiedy tak uniosła palec, to coś wydało jej się Bogiem. Nie można przecież wskazać palcem głupiego szczęścia albo Niesłyszalnego, prawda?

Poczuła się dzięki temu jednocześnie lepiej i gorzej. Lepiej, ponieważ gest ten wydał jej się bardziej modlitwą niż jakiegokolwiek wypowiedziane słowa, a gorzej, bo po raz pierwszy tego dnia odczuła prawdziwą samotność; kiedy, naśladując Toma Gordona, wskazała niebo, nagle poczuła się zagubiona w jakimś zupełnie nowym, nieprzewidzianym sensie tego słowa. Głosy, które dzięki słuchawkom walkmana jeszcze przed chwilą wypełniały jej głowę, wydawały się teraz pochodzić wprost z sennych majaków, były głosami duchów. Zadrżała nagle, nie chciała myśleć o duchach – nie tu, nie w lesie, w ciemności, schowana pod pniem przewróconego drzewa. Tęskniła za matką, ale najbardziej chciała mieć przy sobie ojca. Ojciec zdołałby ją stąd wydostać, wziął za rękę i wyprowadził do ludzi. Gdyby rozboleły Trishę nogi, wzięłyby ją na ręce. Ojciec był duży i silny. Kiedy spędzali weekendy w jego domu w Malden, w sobotę wieczór nadal brał ją na ręce i zanosił do sypialni, choć miała już dziewięć lat i była wysoka jak na swój wiek. Z wizyt w Malden najbardziej lubiła tę właśnie chwilę.

Z podszytym rozpaczą zdumieniem Trisha stwierdziła nagle, że tęskni nawet za swym głupkowatym, skarżącym się bez przerwy na wszystko bratem.

Zasnęła, płacząc i chwytając ustami wielkie hausty powietrza. Krążące w ciemności owady zbliżyły się do niej ostrożnie, aż w końcu wylądowały na odsłoniętych kawałkach skóry i zaczęły pożywiać się krwią i potem.

Przez las przeleciał podmuch wiatru, poruszając liśćmi i strącając z nich ostatnie krople. Po kilku sekundach powietrze znieruchomiało, a potem nie było już nieruchome, przeszył je bowiem trzask łamanych gałązek. Znow zapadła cisza, lecz niemal natychmiast przerwał ją szelest poruszanych gałęzi i ostry, chrypliwy dźwięk. Wrona zakrakała raz, na alarm. I znow chwila ciszy, po czym coś zaczęło zbliżać się do miejsca, w którym Trisha spała z głową opartą na ramieniu.

## Koniec czwartej

Byli w ogródku za małym domkiem taty w Malden, tylko we dwoje. Siedzieli na ogrodowych krzeselkach, mocno zardzewiałych, przyglądając się trawie, która trochę za bardzo urosła. Krasnoludki przypatrywały się Trishy z nieprzyjemnymi uśmiechami na przesłoniętych kępami chwastów twarzach. Trisha płakała, ponieważ ojciec był dla niej niemiły. Nigdy dotąd nie był dla niej niemiły, zawsze tulił ją i całował w czubek głowy i nazywał „malutka”, ale teraz był dla niej niemiły, był niemiły tylko dlatego, że nie chciała otworzyć wejścia do piwnicy, znajdującego się pod kuchennym oknem, zejść po czterech stopniach i przynieść mu puszki piwa ze skrzynki, którą zawsze tam trzymał, bo w piwnicy panował chłód. Była tak zdenerwowana, że zrobiła sobie chyba coś z twarzą, gdyż bardzo ją swędziała. I ramiona też.

– Dziecko wyje, tatuś piwo pije – powiedział ojciec, pochylając się ku niej, aż poczuła jego oddech na twarzy. Tata nie potrzebował jeszcze jednego piwa, już był pijany, jego oddech pachniał drożdżami i martwą myszą. – Dlaczego jesteś taką tchórzliwą małą myszką? Nie masz w żyłach ani odrobiny wody z lodem.

Płacząc, lecz zdecydowana udowodnić ojcu, że potrafi zachować zimną krew, wstała z zardzewiałego ogrodowego krzeselka i podeszła do jeszcze bardziej zardzewiałej kłapy piwnicy. Boże, swędziało ją całe ciało, nie chciała odchylić kłapy, ponieważ po jej drugiej stronie czekało na nią coś okropnego, wiedziały o tym nawet ogrodowe krasnale, dlatego uśmiechały się tak złośliwie, a jednak położyła dłoń na uchwycie, a za plecami słyszała głos ojca, okropny, kpiący głos obcego człowieka, zachęcający ją, by uniosła tę klapę, dalej mała, dalej maleńka, weź się w garść i zrób to!

Uniosła klapę. Nie było pod nią schodków, nie było śladu po schodkach, zamiast nich dostrzegła potwornie wielkie gniazdo os. Setki os wylatywały z niego przez czarną dziurę, przypominającą oko człowieka, który umarł w zdumieniu; nie, to nie były setki, lecz tysiące os, tłustych, obrzydliwych fabryczek jadu, wszystkie użądła ją naraz, umrze, czując, jak łażą jej po skórze, wchodzą do oczu, do ust i żądlą w język, w gardło...

Trisha sądziła, że krzyczy, ale kiedy walnęła głową w pień od spodu, strącając w przesiąknięte potem włosy odłamki kory i mech, a jednocześnie budząc się, usłyszała tylko ciche, chrapliwe jęki – tylko one przedarły się przez jej zaciśnięte gardło.

Dobłą chwilę nie wiedziała, co się z nią dzieje i gdzie jest, nie wiedziała, dlaczego jej posłanie zrobiło się takie twarde, ani w co mogła uderzyć głową... czyżby jakimś cudem wpełzła pod łóżko? Czula mrowienie na skórze, pewnie to dreszcze od snu, przed którym udało jej się umknąć na jawę, Boże, jaki to był straszny koszmar...

Uderzyła się w głowę jeszcze raz i rzeczywistość poczęła do niej wracać kawałek po kawałku. Nie leżała w łóżku, nie leżała nawet pod łóżkiem, spała w lesie, zablądziła w lesie, a skóra wcale nie mrowiała ze strachu, nie ze strachu, lecz dlatego, że...

– Uciekajcie, wy wstrętne stwory, uciekajcie! – krzyknęła wysokim, piskliwym, przerażonym głosem i pomachała ręką przed oczami. Większość muszek i komarów podfrunęła i sformowała chmurę nad jej głową. Uczucie mrowienia ustąpiło, ale skóra nadal strasznie swędziała. Pszczół na szczęście

w pobliżu nie było, mimo to została solidnie pocięta. Pocięta we śnie przez wszystko, co akurat na nią trafiło i miało apetyt. Trishę swędziało dosłownie wszędzie i bardzo chciało jej się siusiu.

Wypełza spod pnia drzewa, oddychając ciężko i krzywiąc się. Po upadku ze zbocza zeszczywniało jej całe ciało, zwłaszcza szyja i lewy bark, a lewe ramię i nogę – spała na lewym boku – miała całkiem zdrętwiałe. „Bezładne jak kłoda” – powiedziała by zapewne matka. Dorosli, a przynajmniej dorosli z jej rodziny, znali powiedzenia na każdą okazję: „bezładny jak kłoda”, „szczęśliwy jak zajęć w kapuście”, „ruchliwy jak jaszczurka”, „czarny jak Murzyn w piwnicy”, „martwy jak...”.

Nie, tego porównania nie miała zamiaru sobie przypominać. A przynajmniej nie teraz.

Trisha próbowała wstać, nie udało się jej, więc wypełzała na polankę, zataczając się lekko. Czuć powoli wracało w postaci niemiłego mrowienia, przypominającego bolesne nakłuwanie igłą.

– A niech to licha weźmie – wyszeptwała ochryple, głównie po to, by usłyszeć swój głos. – Czarne to wszystko jak Murzyn w piwnicy.

Zatrzymała się przy strumyku, rozejrzała i musiała przyznać, że wokół wcale nie jest ciemno. Polankę oświetlał jasny, chłodny blask księżyca, wystarczająco mocny, by dostrzegła za sobą swój wyraźny cień, a na powierzchni wody srebrne iskierki. Na niebie widziała lekko zniekształcony krąg niczym srebrny gład, za jasny niemal, by na niego patrzeć. Tej nocy księżyc przyćmił światło niemal wszystkich gwiazd, z wyjątkiem tych najjaśniejszych. Coś w nim, być może konieczność obserwowania go z takiej pozycji, sprawiło, że Trisha w pełni poczuła ciężar samotności. Wiara, że zostanie ocalona przez sam fakt, iż Gordon wykluczył trzech zawodników w końcówce dziewiątej rundy, znikła, jakby jej nigdy nie było; w końcu równie dobrze można przecież wierzyć w pukanie w niemalowane drewno, rzucanie soli przez ramię, można czynić znak krzyża świętego przed zajęciem miejsca w batterboksie, jak to ma w zwyczaju Nomar Garciaparra. Tylko że tu nie było kamer, nie było powtórek, nie było wiwatujących kibiców. Zimne piękno księżyca sugerowało, że Niesłyszalne jest jednak bardziej prawdopodobne, ten bóg niewiedzący, że kimkolwiek – lub czymkolwiek – jest, jest bogiem, nieinteresujący się małymi, zagubionymi w lesie dziewczynkami, w gruncie rzeczy nieinteresujący się niczym, nieprzytomny, zapatrzony w siebie bóg, którego twarz przypomina chmurę muszek, a oko piękny, pusty księżyc.

Trisha pochyliła się nad strumykiem, spryskała wodą obolałą twarz, dostrzegła swe odbicie i jęknęła. Użądlenie na lewej kości policzkowej jeszcze bardziej spuchło (być może podrapała je lub uraziła we śnie), przebiło warstwę zaschniętego błota niczym wulkan, wznoszący się ponad skamieniałą lawę swego poprzedniego wybuchu, sprawiło, że jej oko straciło swój naturalny kształt, wyglądało okropnie i niesamowicie; takie oczy widywało się czasem na ulicy, głównie u ludzi upośledzonych umysłowo; człowiek odwracał od nich zawsze wzrok. Reszta nie wyglądała wcale lepiej, może nawet gorzej, w miejscach użądlnych przez osy Trisha była strasznie spuchnięta, tam zaś, gdzie uctwowały komary, po prostu spuchnięta. Woda przy brzegu, względnie spokojna, ukazała Trishy, że przynajmniej jeden komar nie uciekł. Siedział w kąciku jej prawego oka, zbyt obżarty, by choćby wyciągnąć ssawkę ze skóry. Przez głowę dziewczynki przeleciało inne powiedzenie dorosłych: „Nażarł się do ogłupienia”.

Uderzyła go i komar po prostu wybuchł. Własna krew spłynęła Trishy do oka szczypiącą wilgocią. Dziewczynce udało się nie krzyknąć, ale przez zaciśnięte wargi wydarło się pełne obrzydzenia stęknienie. Trisha z niedowierzaniem popatrzyła na zaplamione krwią palce – ileż tego zmieściło się w jednym komarze! Trzeba było dopiero zobaczyć, żeby uwierzyć!

Zanurzyła w wodzie złożone dłonie i obmyła nimi twarz. Nie napila się, bo pamiętała skądś, że od wody z leśnych strumieni można zachorować, ale dla gorącej, spuchniętej skóry twarzy okazała się ona

bólógławieństwem, jak dotknięcie zimnego jedwabiu. Zaczepnęła więcej wody, obmyła nią kark, zanurzyła ramiona aż do łokci. Następnie zaczęła smarować się błotem i tym razem nałożyła je nie tylko na użądlenia, lecz na twarz i kark – od wycięcia bluzy z napisem „36 Gordon” aż po krawędź włosów. Przypomniała sobie odcinek *I Love Lucy*, który oglądała kiedyś w *Nick at Nite*, Lucy i Ethel siedziały w gabinecie kosmetycznym, obie z tymi dziwnymi maseczkami à la 1958 rok na twarzach, Desi weszła, spojrzała najpierw na jedną, potem na drugą, i spytała: „Ja sstrasznie przepraszam, ale która z was jest Żydówką?”. Podłożono pod to taki wybuch śmiechu, jakby widzowie zwariowali z radości. Prawdopodobnie teraz Trisha bardzo je przypominała, ale nic to jej w tej chwili nie obchodziło. Nie było tu widzów, nie było efektów śmiechu, a ona nie zniosłaby już kolejnego ukąszenia. Gdyby jakiś komar ją teraz ugryzł, chybaby zwariowała.

Nacierала się błotem przez dobre pięć minut, na końcu zaś delikatnie nałożyła jego warstwę na powieki. Pochyliła się nad strumieniem, by sprawdzić, jak wygląda. We względnie nieruchomej wodzie zobaczyła dziewiętnastowieczny obraz białej, grającej Murzynkę w świetle księżyca. Twarz miała ciemnoszarą niczym waza właśnie wykopana przez archeologów, a nad tą twarzą wznosiła się kępka sztywnych od brudu włosów. Oczy były białe, zapłakane i przerażone. Wcale nie wyglądała śmiesznie, jak Lucy i Ethel w gabinecie kosmetycznym. Przypominała raczej dobrze zmumifikowane zwłoki, czy jak to tam nazywają dorośli.

Przemawiając do swego odbicia w wodzie, rzekła:

– Mały czarny Sambo powiedział: „I proszę, tygrysie, nie podrzyj mi mojego nowego ubranka”.

Lecz to także jej nie rozśmieszyło. Posmarowała błotem opuchnięte, obolałe ramiona i właśnie miała zanurzyć je w wodzie, kiedy uświadomiła sobie, że postępuje głupio. Te cholerne wściekle muszki po prostu znowu ją tam pogryzą.

Nogi i ramiona wróciły już prawie do stanu używalności, zdołała nawet ukucnąć i zrobić siusiu, nie przewracając się. Udało się jej także wstać i przejść kilka kroków, choć krzywiła się z bólu za każdym razem, kiedy musiała obrócić głowę choć odrobinę w prawo lub w lewo. Prawdopodobnie naciągnęła sobie mięśnie, dokładnie tak jak biedna pani Chetwynd, ich sąsiadka z tej samej ulicy, której jeden starszy pan wjechał w bagażnik, kiedy czekała na skrzyżowaniu na zmianę świateł. Temu starszemu panu nic się nie stało, ale biedna pani Chetwynd nosiła gorset przez sześć tygodni. Może i jej założą gorset, kiedy ją wreszcie znajdą? Może zabiorą ją do szpitala helikopterem z czerwonym krzyżem na kadłubie, jak w serialu „MASH”, i...

„Daj sobie spokój, Trisha – powiedział przerażająco chłodny głos w jej głowie. – Gorset... to nie dla ciebie. Lot helikopterem też...”

– Stul pysk – szepnęła, ale głos nie zwrócił na nią uwagi.

„Nie zostaniesz nawet zmumifikowana – ciągnął – ponieważ oni nigdy cię nie znajdą. Umrzesz tu, będziesz wędrować po lesie, póki nie umrzesz, zwierzęta zjedzą twoje gnijące ciało i pewnego dnia jakiś myśliwy znajdzie ogryzione kości”.

Było w tym coś tak przerażająco prawdziwego – podobne historie słyszała w telewizji, jak się jej teraz wydawało, raz za razem – że Trisha znów się rozpłakała. Oczami wyobraźni widziała nawet myśliwego, mężczyznę w jaskrawoczerwonej wełnianej kurtce i pomarańczowej czapce, okropnie niedogolonego. Szukał miejsca odpowiedniego, by się zasadzić na jelenia, albo może takiego, w którym mógłby się wysikać. Mężczyzna dostrzegł coś białego i pomyślał najpierw: „To tylko kamień”, ale kiedy zbliżył się do tego kamienia, zobaczył, że ma on oczodoły.

– Prześni! – szepnęła, wracając do powalonego drzewa i rozłożonych pod nim strzępów przeciwdeszczowego płaszcza. Znienawidziła ten płaszcz, chociaż nie potrafiła powiedzieć dlaczego, w każdym razie symbolizował dla niej wszystko, co jej się nie udało. – Prześni, proszę.

Chłodny głos nie zamierzał przestać. Chłodny głos miał jej jeszcze coś do powiedzenia. Nie wszystko naraz, po prostu coś.

„A może nie umrzesz tak po prostu? A może to coś, co tu żyje, zabije cię i pożre?”

Trisha zatrzymała się przy zwalonym pniu drzewa, z jedną ręką wyciągniętą, chwytającą uschlą gałązkę, i nerwowo rozejrzała się dookoła. Od chwili kiedy się obudziła, myślała wyłącznie o tym, jak strasznie swędzi ją całe ciało. Zimne błoto pomogło na swędzenie, pomogło nawet na uządlenia os, i nagle dziewczynka zdała sobie sprawę z tego, gdzie jest: w dzikim lesie, samotna, nocą.

– Przynajmniej świeci księżyc – powiedziała głośno, stojąc przy drzewie i rozglądając się po swojej małej polance. Ta polanka wydała jej się mniejsza niż poprzednio, jakby krzaki i drzewa zbliżyły się do niej, kiedy spała. Zbliżyły się ukradkiem.

Światło księżycza nie było też tak wspaniałe, jak początkowo myślała. Prawda, jasno oświetlało polankę, ale była to jasność myląca, sprawiająca, że wszystko wyglądało aż nazbyt rzeczywiście, a jednocześnie zupełnie nierzeczywiście. Cienie były zbyt czarne, a tam, gdzie gałęziami poruszał wiatr, zmieniały się bardzo niepokojąco.

Jakieś zwierzątko pisnęło w lesie, wydało taki dźwięk, jakby zadławiło się swym piskiem, i ucichło.

Gdzieś daleko zahuczał puchacz.

Nieco bliżej trzasnęła łamana gałązka.

„A to co takiego?” – pomyślała Trisha, odwracając głowę w stronę, z której dobiegł ją trzask łamanej gałązki. Serce, do tej pory pracujące na jałowym biegu, przyśpieszyło nagle przez trucht do sprintu. Lada chwila zacznie bić rekordy i wówczas być może ona sama pobije rekord, spanikuje i zacznie uciekać niczym sarna przed pożarem lasu?

– To nic, ja nic nie słyszałam – powiedziała cichym, zdyszczonym głosem, bardzo podobnym do głosu matki, z czego zresztą nie zdawała sobie sprawy. Nie wiedziała także, że w oddalonym o pięćdziesiąt kilometrów motelu jej matka usiadła nagle, wyrwana z przerażającego snu, nie do końca przytomna mimo rozwartych oczu, lecz pewna, że coś strasznego zdarzyło się jej córce albo wkrótce się zdarzy.

„Oto coś, co słyszysz – powiedział chłodny głos, pozornie zatroskany, w rzeczywistości zaś nieskończenie wręcz szczęśliwy. – To coś cię pragnie i jest coraz bliżej. Złapało twój trop”.

– Nie ma żadnego czegoś – oświadczyła Trisha ostrym, wysokim głosem, załamującym się, ilekroć właśnie miał się podnieść. – Uspokój się, daj pożyć, nie ma żadnego czegoś.

Niegodne zaufania światło księżycza zmieniało kontury drzew, przekształcało je w nagie czaszki o czarnych oczodołach. Odgłos dwóch ocierających się o siebie gałęzi stał się tęsknym krzykiem potwora. Trisha odwróciła się niezgrabnie, próbując patrzeć we wszystkich kierunkach naraz, przewracając oczami w pokrytej błotem twarzy.

„To niezwykle coś, Trisha, to coś, co czeka na tych, którzy zabłądzili w lesie. Daje im czas, niech kręcą się w kółko, niech się boją, strach sprawia, że smakują lepiej, ich mięsko jest słodsze; a kiedy już się boją, atakuje. Zaraz zobaczysz to coś. Lada sekunda wychynie spomiędzy drzew. Lada sekunda, wiesz? A kiedy zobaczysz twarz tego czegoś, oszalejesz. Jeśli ktoś cię usłyszy, pomyśli, że krzyczysz, ale tak naprawdę będziesz się oczywiście śmiać. Prawda? Bo szaleńcy zawsze się śmieją, kiedy nadchodzi kres ich życia. Śmieją się... śmieją... śmieją...”

– Prześni, w lesie nie ma nic takiego, prześni, prześni, prześni!



Wyszeptwała te słowa bardzo szybko, ściskając trzymaną w dłoni gałąź coraz mocniej i mocniej, aż wreszcie pękła z trzaskiem przypominającym wystrzał z pistoletu startowego. Trisha podskoczyła ze strachu i krzyknęła cicho, ale ten trzask także nieco ją uspokoił. W końcu wiedziała, co trzasnęło: sucha gałąź, którą w dodatku sama złamała. Potrafiła łamać gałęzie, przynajmniej pod tym względem panowała nad światem. Dźwięki to przecież tylko dźwięki. Cienie to tylko cienie. Może się bać, jeśli chce, może słuchać, co mówi zdradziecki głos w jej głowie, ale w lesie nie ma

(niczego, niczego złego)

po prostu nie ma niczego. Oczywiście żyją tu z pewnością jakieś zwierzęta, pewnie nawet w tej sekundzie rozgrywa się gdzieś gra w „zabij lub zostań zabity”, ale w lesie nie ma złej rze...

Jest.

I rzeczywiście była.

W tej chwili, nie myśląc o niczym i – nieświadomie – wstrzymując oddech, Trisha uprzytomniła sobie nagle z całą, największą pewnością, że w lesie żyje to złe. Coś złego. Nie przemawiał do niej w tej chwili żaden głos, tylko coś w niej, może jakiś zmysł stłumiony, uspiony w świetle domów, telefonów i elektryczności, a ożywający w dziewiczym lesie, przebudził się nagle. Nie widział i nie myślał, lecz czuł. I czuł, że w lesie jest

coś.

– Hej! – krzyknęła wprost w oświetlone blaskiem księżyca czarnoszare drzewa. – Hej, jest tam kto?

W motelu w Castle Rock, w pokoju, w którym zamieszkał z nią na jej prośbę, Larry McFarland siedział w piżamie na brzegu podwójnego łóżka, przytulając do siebie żonę. Choć miała ona na sobie jedynie cienką bawełnianą koszulkę nocną, a pod nią prawie na pewno nic, i choć on od przeszło roku utrzymywał stosunki seksualne wyłącznie ze swoją lewą ręką, Larry McFarland nie odczuwał pożądania, a w każdym razie nie odczuwał go w tej chwili. Quilla drżała tak, że wydawało mu się, iż ma pod swoimi dłońmi nagie mięśnie jej pleców.

– To nic takiego – powiedział. – Miałaś zły sen. Obudziłaś się z koszmaru, stąd to uczucie.

– Nie! – Quilla kręciła głową tak gwałtownie, że poczuł muśnięcie jej włosów na policzku. – Nie, czuję to, jest w niebezpieczeństwie, grozi jej coś strasznego... – I rozpląkała się.

Trisha nie płakała, jeszcze nie. W tej chwili była zbyt przestraszona, by płakać. Coś ją obserwowało. Coś.

– Hej! – krzyknęła.

Odpowiedziała jej cisza, lecz to coś było tam i teraz się poruszało, z lewa na prawo. Kiedy oczy dziewczynki powędrowały po ścianie lasu, kierowane wyłącznie światłem księżyca, usłyszała trzask gałązki dobiegający z miejsca, na które patrzyła. Usłyszała też cichy oddech... ale czy rzeczywiście był to cichy oddech? A może tylko szum wiatru?

„Przecież wiesz, że nie” – szepnął chłodny głos i rzeczywiście, wiedziała, że nie.

– Nie zrób mi krzywdy – powiedziała Trisha i dopiero w tym momencie się rozpląkała. – Czymkolwiek jesteś, proszę, nie skrzywdź mnie. Ja cię nie skrzywdzę, ale bardzo proszę, nie skrzywdź mnie. Jestem tylko małą dziewczynką.

Nogi ugięły się pod nią i Trisha nie tyle usiadła, ile zapadła się w sobie. Płacząc i drżąc na całym ciele ze strachu, wkopała się pod zwałone drzewo niczym małe, bezbronne zwierzątko, którym rzeczywiście się stała. Nadal błagała to coś, by jej nie skrzywdziło, choć teraz już nieświadomie. Zasłoniła się plecakiem niczym tarczą. Szloch wstrząsał jej drobnym ciałkiem, a kiedy bliżej złamała się

z trzaskiem kolejna gałąź, Trisha krzyknęła. To coś nie wyszło jeszcze na polankę, ale lada chwila mogło. Dosłownie lada chwila.

Czy to coś siedziało na drzewie? Poruszało się wśród splątanych gałęzi? Miało skrzydła, jak nietoperz?

Wyjrzała przez szczelinę między plecakiem a pniem zwałonego drzewa. Na tle nieba, oświetlonego zimnym księżycowym blaskiem, widziała tylko splątane gałęzie drzew. Nie było wśród nich żadnego stworzenia, a przynajmniej ona żadnego stworzenia nie widziała, ale w lesie zapadła nagle absolutna cisza. Nie zaczęła się, nawet świerszcze nie ośmieliły się cykać.

To coś, cokolwiek było, znajdowało się bardzo blisko i właśnie podejmowało decyzję. Miało albo rozerwać Trishę na strzępy, albo pójść dalej swoją drogą. Nie było ani żartem, ani sennym koszmarem, lecz samą śmiercią, stojącą, czającą się lub być może ukrytą wśród gałęzi drzew tuż na granicy polanki. I decydowało, czy zabić ją teraz... czy może pozwolić jej jeszcze dojrzeć.

Trisha leżała, wstrzymując oddech, rozpaczliwie wtulona w plecak. Minęła wieczność, nim usłyszała trzask kolejnej łamanej gałązki, tym razem nieco dalej. Cokolwiek ją przeraziło, najwyraźniej podjęło decyzję.

Zamknęła oczy. Łzy płynęły jej spod pokrytych błotem powiek, złożyły rowki w pokrytych błotem policzkach. Kąciki ust drżały. W tej chwili Trisha nawet wolałaby być martwa. Lepiej nie żyć niż znosić taki strach, lepiej nie żyć niż zabłądzić w lesie.

Trzasnęła kolejna gałązka, jeszcze dalej. Liście dygotały w powiewie, który nie był powiewem wiatru, lecz to zdarzyło się jeszcze dalej. Coś odchodziło, ale teraz wiedziała, że to coś jest tu, w lesie, i że wróci. A na nią czekała noc niczym tysiąc kilometrów pustej autostrady.

Już nigdy nie zasną. Nigdy.

Kiedy nie mogła spać, mama mówiła, że powinna coś sobie wyobrazić. „Wyobraź sobie coś miłego – powtarzała. – To najlepsze, co możesz zrobić, jeśli sen nie chce do ciebie przyjść, Trisha”.

Czy powinna wyobrazić sobie, że została uratowana? Nie, to tylko pogorszyłoby sprawę, jak wyobrażanie sobie wielkiej szklanki wody, kiedy człowiekowi chce się pić.

A jej przecież chciało się pić, bardzo chciało się pić, z czego zdała sobie sprawę dopiero teraz. Wyszła na trzaskę. „Pragnienie jest być może tym, co pozostaje po chwili najstraszniejszego strachu, jaki przeżyło się w życiu” – pomyślała Trisha. Z pewnym wysiłkiem odwróciła plecak i rozpięła sprzączki klapy. Byłoby jej łatwiej, gdyby siedziała, ale za skarby świata, ba, za skarby wszechświata nie wyszłaby tej nocy spod zwałonego drzewa.

„Chyba – powiedział chłodny głos – że to coś wróci i wyciągnie cię stamtąd siłą”.

Chwyliła butelkę wody, wypila kilka wielkich łyków, zakręciła ją i odłożyła na miejsce. Przez chwilę tęsknie wpatrywała się w zamkniętą kieszeń, w której spoczywał walkman. Bardzo chciała choć przez chwilę posłuchać radia, ale musiała przecież oszczędzać baterie. Zapięła więc plecak, nim tęsknota za ludzkim głosem stała się nie do zniesienia, a potem znów objęła go ramionami. Nie chciało jej się już pić, więc co mogła sobie wyobrazić? Wyobraziła sobie, że tu, na leśnej polanie, jest z nią Tom Gordon, że stoi przy strumieniu w kostiumie tak białym, że aż świeci w mroku. Tom nie mógł jej strzec tak naprawdę, bo przecież go sobie tylko wyobraziła, ale mogła udawać, że tak jest. Bo i czemu nie? Jej wyobrażenia należą przecież do niej, prawda?

– Co to było to coś w lesie?

– Nie wiem – odparł Tom. Mówił tak, jakby go to wcale nie interesowało. Oczywiście mógł sobie pozwolić na to, żeby mówić tak, jakby go to wcale nie interesowało, prawda? Prawdziwy Tom Gordon

był teraz trzysta kilkadziesiąt kilometrów dalej, w Bostonie, i pewnie spał smacznie za zamkniętymi drzwiami.

– Jak ty to robisz? – spytała, senna, tak senna, że nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, że mówi głośno. – Znasz jakiś sekret?

– Sekret?

– Sekret, jak uratować wynik meczu – wyjaśniła. Oczywiście same jej się zamknęły.

Sądziła, że Tom powie jej, iż wierzy w Boga (przecież zawsze, kiedy udało mu się uratować wynik, wskazywał palcem niebo) albo wierzy w siebie, albo po prostu robi, co może (tak kazał im postępować trener piłki nożnej, powtarzał zawsze: „Rób, co możesz, reszta przyjdzie sama”), ale numer 36, stojący przy wąskim strumyku w lesie, udzielił jej zupełnie innej odpowiedzi.

– Musisz pokonać pierwszego wybijającego – powiedział. – Musisz rzucić mu wyzwanie pierwszym narzuceniem, narzucić piłkę tak, żeby nie zdołał jej odbić. On wchodzi na stanowisko, myśląc sobie: „Jestem lepszy od tego faceta”. Musisz pozbawić go złudzeń, a z tym nie wolno czekać. Najlepiej załatwić sprawę od razu. Sekret ratowania wyniku to pokazanie przeciwnikowi, że jesteś od niego lepszy.

– Jaką piłkę... – „Narzucasz jako pierwszą” chciała zapytać Trisha, ale nim zdążyła dokończyć pytanie, zasnęła.

W pokoju motelowym w Castle Rock jej rodzice także spali, przytuleni do siebie, bo przedtem, choć wcale tego nie planowali, kochali się z pasją... i z przyjemnością. „Gdybyś mi kiedykolwiek powiedział...” – pomyślała Quilla na chwilę przed zaśnięciem, a Larry, zasypiając, pomyślał: „Nie powiem ci tego za skarby świata...”.

Nad ranem tego wiosennego dnia, w małym pokoiku przylegającym do pokoju rodziców, najgorzej z całej rodziny spał Pete McFarland. Jęczał, przewracał się z boku na bok, ścigał pod siebie przepeconą pościel. Śniło mu się, że kłóci się z matką; idą leśną ścieżką, kłócąc się przez cały czas, w którymś momencie on odwraca się z obrzydzeniem (a może tylko po to, by matka nie ucieszyła się widokiem łez, które napłynęły mu do oczu) i nie widzi Trishy. Sen kończył się w tym momencie, był niby odłamek kości, który utkwiał w gardle i dusi. Pete kręcił się w łóżku, starając się wykrztusić ten obraz z wyobraźni. W blasku zachodzącego księżycy jasno lśnił pot na jego czole i policzkach.

Odwrócił się i nie zobaczył Trishy. Odwrócił się i nie zobaczył Trishy. Odwrócił się i nie zobaczył Trishy. Widział tylko pustą ścieżkę.

Było zupełnie tak, jakby nigdy nie miał siostry.

## Piąta rozgrywka

Kiedy Trisha obudziła się rano, kark bolał ją tak bardzo, że właściwie nie była w stanie odwrócić głowy, ale wcale jej to nie przeszkadzało. Słońce już wzeszło, oświetlając swymi promieniami niewielką leśną polankę, i tylko to ją obchodziło. Czuła się niczym nowo narodzona. Pamiętała, jak obudziła się w nocy, pamiętała, że swędziało ją całe ciało i musiała zrobić siusiu, pamiętała, jak przy świetle księżycy poszła nad strumień, by posmarować błotem ukłucia i użądlenia, pamiętała, że Tom Gordon pilnował jej, i kiedy zasypiała, opowiadał coś o tym, jak można uratować wynik meczu. Pamiętała także, że strasznie się przeraziła czegoś w lesie, ale to przecież oczywiste, że się bała, bo była sama, w ciemności; to oczywiste, że nic jej nie obserwowało.

Coś ukrytego głęboko w jej głowie próbowało protestować, ale dziewczynka nie dopuściła tego czegoś do głosu. Noc minęła. Trisha nie zamierzała do niej wracać, tak jak nie zamierzała powracać do upadku ze zbocza doliny, który zakończył się przy drzewie z gniazdem os. Zaczął się nowy dzień. W całym lesie pełno już jest ekip poszukiwawczych, któraś z nich z pewnością ją znajdzie. Nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Zasługiwała na to, żeby zostać ocalona. W końcu spędziła sama w lesie całą noc!

Wypełzła spod drzewa, popychając przed sobą plecak, wstała, włożyła czapeczkę i na zeszywniałych nogach podeszła do strumienia. Zmyła błoto z twarzy i dłoni, przyjrzała się chmurze muszek już formującej się nad jej głową i niechętnie posmarowała się świeżą warstwą mazi. Przypomniała sobie przy tym, jak kiedyś z Pepsi, jeszcze jako małe dziewczynki, bawiły się w salon piękności. Zrobiły wówczas taki bałagan w kosmetykach pani Robichaud, że wyrzuciła je z domu, krzycząc, żeby się wynosiły, wynosiły jak najszybciej, nie myły się, nie wycierały, tylko wyniosły się z domu, nim ona straci cierpliwość i spierze je tak, że przez miesiąc będą spały na brzuchach. Więc wyniosły się z domu wypudrowane, wysmarowane różem, z wymalowanymi na srebrno oczami i na fioletowo ustami, wyglądając prawdopodobnie jak najmłodsze striptizerki świata. Poszły do domu Trishy. Kiedy Quilla je zobaczyła, najpierw oniemiała ze zdumienia, potem dostała ataku śmiechu, aż się popłakała. Wzięła dziewczynki za ręce, zaprowadziła do łazienki i dała im krem, żeby jakoś doprowadziły się do porządku.

– Smarujcie od dołu do góry i delikatnie, dziewczynki – powiedziała cicho Trisha.

Skończyła z twarzą, umyła ręce w strumieniu, zjadła resztę kanapki z tuńczykiem i połowę łydzyk selera. Zwinęła torebkę ze śniadaniem, czując się nieco niepewnie. Nie miała już jajka, nie miała kanapki, nie miała chipsów, nie miała batoników. Pozostało jej tylko pół butelki surge (niecałe pół butelki), pół butelki wody i kilka łydzyk selera.

„Nie szkodzi – powiedziała sobie, wkładając do plecaka pustą torebkę i pozostałe selery, a także podarty, brudny płaszcz przeciwdeszczowy. – Nie szkodzi, ponieważ w lesie pełno jest ekip poszukiwawczych i jedna z nich na pewno mnie znajdzie. Kolację zjem w jakiejś restauracji: hamburger, frytki, koktajl czekoladowy, wielka gorąca szarlotka”. Na tę myśl zaburczało jej w żołądku.

Zapakowawszy rzeczy, Trisha posmarowała błotem także ręce. Słońce oświetliło tymczasem całą polankę, zapowiadał się pogodny, upalny dzień, i w jego blasku poruszała się żwawiej. Przeciągnęła się,

przebiegła kilka kroków w miejscu, żeby się rozruszać, i parę razy przekrzywiła głowę to na jedno ramię, to na drugie, przewyciężając sztywność karku. Przez chwilę stała nieruchomo, nasłuchując ludzkich głosów, szczekania psów, może nawet nieregularnego łoskotu łopat wirnika helikoptera, ale usłyszała tylko stukanie dzięcioła, pracowicie wygrzebującego sobie spod kory śniadanie.

„Nic nie szkodzi, mamy mnóstwo czasu – pomyślała. – Przecież to dopiero czerwiec, wiesz? A na czerwiec przypadają najdłuższe dni w roku. Idź wzdłuż strumienia. Nawet jeśli ratownicy cię nie znajdą, idąc wzdłuż strumienia, trafisz między ludzi”. Ruszyła w drogę.

Powoli zbliżało się południe, a strumień nadal prowadził ją tylko i wyłącznie przez las. Robiło się z każdą chwilą goręcej. Pot rzeźbił coraz szersze strumyki na oblepiającym ciało dziewczynki błocie, duże ciemne plamy pojawiły się pod pachami bluzy z napisem „36 Gordon”, na plecach również wyrosła plama w kształcie drzewa. Włosy, ubłocone tak, że Trisha wyglądała raczej na brunetkę niż blondynkę, zwisały jej nieporządnie wokół buzi. Po nadziei, z którą o siódmej ruszyła z polanki, o dziesiątej nie pozostało już prawie nic, o jedenastej zaś zdarzyło się coś, co jeszcze bardziej pogorszyło jej samopoczucie.

Weszła właśnie na szczyt pagórka po łagodnym tym razem, usłanym igłami i liśćmi zboczu. Zatrzymała się, by chwilę odpocząć, gdy nagle znów poczuła to niechciane coś, coś, co nie miało nic wspólnego ze świadomością, niepokojące, napinające uwagę. Była obserwowana. Nie próbowała nawet wytłumaczyć sobie, że to przywidzenie, ponieważ z całą pewnością była obserwowana.

Powoli obróciła się dookoła. Nie dostrzegła niczego, lecz w lesie znów zapanowała ta dziwna cisza. Wiewiórki nie buszowały już w liściach i krzakach, nie skakały z gałęzi na gałąź. Nie skrzeczały sroki. Dzięcioł nadal pracowicie stukał w drzewo, gdzieś daleko wciąż krakały wrony, ale poza tym było tak, jakby w jej najbliższym sąsiedztwie pozostały tylko bzyczące komary.

– Kto tu jest? – krzyknęła.

Oczywiście nikt jej nie odpowiedział, więc zaczęła schodzić z pagórka, wzdłuż strumienia, przytrzymując się krzaków, ponieważ ziemia zrobiła się śliska. „To tylko wyobraźnia” – pomyślała... ale właściwie była pewna, że nie.

Strumień zwęzał się – i tego już z całą pewnością sobie nie wyobraziła. Zwęzał się stopniowo, w miarę jak śledziła go wzdłuż łagodnego, porośniętego sosnami zbocza, a potem wśród drzew liściastych, gdzie poszycie było za gęste i zdecydowanie zbyt kolczaste, aż w końcu miał najwyżej ze trzydzieści centymetrów szerokości. Znikł wreszcie w gęstej kępie krzaków. Trisha przebiła się przez nie, zamiast je obejść, bo bała się, że w ogóle straci go z oczu. Oczywiście wiedziała, że nawet jeśli strumień zniknie, nie będzie to miało żadnego praktycznego znaczenia, ponieważ z niemal całkowitą pewnością mogła już powiedzieć, że nie płynie bynajmniej tam, dokąd ona chce dojść, a prawdopodobnie lada chwila w ogóle przestanie płynąć, ale to akurat nie robiło jej jakoś różnicy. Prawda wyglądała tak, że nie traktowała go obojętnie, że – jak by to powiedziała matka – „wytworzyła się między nimi więź” – i Trisha nie była w stanie tak po prostu go zostawić. Bez strumienia byłaby tylko małą dziewczynką, zabłąkaną w lesie i krążącą po nim bez planu. Na samą myśl o tym poczuła, że dławi się ze strachu, a serce zaczęło mocno bić w jej piersi.

Przedarła się przez krzaki i strumyk znów się pojawił. Szła wzdłuż niego ze wrokiem wbitym w ziemię i głębokim marszem na czole, skupiona niczym Sherlock Holmes tropiący ślady psa Baskerville’ów. Nie zauważyła, że zmienia się poszycie – krzaków było coraz mniej, za to pojawiły się paprocie – nie dostrzegła też, że drzewa, między którymi wił się jej strumyczek, były w większości martwe. Nie zwróciła uwagi, że ziemia pod jej stopami robi się nieprzyjemnie miękka. Całą uwagę

poświęciła wyłącznie strumieniowi. Szła wzdłuż niego z opuszczoną głową, istny wzór skupienia wszystkich sił umysłowych na jednym celu, a kiedy strumień zaczął się rozszerzać (było to około południa), pozwoliła sobie nawet na odrobinę nadziei: pomyślała, że może jednak nie zniknie. W chwilę później uświadomiła sobie, że wprawdzie rzeczywiście się poszerzył, ale jest teraz znacznie płytszy, że zmienił się właściwie w rządek następujących po sobie kałuż, w większości zarośniętych i pełnych wodnych robali. W mniej więcej dziesięć minut później stopa zapadła jej się w ziemię, choć w rzeczywistości nie była to wcale ziemia, tylko warstwa mchu rosnąca na rzadkim błocie. Błoto wlało się do buta i Trisha wyciągnęła nogę z cichym okrzykiem obrzydzenia. Musiała nią szarpać i reebok do połowy zjechał jej ze stopy. Krzyknęła jeszcze raz, chwyciła się pnia martwego drzewa i najpierw wytarła stopę trawą, a potem włożyła but z powrotem.

Następnie rozejrzała się dookoła. Znajdowała się w upiornym lesie duchów, który spłonął kiedyś, dawno temu. Przed sobą, a także wokół siebie, widziała tylko labirynt martwych drzew. Ziemia pod jej stopami była wilgotna, bagnista. Z nieruchomych oczek zarośniętej wody wynurzały się niskie garby, porośnięte trawą i chwastami. Powietrze drżało wręcz od bzyczenia komarów, tańczyły w nim chmury ważek. Słyszała co najmniej kilka stukających pracowicie dzięciołów; tyle tu było martwych drzew, ptaki musiały się strasznie śpieszyć.

Jej ukochany strumyk wpłynął w bagno i znikł.

– I co mam teraz zrobić? – spytała beznadziejnie, a w jej głosie brzmiała zapowiedź łez. – Może ktoś powiedziałby mi, co powinnam zrobić?

Ze znalezieniem miejsca, gdzie mogłaby usiąść i wszystko sobie przemyśleć, nie miała kłopotu, wokół było pełno powalonych drzew, większość ze śladami ognia na białych od wilgoci pniach. Pierwsze, na którym spróbowała przysiąść, zawałiło się jednak pod jej ciężarem; spadła wprost na bagnisty grunt. Krzyknęła głośno, czując wilgoć przesączającą się przez dżinsy – Boże, jak bardzo nienawidziła mieć mokrego siedzenia! – i poderwała się na równe nogi. Drzewo przegniło na bagnie i w miejscu, w którym się obłamało, roilo się od korników. Trisha przypatrywała się im przez chwilę z pełną obrzydzenia fascynacją, a potem podeszła do drugiego obalonego pnia i najpierw go sprawdziła. Robił wrażenie zdrowego, więc usiadła na nim ostrożnie, przyjrzała się bagnu, w które wpadła, nieświadomie potarła swędzący od ugryzień komarów kark i usiłowała zdecydować, co dalej.

Nie myślała tak jasno jak wówczas, kiedy się obudziła, myślała znacznie mniej jasno, nadal jednak zdawała sobie sprawę z tego, że ma przed sobą alternatywę: może pozostać na miejscu, czekając na ekipę ratunkową, może także iść przed siebie, na jej spotkanie. Miała wrażenie, że pozostanie w miejscu nie byłoby takie całkiem głupie, nie marnowałaby energii i w ogóle, a poza tym, utraciłszy strumień jako przewodnika, dokąd właściwie miałyby iść? Jedno wiedziała na pewno: że na pewno nie wie, jak wybrać właściwy kierunek. Być może każdy krok zbliża ją do cywilizacji, być może też, że ją od niej oddala. Niewykluczone również, że ona po prostu chodzi w kółko.

Z drugiej strony („Zawsze jest jakaś druga strona, kochanie” – powiedział jej kiedyś ojciec) tu nie miała nic do jedzenia, na dodatek śmierdziało błotem i gnijącymi drzewami, i w ogóle było kompletnie do luzu. Nagle uświadomiła sobie, że jeśli zostanie na miejscu i do wieczora nie pojawi się pomoc, będzie musiała tutaj nocować! Co za potworna perspektywa! Mała polanka w kształcie półksiężyca w porównaniu z tym koszmarem otoczeniem wydawała się po prostu rajem.

Trisha wstała i spojrzała w kierunku, w którym płynął strumyk... nim znikł. Przed wszystkim dostrzegła gęstwę szarawych pni i koronkę splatających się ze sobą gałęzi, w tle jednak zauważyła coś zielonego. Coś wznoszącego się wysoko i zielonego. A jeśli to było wzgórze? Być może nawet

porośnięte golteriami? Hej, czemu nie? Przecież mijała gęste kępki ich krzaczków. Powinna je właściwie zbierać do plecaka, ale po drodze tak bardzo koncentrowała się na strumyku, że nawet jej to do głowy nie przyszło. Teraz jednak strumień znikł, a Trisha znów była głodna. Nie śmiertelnie głodna, przynajmniej jeszcze nie teraz, lecz z całą pewnością głodna.

Zrobiła dwa kroki do przodu, stąpnęła na kawałek miękkiej ziemi i z głębokim niesmakiem przyjrzała się wodzie, natychmiast wypełniającej ślad po jej reeboku. Czy ma iść dalej? Czy ma iść dalej wyłącznie dlatego, że wydawało się jej, iż widzi drugą stronę? – Mogą tu być lotne piaski – powiedziała do siebie.

„Ależ oczywiście – zgodził się z nią natychmiast chłodny głos w jej głowie. Wydawał się rozbawiony. – Lotne piaski! Krokodyl! Żeby już nie wspomnieć o małych szarych ludzikach z *Z archiwum X*, wtykających ci sondy w pupę”.

Cofnęła się kilka kroków, usiadła i znów rozważyła sytuację. Nieświadomie przygryzała dolną wargę. Nie widziała wirujących jej nad głową owadów. Iść czy zostać? Zostać czy iść?

Dziesięć minut później ruszyła przed siebie, kierowana ślepą nadzieją... i myślą o jagodach. Niech to diabli, była już prawie gotowa jeść liście! Oczami wyobraźni ujrzała samą siebie, zbierającą jaskrawoczerwone golterie na zboczu przyjemnego, zielonego wzgórze, niczym dziewczynka z ilustracji w podręczniku (zapomniała już o błocie na twarzy i potarganych, brudnych włosach). Tak, oczami wyobraźni ujrzała samą siebie, zbierającą golterie, wspinającą się na szczyt pagórka, spoglądającą ze szczytu i widzącą...

„...drogę” – pomyślała. Zwykłą gruntową drogę z żywopłotami po obu stronach... konie pasące się na łące, a w oddali stodołę. Czerwoną stodołę z pomalowanymi na biało deskami na rogach.

Zwariowała. Ogłupiała z kretesem.

Ale... czy naprawdę zwariowała? A może zaledwie pół godziny marszu dzieli ją od bezpiecznego miejsca, nadal zagubioną w lesie, bo boi się zrobić te kilka kroków.

– Doskonale – powiedziała głośno, wstając i nerwowo poprawiając paski plecaka. – Doskonale, idziemy na jagody. Ale jeśli zrobi się zbyt obrzydliwie, wracam. – Po raz ostatni sprawdziła, czy paski trzymają się mocno, po czym ruszyła przed siebie, ostrożnie, przy każdym kroku sprawdzając spoiścieść ziemi, szerokim łukiem omijając stojące jeszcze martwe drzewa i leżące na ziemi stopy przegniłych gałęzi.

Szła tak może z pół godziny, może czterdzieści minut, nim wreszcie odkryła to, co przed nią odkryły tysiące, a może nawet miliony ludzi: kiedy robi się zbyt obrzydliwie, najczęściej za późno jest również, by wrócić. Przeniosła nogę z wilgotnego, lecz dość twardego kawałka ziemi na garb, który wcale nie był garbem, lecz tylko go udawał, i jej stopa zanurzyła się w zimnym obrzydlistwie, za gęstym na wodę, ale za rzadkim na błoto. Straciła równowagę, złapała wystającą suchą gałąź, krzyknęła ze strachu i obrzydzenia, kiedy ta gałąź pękła jej w rękę, i padła na splechetek trawy, na której roily się robale. Podciągnęła kolano do piersi i zdołała wyrwać stopę z mazi. Stopa z niej wyszła, ale reebok utkwiał tam na dobre.

– Nie! – krzyknęła Trisha tak przeraźliwie, że na jej głos poderwał się w powietrze wielki biały ptak, podciągając pod siebie długie czarne łapy. W innym miejscu i innym czasie Trisha przyglądałaby mu się z pełnym zdumienia zachwytem, w tej chwili jednak zaledwie go zauważyła. Obróciła się na klęczkach – prawą nogę pokrytą miała aż po kolano lśniąca czarna mazią – i zanurzyła dłoń w wypniającą się błyskawicznie wodą dziurę w ziemi, w której jeszcze przed chwilą tkwiła jej stopa.

– Nie dostaniesz go! – krzyczała. – Jest mój i ty go nie dostaniesz!

Maciała w grząskim błocie, zrywając te korzenie, które były wystarczająco cienkie, by je zerwać, i omijając te, których zerwać nie zdołała. Coś najwyraźniej w świecie żywego otarło się jej o dłoń. W chwilę później złapała but i wydostała go na światło dzienne. Przyjrzała mu się, wypełnionemu i całkowicie pokrytemu błotem: but z błota w sam raz dla dziewczynki z błota, błoto z błotem, „totalne gie”, jak zwykła mawiać Pepsi, i rozplakała się. Kiedy przechyliła reeboka, z jego wnętrza połała się czarna ciecz, i na ten widok Trisha się roześmiała. Przez kilka chwil siedziała na wzgórku względnie twardej ziemi, trzymając na kolanach brudny but, śmiejąc się i płacząc na przemian, mała dziewczynka, będąca jądrem wszechświata muszek i komarów, strzeżona przez martwe drzewa, wśród których niezmordowanie cykały świerszcze.

Przestała w końcu płakać i tylko szlochała, przestała się śmiać i tylko prychała z rzadka, bez wesołości. Trawą oczyściła reeboka z zewnątrz najlepiej, jak tylko się dało, następnie zaś otworzyła plecak, wyjęła pustą torebkę śniadaniową i użyła jej, niby papierowego ręcznika, do wytarcia środka. Kawałki mokrego papieru zgniatała i wyrzucała za siebie. Jeśli ktoś zechce ją aresztować za śmiecenie w tym obrzydliwym i obrzydliwie śmierdzącym miejscu, proszę bardzo, niech aresztuje.

Wstała, nadal trzymając w dłoni ocalony z bagna but, rozejrzała się dookoła i tylko jęknęła: „O, kurwa!”. Po raz pierwszy w życiu wypowiedziała głośno to właśnie słowo (Pepsi mówiła je czasami na głos, ale cóż, Pepsi to Pepsi). Widziała teraz wyraźnie to coś zielonego, co poprzednio wzięła za wzgórze, i okazało się, że to tylko wysepki względnie suchej ziemi, nic więcej niż małe wysepki. Pomiędzy nimi była tylko stojąca, porośnięta rzęsą woda i drzewa, w większości martwe, choć kilka miało jeszcze na szczycie zielone kępy liści. Słyszała kumkanie żab. I nigdzie nie było żadnego wzgórza. Ze zwykłego podmokłego lasu trafiła na bagno. Z deszczu pod rynnę.

Odwróciła się, spojrzała za siebie, nie potrafiła jednak powiedzieć, w którym miejscu weszła w to piekło. Gdyby pomyślała, oznaczyła miejsce, z którego ruszyła, czymś jaskrawym, choćby kawałkiem okropnego, starego podartego płaszcza przeciwdeszczowego, mogłaby próbować wrócić. Nie pomyślała o tym jednak – i tyle.

„Przecież możesz przynajmniej spróbować – tłumaczyła sobie. – Znasz mniej więcej kierunek, w którym powinnaś iść”.

Może tak, może nie, ale Trisha nie miała zamiaru powtarzać błędu, z powodu którego w ogóle znalazła się w tej sytuacji.

Spojrzała przed siebie. Względnie suchych wysepek w bagnie było sporo, słońce odbijało się w stojącej pomiędzy nimi wodzie. Nie brakowało też drzew, których mogłaby się przytrzymać. No i bagno musiało się gdzieś kończyć, prawda?

„To szaleństwo choćby myśleć o tym”.

Jasne. Sama sytuacja jest szalona.

Trisha nie ruszała się jeszcze przez chwilę. Myślała o Tomie Gordonie i o tym, jak Tom specjalnie nieruchomieje, jak stoi na stanowisku, obserwując kogoś z chwytających Red Soxów, Hatteberga lub Veriteka, i czekając, aż dadzą mu znak. Stoi nieporuszony (i ona teraz stała tak jak Tom), i ten bezruch wydaje się promieniować z jego ramion, otulać go jak płaszcz. A potem Gordon przyjmuje pozycję i narzuca. „Ma w żyłach wodę z lodem” – powtarzał tata.

Bardzo pragnęła wydostać się stąd, przede wszystkim z tego okropnego bagna, a potem z tego okropnego lasu, pragnęła wrócić tam, gdzie są ludzie, sklepy, centra handlowe i gdzie przyjazny pan policjant wskazuje ci drogę, jeśli się zgubiłaś. I wydawało jej się, że ma na to szansę. Jeśli będzie dzielna. Jeśli w jej żyłach płynie choć odrobina dobrej, starej wody z lodem.



Trisha poruszyła się wreszcie. Zdjęła drugi but, związała sznurowadła obu i przewiesiła je przez szyję, tak że przypominały ciężarki starego zegara. Przez chwilę wahała się nad skarpetkami, ale postanowiła zostawić je na nogach – był to swego rodzaju kompromis (przez głowę przeleciało jej słowo: „zabezpieczenie”). Podwinęła nogawki dżinsów do kolan, wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze z płuc.

– McFarland odchyła ramię, McFarland narzuca – powiedziała. Poprawiła czapczkę Red Soxów i obróciła ją daszkiem do tyłu, bo tak było fajniej, po czym ruszyła przed siebie.

Przestępowała z wysepki na wysepkę ostrożnie i rozważnie, od czasu do czasu podnosząc głowę, wybierając sobie kolejne punkty orientacyjne i podążając w ich kierunku, dokładnie tak, jak to robiła wczoraj. „Tylko że dziś nie wpadnę w panikę, nie będę biec na ślepo – myślała. – Dziś w moich żyłach płynie woda z lodem”.

Minęła godzina, a potem druga. Ziemia pod jej nogami nie twardniała bynajmniej, wręcz przeciwnie, robiła się coraz bardziej grząska. W końcu pozostało tylko bagno i rozrzucone tu i ówdzie pagórki. Trisha przechodziła z jednego na drugi, tam gdzie mogła, przytrzymując się gałęzi i krzaków, gdzie indziej rozpościerając szeroko ramiona niczym tancerka na linie. Dotarła wreszcie na miejsce, gdzie nie było żadnego pagórka, na który mogłaby choćby przeskoczyć. Wahała się przez chwilę, zacisnęła zęby i weszła do stojącej wody, płosząc setki unoszących się na jej powierzchni owadów. Poruszona woda, która nie sięgała jej do kolan, śmierziała słodkim rozkładem. Trisha deptała po czymś, co wydawało jej się chłodną, nierówną galaretą. Na powierzchni wody pojawiły się żółtawe bąble, w których wirowały czarne kawałki nie wiadomo czego.

– Obrzydliwe – jęknęła, kierując się w stronę najbliższego garbu. – Obrzydliwe, obrzydliwe, obrzydliwe, robale by się wyrzygały.

Parła przed siebie chwiejnymi krokami, z których każdy kończył się szarpnięciem, kiedy próbowała wyciągnąć ugrzęzłą w wodzie stopę. Próbowana nie myśleć o tym, co się zdarzy, gdy noga utkwi jej na dobre w świństwach na dnie, a ona zacznie się zapadać w bagno.

– Obrzydliwe, obrzydliwe, obrzydliwe – powtarzała raz po raz, aż stało się to dla niej czymś w rodzaju zaklęcia. Pot ściekał jej po twarzy wielkimi ciepłymi kroplami, szczypał w oczy. Świerszcze darły się na jednej, przeraźliwie wysokiej nucie. Ze wzgóрка, który miał się stać jej następnym przystankiem, zeskoczyły trzy żaby, jedna po drugiej, plum, plum, plum.

– A gdzie budweiser? – spytała i uśmiechnęła się słabo.

W żółto-czarnej, otaczającej ją mazi pływały tysiące kijanek. Kiedy na nie patrzyła, nadepnęła nagle na coś twardego i śliskiego, może gałąź? Przeszła nad nią jakoś i dotarła do pagórka. Dysząc ciężko, wspięła się nań i przede wszystkim obejrzała ociekające mazią stopy i łydki, spodziewając się znaleźć na nich mnóstwo pijawek albo czegoś jeszcze gorszego, nie było jednak nic, a przynajmniej niczego nie znalazła, niemniej upaprała się aż po kolana. Zdjęła skarpetki, całe czarne; biała skóra pod nimi wyglądała bardziej jak skarpetki niż same skarpetki. Wydało jej się to tak zabawne, że wybuchnęła histerycznym śmiechem. Podparła się na łokciach, odrzuciła głowę do tyłu i wręcz wyła ze śmiechu, choć wcale nie chciała się tak śmiać, nie chciała śmiać się

(śmiechem szaleńca)

jak idiotka, ale przez dłuższy czas po prostu nie mogła przestać. Uspokoila się wreszcie, włożyła skarpetki i wstała. Przyglądała się czekającej ją drodze, osłaniając oczy rękami, dostrzegła charakterystyczne drzewo z grubą niższą gałęzią, odłamaną i zanurzoną w wodzie, i zdecydowała, że będzie ono jej kolejnym celem.

– McFarland odwodzi rękę, McFarland narzuca – powiedziała zmęczonym głosem, ruszając przed siebie. Nie myślała już o jagodach, chciała po prostu wydostać się z tego bagna w jednym kawałku.

Jest taka chwila, w której, zdani sami na siebie, ludzie przestają żyć, a starają się zaledwie przeżyć. Ciało, które wykorzystywało wszystkie dostępne źródła energii, zaczyna zużywać własne zapasy. Powoli przestaje się myśleć. Zdolność postrzegania świata zawęża się, lecz to, co jeszcze się dostrzega, widzi się niezwykle jasno. Kontury rzeczy sprawiają wrażenie zamazanych. Drugiego popołudnia w lesie Trisha McFarland zbliżyła się do granicy pomiędzy życiem a przeżyciem.

To, że kieruje się w tej chwili wprost na zachód, nie niepokoiło jej, zakładała (prawdopodobnie słusznie), że w najlepszym wypadku stać ją wyłącznie na to, by maszerować w jednym kierunku, obojętne w którym. Była głodna, ale i z tego nie zdawała sobie właściwie sprawy, zbyt usilnie koncentrowała się na tym, by iść w linii prostej. Gdyby w którymś momencie skręciła w którąkolwiek stronę, pewnie pozostałaby na bagnie aż do zmierzchu, a myśli o tym po prostu nie była w stanie znieść. Raz przystanąła i napiła się wody z butelki, a około czwartej dokończyła surge, prawie tego nieświadoma.

Martwe drzewa przestawały powoli wyglądać jak drzewa, wydawały się raczej starymi, pokręconymi, złowrogimi strażnikami o stopach zanurzonych w ciemnej wodzie. „Niedługo zacznę rozróżniać ich twarze” – pomyślała. Mijała właśnie jedno z nich (w odległości dobrych dziesięciu metrów w każdą stronę nie było żadnych pagórków), kiedy znów potknęła się o zatopiony korzeń lub gałąź i tym razem przewróciła się, machając rękami i dławiąc się. Do ust dostała jej się brudna, zgrzytająca w zębach woda; wypluła ją z krzykiem. Widziała swe ręce pod powierzchnią, były żółte, woskowe, jak coś, co utonęło bardzo dawno temu. Wyciągnęła je błyskawicznie i uniosła do góry.

– Nic mi nie jest – powiedziała szybkim, zdyszczonym głosem i była niemal świadoma tego, że przekracza jakąś bardzo ważną granicę, jakby przekroczyła granicę obcego kraju, w którym mówi się nieznanym, dziwnym językiem, a pieniądze wyglądają zabawnie. Wszystko się zmieniało. Ale...

– Nic mi nie jest – powtórzyła. – Tak, nic mi nie jest. – No i udało jej się nie zamoczyć plecaka, a to było bardzo ważne, ponieważ w plecaku miała walkmana, a walkman stanowił jedyną więź z rzeczywistym światem.

Brudna, w przemoczonej z przodu bluzie, Trisha uparcie brnęła przed siebie. Jej nowym celem było uschłe drzewo, którego pień pękł tak, że teraz wyglądało jak czarna litera Y na tle zachodzącego słońca. Po drodze minęła wzgórek, ale tylko nań spojrzała i poszła dalej. Po co jej jakiś wzgórek? Szybciej było brnąć przez wodę. Obrzydzenie, jakim przepełniało ją chłodne, galaretowate dno, też zelżało. Jeśli człowiek musi, przyzwyczai się do wszystkiego. Dopiero teraz się o tym dowiedziała.

Niedługo po tym, jak przewróciła się po raz pierwszy, znów zaczęła rozmawiać z Tomem Gordonem. Najpierw wydało się jej to straszne, wręcz niesamowite, lecz w miarę jak upływały długie godziny popołudnia, traciła rezerwę i wreszcie przemawiała do niego całkiem naturalnie, opowiadając, co obrała sobie jako kolejny cel, tłumacząc mu, że bagno powstało najprawdopodobniej wskutek pożaru lasu, upewniając go, że wkrótce się stąd wydostaną, że tak dalej być nie może. Mówiła mu też, że ma nadzieję, iż w dzisiejszym meczu Red Sox dokonają dwudziestu pełnych obiegnięć, więc będzie mógł sobie odpoczywać na ławce... i nagle przerwała.

– Słyszysz? – spytała.

Nie wiedziała, jak Tom, ale ona z całą pewnością słyszała regularne „łup, łup, łup” łopat wirnika helikoptera. Dobiało go z daleka, ale tego dźwięku nie sposób było pomylić z żadnym innym. Kiedy go usłyszała, odpoczywała właśnie na jednym z pagórków. Poderwała się na równe nogi, obróciła o trzysta

sześćdziesiąt stopni, dłonią osłoniła zmużone, wbite w horyzont oczy, ale nie dostrzegła niczego i dźwięk wkrótce umilkł.

– O cholera – powiedziała, niepocieszona. No, ale przynajmniej nadal jej szukano. Zabiła siedzącego na karku komara i ruszyła w dalszą drogę.

Dziesięć, może piętnaście minut później, stojąc w brudnych, rozpadających się skarpetach na na wpół zanurzoną pnium, patrzyła przed siebie, zdumiona i zaskoczona. Za granicą nierówną linią połamanych drzew, na której się teraz znajdowała, bagno otwierało się w szeroki, płytki staw. Na jego środku dostrzegła linię wzgórków... ale były one jakiegoś innego, brązowego, utworzone chyba z połamanych i pogrzyzionych gałęzi. Na szczytach kilku z nich siedziały wpatrzone w nią tłuste, również brązowe zwierzątka.

Powoli, bardzo powoli, zmarszczki na czole Trishy wygładziły się. Zapomniała o tym, że ciągle jeszcze znajduje się na bagnie, że jest mokra, zablocona i śmiertelnie zmęczona, zapomniała o tym, że zablądziła w lesie.

– Tom – powiedziała cichym, lekko zdyszonym głosem. – To przecież bobry siedzące na żeremiach, czy jak to się tam nazywa. To bobry, prawda, Tom?

Wspięła się na palce. Trwała nieruchomo, przytrzymując się gałęzi drzewa, by nie stracić równowagi, wpatrzona z zachwytem w staw. Bobry siedziały na swoich domkach i... czyżby ją obserwowały? Najwyraźniej tak, a zwłaszcza ten pośrodku, większy od innych. Miała wrażenie, że nie spuszcza czarnych oczek z jej twarzy. Miał wąsy i wspaniałe ciemnobrązowe futerko, rudawe na tłustym zadzie. Wyglądał jak z ilustracji do *O czym szumią wierzyby*.

W końcu Trisha zeszła z korzenia i poszła dalej, ciągnąc cień daleko za sobą. Wódz Bobrów (tak o nim myślała) natychmiast wstał, cofnął się, aż pupą dotknął wody, i klasnął w jej powierzchnię ogonem. W gorącym, nieruchomym powietrzu ten ostry dźwięk zabrzmiał donośnie niczym wystrzał. Niemal w tej samej chwili wszystkie bobry zeskoczyły ze swych domków, zgodnie i równo niczym jakiś balet na wodzie. Trisha wpatrywała się w nie ze złożonymi na piersiach dłońmi i szerokim uśmiechem na buzi. Była to jedna z najbardziej zdumiewających rzeczy, jakie widziała w życiu, no i doskonale zdawała sobie sprawę, że nigdy nie uda się jej nikomu wyjaśnić, dlaczego Wódz Bobrów przypominał jej starego, mądrego nauczyciela albo kogoś takiego.

– Tom, spójrz! – Roześmiała się, wyciągając rękę. – Spójrz na wodę. Tam są. Tak, właśnie tam!

Na powierzchni ciemnej, brudnej wody pojawiły się fale w kształcie litery V, oddalające się od bobrowych żeremi. Nagle znikły i Trisha postanowiła iść dalej. Skierowała się na większy od innych pagórek, porośnięty paprocią niczym potarganymi włosami. Podchodziła do niego po łuku, nie wprost. Spotkanie z bobrami było po prostu wspaniałe – jak by powiedziała Pepsi, „doskonale cudowne” – ale nie miała szczególnej ochoty na spotkanie z bobrami płynącymi pod wodą. Oglądała obrazki i doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że nawet nieduże bobry mają wielkie zęby. Kilka razy zapiszczała cienko, ocierając się o zatopione pasmo trawy czy chwast, najzupełniej pewna, że to Wódz Bobrów lub któryś z jego sług pragnie skłonić ją, by wyniosła się z okolicy.

Mając bobrowe apartamenty po prawej, zbliżyła się do wielkiego wzgórka i w miarę jak się do niego zbliżała, w jej sercu rosła nadzieja. Ciemnozielone paprocie nie były po prostu paprociami, jadała takie paprocie od trzech lat, z matką i babką; przed sobą, jeśli wzrok jej nie mylił, miała przed sobą właśnie jadalne liście małych paproci. W Sanford skończyły się już przed miesiącem, ale mama wytłumaczyła jej, że w głębi łądą dojrzewają później i na bagnach można je spotkać aż do lipca. Trudno było uwierzyć, by w tym okropnym i śmierdzącym zakątku świata dało się znaleźć coś dobrego, ale po

kilku krokach miała niemal całkowitą pewność – wzgórek porastały jadalne liście paproci, a jadalne liście paproci są wspaniałe. Nawet Pete, który na całej drodze życia nie spotkał warzywa, które by mu smakowało (wyjąwszy może mrożony groszek Birds Eye, przeprowadzony przez mikrofalówkę), jadł pędy jadalnej paproci.

Trisha nadal powtarzała sobie, że nie powinna spodziewać się cudu, nie minęło jednak pięć minut od chwili, gdy dostrzegła tę wysepkę, a już wiedziała, że się nie myli. Nie miała przed sobą tylko nieco większego wzgóрка, lecz prawdziwą Paprociową Wyspę. Wystarczyło jednak jeszcze kilka kroków, by uświadomiła sobie, że powinna ją nazwać raczej Wyspą Owadzią. Oczywiście dookoła wszędzie pełno było owadów, a jednak, pokrywając się od czasu do czasu świeżym błotem, właściwie o nich zapominała... do tej chwili. Powietrze nad Paprociową Wyspą aż od nich wirowało, i to nie tylko od małych muszek, lecz także zwykłych dużych much. Słyszała już ich uroczyste, niskie brzęczenie.

Kilka kroków przed wysepką zatrzymała się nagle, nie zwracając uwagi nawet na to, że stopy zapadają jej się w ukryty pod wodą muł. Rośliny po tej stronie wysepki były poszarpane i zdeptane, tu i tam po wodzie pływały wyrwane z korzeniami paprocie. Nieco dalej na tle zieleni widziała jaskrawe czerwone plamy.

– Nie podoba mi się to – szepnęła i zamiast iść wprost przed siebie, skręciła lekko w lewo. Paprocie paprociami, ale na tej wyspie było jakieś stworzenie martwe lub ciężko ranne. Może bobry walczyły między sobą o żony czy coś takiego? Nie była na razie wystarczająco głodna, by podczas zbierania paproci zaryzykować spotkanie z rannym bobrem. W ten sposób można łatwo stracić rękę albo oko.

W połowie drogi wokół wyspy paproci zatrzymała się nagle. Nie chciała patrzeć na to, co widziała, ale w pierwszej chwili nie była w stanie oderwać od tego czegoś wzroku.

– Tom, Tom – jęknęła wysokim, drżącym głosem. – Och, Tom, jakie to okropne.

Patrzyła na oderwany łeb jelonka. Stoczył się on po zboczu wysepki, pozostawiając po sobie ślad krwi i pogniecionych paproci, i leżał teraz pyszczkiem w dół na samej granicy wody. Nad oczami unosił się rój muszek, kark obsiadły większe muchy w takiej ilości, że ich brzęczenie przypominało warkot niewielkiego silnika.

– Widzę jego język – powiedziała do siebie Trisha głosem, który jej samej wydał się cichy, dobiegał słabym echem z bardzo daleka.

Odblask słońca na wodzie stał się nagle zbyt jaskrawy i dziewczynka poczuła, jak nogi się pod nią uginają.

– Nie – szepnęła – nie pozwól mi na to, nie mogę...

Choć mówiła ciszej, jej głos wydawał się bliższy, dźwięczniejszy. Jaskrawy przed chwilą blask słońca już nie raził w oczy. Dzięki Bogu, z pewnością nie pragnęła zemdleć, stojąc po pas w zatęchłej, nieruchomej wodzie. Nie naje się paproci, ale także nie zemdleje. Jakaś równowaga została niemal zachowana.

Ruszyła przed siebie, szybciej i nie zwracając już aż takiej uwagi na to, czy stawia nogę na stabilnym podłożu. Szła krokiem przesadnie chwiejnym, mocno pracując biodrami, jej ramiona krótkimi łukami poruszały się na zmianę w przód i w tył. Gdyby miała na sobie kostium, wyglądałaby chyba jak gość dnia w *Workout with Wendy*. „Słuchajcie wszyscy, dziś wykonamy zupełnie nowe ćwiczenie. Nazwałam je: «Ucieczka przed urwanym łbem jelonka». Poruszajcie biodrami, napnijcie mięśnie pośladków, pracujcie ramionami!”

Patrzyła wprost przed siebie, nie mogła jednak po prostu nie słyszeć ciężkiego, sytego brzęczenia much. Co zabiło jelonka? Z całą pewnością nie bóbr. Żaden bóbr nie urwał nigdy łba jelonkowi,

niezależnie od tego, jak ostre miał zęby.

„Przecież znasz odpowiedź na to pytanie – odezwał się w jej głowie chłodny głos. – To coś. To wyjątkowe coś. To coś, co obserwuje cię w tej chwili”.

– Co za cholera, przecież nic mnie nie obserwuje – wydyszała Trisha. Zaryzykowała, obejrzała się przez ramię i z radością przyjęła widok oddalającej się, coraz mniejszej wyspy paproci. Nie oddalała się ona jednak wystarczająco szybko. Po raz ostatni dziewczynka dostrzegła leżący tuż nad wodą urwany łeb, brązowy kształt z ruchomym, brzęczącym naszyjnikiem much. – Nic mnie nie obserwuje, głównie prawda, no nie, Tom?

Ale Tom jej nie odpowiedział. Tom nie mógł jej odpowiedzieć. Tom był teraz prawdopodobnie na Fenway Park, żartując z kolegami z drużyny, wkładając czyściutki, biały strój gospodarzy meczu. Tom Gordon, który szedł z nią przez bagno... przez to niekończące się bagno... był tylko czymś w rodzaju homeopatycznego lekarstwa na samotność. Bo ona była przecież samotna.

„Ależ skąd, kochanie, ależ skąd. Przecież wcale nie jesteś samotna”.

Trisha bała się strasznie, że ten chłodny głos, niebędący przecież jej przyjacielem, mówi jednak prawdę. Znowu doznawała uczucia, że coś ją obserwuje, i było to uczucie znacznie silniejsze niż poprzednio. Próbowwała przypisać je nerwom (każdemu szargałby nerwy widok urwanej głowy jelonka), i prawie jej się to udało, lecz natrafiła na swej drodze na drzewo z kilkoma długimi, pionowymi nacięciami na obumarłej korze. Zupełnie jakby coś bardzo dużego i w bardzo złym humorze zamachnęło się na nie, przechodząc obok!

– Mój Boże, przecież to ślady po pazurach – powiedziała Trisha.

„To coś już na ciebie czeka. Wyprzedziło cię i czeka, z pazurami i całą resztą”.

Przed sobą dziewczynka widziała jeszcze więcej tego samego: nieruchomej, zarośniętej wody i wznoszących się nad nią pagórków, a dalej kolejny, większy wzgórek (ale już raz została w ten sposób oszukana). Nie widziała natomiast żadnego potwora... lecz potwora nie miała oczywiście zobaczyć, prawda? Potwór robił zapewne to, co robią wszystkie potwory, nim rzucą się na ofiarę, jest na to nawet właściwe słowo, ale Trisha była zbyt zmęczona, przerażona i w ogóle czuła się zbyt okropnie, by je teraz pamiętać.

„Czają się – podpowiedział jej chłodny głos. – Właśnie tak, to właśnie robią, czają się. Tak, mała. Czają się, zwłaszcza te niezwykle, jak twój nowy przyjaciel”.

– Czają się – wychrypiała Trisha. – Otóż to, tak właśnie brzmi to słowo. Dziękuję ci.

Ruszyła przed siebie, ponieważ zaszła już zbyt daleko, by wracać. Nawet jeśli tam, z przodu, coś czekało, żeby ją zabić, zaszła za daleko, żeby się teraz cofać.

Tym razem to, co wyglądało na stały grunt, okazało się rzeczywiście stałym gruntem. Trisha przyjęła początkowo ten fakt z niedowierzaniem, ale kiedy, postępując krok po kroku, nadal nie widziała pasm wody między gęstymi krzakami i niewysokimi drzewami, zaczęła nabierać nadziei. Woda, przez którą brnęła, także była płytsza, sięgała jej zaledwie do kostek, nie do kolan czy nawet ud. No i jadalne paprocie rosły na co najmniej dwóch pagórkach w zasięgu jej wzroku. Nie było ich aż tyle, ile na Wyspie Paproci, zerwała jednak te, które mogła zerwać, i od razu zjadła. Były słodkie, pozostawiały jednak w ustach lekko kwaśny posmak. Jak świeże warzywa; Trisha musiała przyznać, że są doprawdy wspaniałe. Zebrałaby trochę na zapas, do plecaka... gdyby rosło ich więcej. Ale nie rosło. Nie martwiło jej to, cieszyła się tym, co ma, prawdziwie dziecięcą, prostą radością. Na razie miała tyle, ile jej było potrzeba, o resztę zatroszczy się później. Pożerając paprocie, przede wszystkim miękkie

pędy, a potem twardsze łodygi, wydostała się na stały grunt. Nie zwracała już uwagi na wszechobecne bagno, nie czuła poprzedniego obrzydzenia.

Sięgnęła po kilka ostatnich paproci rosnących na wzgórkach i zamarła. Znowu usłyszała niskie, monotonne bzyczenie much, tym razem znacznie głośniejsze. Chętnie ominęłaby owady, gdyby mogła, ale wysychające bagno pozostawiło po sobie gęstwą zatopionych gałęzi i splątanych krzaków. Przez ten labirynt biegła najwyraźniej tylko jedna w miarę dostępna droga, którą Trisha po prostu musiała iść, jeśli nie chciała spędzić dwóch dodatkowych godzin, przedzierając się przez podwodne zatory, najprawdopodobniej kosztem pociętych stóp.

Nawet w tym wąskim kanale zmuszona została do przejścia przez leżące drzewo. Runęło ono najwyraźniej całkiem niedawno – zresztą „runęło” nie było tu właściwym słowem. Trisha dostrzegła na pnium kolejne ślady pazurów i chociaż zasłaniały go krzaki, widziała świeże, białe ślady na martwej korze. Drzewo musiało zastąpić czemuś drogę, a to coś po prostu usunęło przeszkodę, łamiąc ją jak wykałaczkę.

Brzęczenie much stawało się coraz wyraźniejsze. Resztki jelonka – w każdym razie większość resztek jelonka – leżały wśród wyjątkowo gęstego skupiska jadalnych paproci, tuż koło miejsca, w którym Trisha, śmiertelnie zmordowana, wypełzła wreszcie z bagna. Leżały w dwóch częściach, połączonych cienkim pasemkiem obleganych przez muchy wnętrzości. Oderwana noga zwierzęcia stała oparta o pień najbliższego drzewa niczym laska staruszka.

Trisha przykryła usta grzbietem prawej dłoni i przyspieszyła kroku, dławiąc się, próbując usilnie nie patrzeć na to, co zobaczyła, i całym wysiłkiem woli powstrzymując się od mdłości. Być może stworzenie, które zabiło jelonka, pragnęło, by zwymiotowała. Czy to możliwe? Jakież jej racjonalne „ja” (a pozostało go jeszcze całkiem sporo) odpowiadało „nie”, miała jednak wrażenie, że to coś z rozmysłem, specjalnie zniszczyło miejsca, w których jadalne paprocie rosły najobficiej i najgęściej, niszczyło je, okrutnie zabijając w tym celu niewinnego jelonka. Jeśli rzeczywiście było do tego zdolne, czy niemożliwe jest, że chce także, by zwymiotowała tę odrobinę jedzenia, którą udało jej się spożyć po drodze?

„Ależ oczywiście. To przecież całkiem możliwe. Nie udawaj idiotki. Daj sobie spokój. I, na miłość boską, nie rzygaj”.

Dławiła się niczym w napadzie zdrowej, dziecięcej czkawkki, ale coraz rzadziej. Szła dalej na zachód i teraz, kiedy słońce wisało nisko nad horyzontem, utrzymanie właściwego kierunku nie sprawiało jej najmniejszych problemów. Bzyczenie much cichło powoli, a kiedy wreszcie ucichło zupełnie, Trisha przystanąła, zdjęła skarpetki i włożyła reeboki na boso nogi. Wyjęła skarpetki, po czym przyjrzała się im uważnie. Nie zapomniała jeszcze, jak wkładała je w domu, w Sanford; siedziała na łóżku, wciągała je i podśpiewywała: „Obejmij mnie... bo chcę się do ciebie przytulić”. Był to przebój Boyz To Da Maxx; obie z Pepsi uważały, że Boyz To Da Maxx są fajni jak nikt inny, a już zwłaszcza Adam. Pamiętała, jak promień słońca układał się na podłodze. Pamiętała wiszący na ścianie plakat z *Titanica*. Wspomnienie o tym, jak wkładała skarpetki, siedząc na brzegu łóżka w pokoju, pozostało w jej pamięci bardzo jasne, lecz także bardzo odległe. Prawdopodobnie starzy ludzie, na przykład dziadek, w ten sposób wspominają czasy, kiedy byli dziećmi. Skarpetki były w tej chwili niczym więcej niż zbiorem dziur utrzymywanych w kupie przez cienkie nitki, co omal nie wywołało kolejnego ataku płaczu (być może spowodowanego tym, że sama Trisha czuła się jak zbiór dziur utrzymanych w kupie przez cienkie nitki), ale i płacz udało jej się opanować. Zwinęła skarpetki i wsunęła je do plecaka. Zaciskała paski klapy, kiedy znowu usłyszała łoskot helikoptera, i tym razem hałas był niewątpliwie bliższy. Zerwała się

na równe nogi i obróciła tak gwałtownie, że podarte ubranie aż załopotало wokół niej. I rzeczywiście, tam, na wschodzie, na tle błękitnego nieba dostrzegła dwa niewielkie czarne punkciki, jako żywo przypominające ważki z Bagna Zabitego Jelonka. Wydało jej się bez sensu wymachiwać do nich ramionami i krzyżeć, znajdowały się mniej więcej miliard kilometrów od niej, ale i tak wymachiwała ramionami i krzyżała, jakoś nie potrafiła się powstrzymać. Przestała dopiero wówczas, gdy uświadomiła sobie, jak bardzo boli ją gardło.

– Popatrz tylko, Tom – powiedziała, śledząc ich lot z lewa na prawo, czyli... zaraz... z północy na południe. – Popatrz, nadal próbują mnie znaleźć. Gdyby tylko przyleciały nieco bliżej...

Ale helikoptery nie przyleciały nieco bliżej. Znikły za ścianą lasu, Trisha zaś pozostała w miejscu, w którym stała, czekając, aż łoskot rotora ucichnie w pieśni cykających świerszczy. Następnie westchnęła głęboko i przyklękła, by zawiązać sznurowadła. Najważniejsze, że nie czuła, aby coś ją obserwowało.

„Wstrętna kłamczucho – powiedział chłodny głos, najwyraźniej rozbawiony. – Och, ty wstrętna kłamczucho!”

Ale Trisha nie kłamała, a przynajmniej nie kłamała świadomie. Była tak zmęczona, tak niepewna siebie, że właściwie nie wiedziała, co czuje... tyle że nadal dokuczały jej głód i pragnienie. Teraz kiedy oddaliła się nieco od bagna i smrodu (by nie wspomnieć już o rozdartym ciele jelonka), bardzo wyraźnie czuła głód i pragnienie. Uznała nagle, że właściwie mogłaby wrócić, nabierać pędów jadalnej paproci, z całą pewnością potrafiłaby ominąć zwłoki jelonka, a przynajmniej te najgorsze, najbardziej krwawe ochłapy...

Pomyślała też o Pepsi, która czasem niecierpliwiła się, gdy jej przyjaciółka zraniła się w kolano, kiedy jeździły na rolnkach, albo spadała z gałęzi, kiedy wspinały się na drzewo. Widząc łzy w jej oczach, mówiła najczęściej: „Nie próbuj grać przede mną małej dziewczynki, McFarland”. Bóg wie, że nie powinna udawać małej dziewczynki nawet wobec ciała zabitego jelonka, nie w sytuacji, w jakiej się znalazła, ale...

...ale bała się, że to coś, co zabiło jelonka, może być gdzieś tu, w pobliżu, obserwując ją i czekając. Z nadzieją, że sama do niego przyjdzie.

Jeśli zaś chodzi o picie wody z bagna, również mogłaby być mądrzejsza. Zwykły brud to jedno, martwe owady i jajeczka komarów to coś zupełnie innego. Czy komary mogą wylęgnać się w żołądku człowieka? Prawdopodobnie nie, ale Trisha nie miała najmniejszej, ale to najmniejszej ochoty tego sprawdzać.

– Pewnie znajdę jeszcze mnóstwo jadalnych paproci – powiedziała do siebie. – Prawda, Tom? Żeby już nie wspomnieć o golteriach.

Tom nie odpowiedział, a Trisha, zamiast zastanawiać się i myśleć, znów ruszyła przed siebie. Szła trzy godziny; najpierw powoli, potem, kiedy znalazła się w wyższym, starszym lesie, nieco szybciej. Bolały ją nogi i krzyż, ale nie zwracała większej uwagi na te dolegliwości. Nie przejmowała się nawet tym, że jest głodna, w miarę bowiem jak światło dnia zrobiło się najpierw złote, a potem czerwone, coraz bardziej chciało jej się pić. Gardło miała suche i obolałe, język szorstki i jakby zapiaszczony. Przeklinała siebie za to, że nie napiła się wody z bagna, kiedy miała okazję, i raz nawet zatrzymała się, myśląc: „Pieprzę wszystko i wracam”.

„Lepiej nie próbuj, kochanie – powiedział zimny głos. – Nie znajdziesz drogi, nie ma mowy. A nawet gdybyś miała szczęście i wróciła prościutko po własnych śladach, nim dojdiesz na miejsce, zapadnie zmrok... a kto wie, co może się zaić w ciemności?”

– Och, zamknij się – odparła głośno. – Zamknij się, ty głupia stara suko. – Ale oczywiście głupia stara suka miała rację. Trisha odwróciła się w kierunku pomarańczowego już słońca i ruszyła przed siebie. W tej chwili bardzo bała się pragnienia, jeśli tak okropnie dokucza jej o ósmej, co będzie o północy? A w ogóle jak długo można żyć bez wody? Nie pamiętała, choć dowiedziała się kiedyś tego przy jakiejś okazji, na pewno. W każdym razie krócej niż bez jedzenia.

Jak to jest umrzeć z pragnienia?

– Nie umrę z pragnienia w tym cholernym, obrzydliwym lesie, prawda, Tom? – spytała, ale Tom jej nie odpowiedział. Prawdziwy Tom Gordon prawdopodobnie obserwował w tej chwili grę. Tim Wakefield, sprytny specjalista od kręconych piłek, przeciw młodemu leworęcznemu wybijającemu Jankesów, Andy’emu Pettitte. Gardło bolało ją coraz bardziej, aż trudno jej było przełykać. Przypomniała sobie padający deszcz (podobnie jak wspomnienie o wkładaniu skarpetek rano, także obraz deszczu wydał się jej jednocześnie wyraźny i daleki) i pomyślała, że byłoby miło, gdyby teraz także spadł. Wyszłaby na ulewę i tańczyła z wyciągniętymi do nieba rękami i otwartymi ustami, tańczyłaby jak Snoopy na szczycie budy.

Przedzierała się wśród świerków i sosen, wyższych i stojących w większej odległości od siebie, w miarę jak las robił się starszy. Przez gałęzie przedzierały się promienie zachodzącego słońca, coraz bardziej poziome, o coraz głębszym kolorze. Gdyby nie była tak spragniona, podziwiałaby drzewa oświetlone pomarańczowożółtym blaskiem za ich piękno... nawet cierpiąca, jednak to piękno zauważała. Tylko że światło wydawało się zbyt jaskrawe. Krew pulsowała jej w skroniach, głowa bolała, miała też uczucie, że gardło przebijają ostre igły.

W tej sytuacji szum płynącej wody wzięła w pierwszej chwili za halucynację. Bo to przecież nie mogła być prawdziwa woda, takie cuda się nie zdarzają. Niemniej jednak skrzyła w kierunku tego dźwięku i szła teraz na południowy zachód, a nie dokładnie na zachód, pochylając się, kiedy przechodziła pod niskimi gałęziami, i przełaząc przez zwałone pnie niczym w hipnotycznym transie, a kiedy szum płynącej wody stał się zbyt głośny, by pomylić go z czymkolwiek innym, zaczęła biec. Dwukrotnie pośliznęła się na miękkim podłożu z igieł, a raz przebiegła przez kępę pokrzyw, które parzyły jej ramiona i grzbiet dłoni, ale nawet tego nie poczuła. W dziesięć minut od chwili, gdy po raz pierwszy usłyszała niewyraźny szmer płynącej wody, dobiegła nad strome zbocze małego wąwozu, w którym spod cienkiej warstwy ziemi i dywanu igieł widać było skałę macierzystą w postaci szeregu szarych kamiennych wzgórków. Nieco niżej, rzeński i bystry, płynął nowy strumień, w porównaniu z którym tamten pierwszy, kończący się na bagnach, przypominał strużkę wody wyciekającą z ogrodowego węża, kiedy zamknie się kran.

Trisha szła wzdłuż krawędzi wąwozu, całkowicie nieświadoma tego, co robi, chociaż, gdyby się pośliznęła, spadłaby dobre siedem metrów w dół i być może by się zabiła. Pięć minut marszu w górę strumienia zawiodło ją do czegoś w rodzaju przewężenia między granicą lasu i korytem strumyka, naturalnego kanału, wysłanego liśćmi i igłami gromadzącymi się tu od dziesięcioleci.

Usiadła w tym miejscu ze spuszczone nogami i przesuwała się powoli w przód, aż wreszcie zajęła odpowiednią pozycję do zjazdu, niczym dziecko siedzące na zjeżdżalni. Po czym ruszyła w dół, ciągnąc za sobą ręce i używając nóg jako hamulców. Mniej więcej w połowie drogi przestała kontrolować zjazd, nie próbowała się jednak zatrzymać, wówczas bowiem niemal na pewno zaczęłaby wywijać fikołki, jak poprzednio, lecz położyła się po prostu, spłótła dłonie nad głową, zamknęła oczy i miała nadzieję, że nie stanie jej się nic złego.



Dojechała na dół szybko, choć nie bez przygód. Prawym biodrem zahaczyła o jeden z wystających kamieni, inny kamień uderzył w chroniące głowę, splecione palce tak mocno, że niemal straciła w nich czucie. Pomyślała później, że gdyby nie osłoniła głowy, prawdopodobnie rozciąłaby ją do krwi, a pewnie nawet jeszcze gorzej. „Na złamanie karku” – to kolejne powiedzenie dorosłych pochodziło ze skarbnicy mądrości babci McFarland.

Wyhamowała na dnie gwałtownie, z hukiem, i nagle poczuła w reebokach lodowato zimną wodę. Wyciągnęła nogi ze strumienia, obróciła się, padła na brzuch i piła, aż poczuła, jak w czoło wbija się jej ostry drut; takiego uczucia doznał chyba każdy, kto kiedykolwiek, w upały, zbyt szybko jadł lody. Podniosła ubłoconą, ociekającą wodą twarz i spojrzała w ciemniejące niebo, dysząc i uśmiechając się błogo. Czy kiedykolwiek woda smakowała jej aż tak? Nie. Nic nigdy nie smakowało jej nawet w przybliżeniu tak wspaniale, ta woda była klasą sama dla siebie. Trisha znów zanurzyła w niej twarz i znów piła. W końcu ukłękła, beknęła zdrowo i radośnie, a potem roześmiała się niepewnie. Brzuch miała nabrzmiąły, twardy jak bęben. Na razie przynajmniej wcale nie czuła głodu.

Zbocze wąwozu było zbyt strome i zbyt śliskie, by zdołała wydostać się po nim na górę; być może wspięłaby się do połowy lub nawet wyżej, lecz w końcu z pewnością zjechałaby z powrotem. Po drugiej stronie strumyka sprawa wyglądała jednak znacznie lepiej, tu także zbocze było strome i zalesione, z mniejszą jednak ilością krzaków, no i widziała kamienie, na których z łatwością dałoby się oprzeć stopę. Mogła przemaszerować jeszcze ładny kawałek przed zapadnięciem zmroku, dlaczego nie? Teraz, z brzuchem pełnym wody, znów czuła się silna, cudownie silna. I pewna siebie. Przeszła bagna, znalazła kolejny strumień. Dobry strumień.

„Doskonale, ale co z tym niezwykłym czymś?” – spytał chłodny głos. I Trisha znów się go przerażała. To, co mówił, było wystarczająco straszne, straszniejsze wydawało się jej jednak, że odkryła coś tak mrocznego i groźnego w sobie samej. „Zapomniałaś o tym niezwykłym czymś?”

– Jeśli w ogóle istnieje to niezwykle coś – powiedziała głośno – to już odeszło. Może wróciło do jelonka.

I pewnie była to prawda, w każdym razie mogło się tak wydawać. Znikło gdzieś wrażenie, że jest obserwowana, a być może nawet śledzona. Chłodny głos doskonale o tym wiedział i dlatego się nie odzywał. Trisha odkryła, że potrafi nawet wyobrazić sobie, jak wygląda jego właścicielka: twarda, słodka mała dziewczyneczka, przypadkowo i niespodziewanie trochę do niej podobna (podobieństwo takie jak między dalekimi kuzynkami). Odchodziła teraz sztywno wyprostowana, z zaciśniętymi pięściami, istny portret urażonej niewinności.

– Właśnie, idź sobie i więcej nie wracaj – powiedziała Trisha głośno. – Nie przestraszysz mnie. – Umilkła na chwilę, po czym zakończyła: – Pieprz się! – No proszę, znów to powiedziała, słowo, które Pepsi nazywała „okropnym świństwem”. I Trishy wcale nie było z tego powodu głupio. Potrafiła sobie nawet wyobrazić, jak częstuje nim Petera, kiedy brat zacznie sprzedawać jej całe to gówno o Malden w drodze ze szkoły. Malden to i Malden tamto, tata to i tata tamto, a co będzie, jeśli zamiast słuchać go uważnie, udając współczucie, albo dostać napadu dobrego humoru, żartować, śmiać się i zmieniać temat, ona rzuci po prostu: „Hej, Pete, pieprz się i spróbuj sam sobie z tym poradzić”? Powie mu: „Pieprz się, ty głupi kretynie”, ot tak, najzupełniej swobodnie. Widziała go nawet oczami wyobraźni, widziała, jak gapi się na nią ze szczęką opadłą na pierś, i zachichotała.

Wstała, znalazła na brzegu cztery kamienie, po których mogłaby przejść, i po kolei rzucała je do wody. Kiedy znalazła się po drugiej stronie, ruszyła przed siebie z biegiem strumienia. Wąwóz schodził w dół coraz bardziej stromo, strumień hałasował wesoło w skalistym korycie, więc gdy wreszcie dotarła

do miejsca, które wydawało się jej względnie płaskie, postanowiła zostać tu na noc. Zrobiło się już ciemno, las był pełen cieni; idąc dalej, ryzykowałyby upadek. Poza tym nie było tutaj wcale tak źle, przynajmniej widziała niebo.

– Te owady są jednak okropne – powiedziała głośno, odpędzając komary krążące wokół twarzy i zabijając kilka, które znalazły dostęp do skóry na karku. Podeszła do strumienia, chcąc nabrać świeżego błota, ale – cha, cha, los zakpił sobie z ciebie, dziewczynko – nie miała skąd go wziąć. Kamieni było wokół pełno, błota ani śladu. Na chwilę przysiadła w kucki, podczas gdy muszki wykonywały skomplikowane manewry w szyku przed jej oczami, przemyślała sobie wszystko i skinęła głową. Oczyszczyła z igieł kawałek gruntu, posługując się krawędziami dłoni, dotarła do warstwy ziemi i napełniła butelkę wodą ze strumienia. Następnie z ziemi i wody ugniotła błoto palcami, uważając to za doskonałą zabawę. Myślała o babci Anderson, o tym, jak w kuchni babci Anderson w niedzielne poranki zagniała ciasto na chleb, stojąc na stołku, bo kuchenny blat był dla niej za wysoki. Tą mazią wysmarowała twarz. Kiedy skończyła, było już prawie ciemno. Wstała, wcierając teraz błoto w ramiona, i rozejrzała się dookoła. Nie znalazła wprawdzie żadnego wygodnego, przewróconego drzewa, pod którym mogłaby spać, ale jakieś sześć metrów dalej, po tej stronie strumienia, dostrzegła kilka martwych sosnowych gałęzi. Podciągnęła je do wysokiej jodły stojącej blisko wody i oparła o jej pień niczym odwrócone do góry nogami wachlarze. Powstało dzięki temu miejsce, do którego mogła wpełznąć, coś w rodzaju szałasu. Jeśli tych gałęzi nie przewróci wiatr, ona prześpi noc w całkiem znośnych warunkach.

Kiedy niosła dwie ostatnie gałęzie, poczuła charakterystyczny ból brzucha. Przystanąła na chwilę, z jedną gałęzią w prawej ręce, a drugą w lewej, i czekała, co będzie dalej. Ból przeszedł po chwili, minęło także ssanie w żołądku, lecz nadal nie czuła się zbyt dobrze. Cóż, czuła się niepewnie. Babcia Anderson często mówiła, że czuje się niepewnie, ale miała wtedy na myśli to, że jest zdenerwowana, a Trisha właściwie wcale nie czuła się zdenerwowana. Prawdę mówiąc, sama nie wiedziała dokładnie, o co chodzi.

„Wszystko przez tę wodę – powiedział chłodny głos. – Coś było w wodzie, skarbie. Najprawdopodobniej umrzesz przed wschodem słońca”.

– Jeśli mam umrzeć, umrę – oznajmiła, dorzucając ostatnie dwie gałęzie do zaimprovizowanego szałasu. – Bardzo chciało mi się pić. Nie potrafiłam się powstrzymać.

Zdjęła plecak, postawiła go na ziemi i bardzo ostrożnie wyjęła walkmana. Włożyła na głowę słuchawki i włączyła go. WCAS dało się słyszeć bez większych problemów, ale sygnał nie był tak silny jak poprzedniej nocy. Trisha poczuła się dziwnie; niemal udało się jej wyjść poza zasięg stacji radiowej, zupełnie tak, jak czasami wyjeżdża się z jej zasięgu podczas dłuższej podróży samochodem. Dziwne to było, doprawdy dziwne. Tak dziwne, że znów poczuła ssanie w żołądku.

– Doskonale – powiedział Joe Castiglione. Jego głos był niewyraźny, płaski, jakby dobiegał z bardzo dużej odległości. – Mo na stanowisku, zaczynamy czwartą rundę.

Nagle Trisha poczuła ssanie nie tylko w żołądku, także w gardle. Dostała czkawki. Zdołała jeszcze odtoczyć się od szałasu i klękając, po czym zwymiotowała w cień między dwoma drzewami, lewą ręką trzymając się jednego z nich, prawą zaś przyciskając do żołądka.

Pozostała w tej pozycji, dysząc ciężko i spluwając, by pozbyć się smaku na wpół przetrawionych jadalnych paproci, ostrego i kwaśnego, Mo tymczasem chybił trzy wybiecia. Następny był Troy O’Leary.

– No cóż, Red Sox! znaleźli się w pozycji nie do pozazdroszczenia – wtrącił Troop. – Przegrywają siedem do jednego na początku czwartej, a Andy Pettitte właśnie narzucił prawdziwe чудо.

– O kurka wodna! – krzyknęła Trisha i znów zwymiotowała. Nie widziała, czym wymiotuje, na to było za ciemno; i bardzo dobrze, miała jednak wrażenie, że to nic konkretnego, raczej jakaś ciecz niż konkretna rzecz. Te dwa słowa prawie się rymowały, „ciecz” i „rzecz”, i na tę myśl żołądek znów jej się skręcił. Nadal na kolanach, wycofała się spomiędzy drzew, gdzie wymiotowała, i nagle poczuła kurcze, coś znacznie gorszego niż poprzednio.

– O kurka wodna! – wrzasnęła, rozpaczliwie szarpiąc guzik džinsów. Była pewna, była absolutnie pewna, że nie zdąży, ale okazało się, że jednak zdołała ściągnąć džinsy i majteczki wystarczająco nisko, by zeszyły z linii strzału. Wszystko, co mogło, wylało się z niej gorącym strumieniem. Znów krzyknęła i jakiś ptak odpowiedział na ten krzyk, jakby ją drwiąco przedrzeźniał. Kiedy wreszcie wszystko się skończyło, spróbowała wstać i nagle zakręciło jej się w głowie. Straciła równowagę, siadając dokładnie w tym, co zrobiła.

– Zabłądziłam i siedzę we własnej kupie – powiedziała cicho. Po policzkach ciekły jej łzy, lecz jednocześnie się śmiała, ta sytuacja bowiem wydawała się jej zabawna. „Zabłądziłam i rzeczywiście siedzę we własnej kupie” – pomyślała. Wstała, płacząc i śmiejąc się na przemian, z džinsami i majteczkami przy kostkach (spodnie były podarte na obu kolanach i sztywne od błota, ale udało się ich nie zabrudzić kupą, przynajmniej na razie). Zdjęła jedno i drugie, po czym podeszła do strumyka, naga od pasa w dół, trzymając walkmana w dłoni. Kiedy straciła równowagę, siadając we własnej kupie, Troy O’Leary zdołał przesunąć bazowego o bazę, gdy zaś wchodziła na bosaka do lodowatej wody, Jim Leyritz wykluczył dwóch. Kompletne wariactwo.

Pochyliła się, umyła pupę, plecy i uda.

– To przez tę wodę, Tom – powiedziała. – To przez tę cholerną wodę, ale co właściwie powinnam zrobić? Tylko popatrz, co się stało!

Gdy wreszcie wyszła ze strumienia, stopy miała zdrętwiałe, pupę także, przynajmniej jednak była czysta. Ubrała się i właśnie zapinała džinsy, kiedy znowu poczuła skurcz żołądka. W dwóch długich susach znalazła się pomiędzy drzewami, złapała się szybko tego samego, co przedtem i – oczywiście – zwymiotowała. Tym razem nie miała już w żołądku niczego choćby odrobinę stałego, czuła się zupełnie tak, jakby wyrzuciła z siebie dwa kubki gorącej wody. Pochyliła się i oparła czoło na chropawej, lepkiej sosnowej korze. Przez chwilę wyobrażała sobie, że na drzewie wisi znak, taki, jaki ludzie wieszają czasami na domkach letniskowych: „Rzygawka Trishy”. Roześmiała się, ale to nie był dobry śmiech. Tymczasem poprzez powietrze, wprost ze świata, który tak lekkomyślnie uznawała za swój, dobiegł do niej dobrze znany śpiewny sygnał reklamowy: „Zadzwoń: 1-800-54-GIANT”.

I znów żołądek wydawał się na zmianę to kurczyć, to rozkurczać.

– Nie – powiedziała, nie odrywając czoła od drzewa. Oczy miała zamknięte. – Nie, proszę, tylko nie to. Pomóż mi, Boże, niech to się więcej nie zdarzy.

„Oszczędzaj tchu – powiedział chłodny głos. – Nie ma sensu modlić się do Niesłyszalnego”.

Ten skurcz zelżał jednak bez nieprzyjemnych konsekwencji. Trisha wróciła do swego szałasu; szła powoli na osłabłych, uginających się nogach. Krzyż bolał ją od pochylania się, mięśnie brzucha miała przedziwnie napięte i bardzo gorącą skórę. Pomyślała, że pewnie ma gorączkę.

W Red Soxach do narzucania wyszedł Derek Lowe. Jorge Posada trzykrotnie wybił na prawe zapole. Trisha wpełzła do szałasu, bardzo uważając, by nie otrzeć się o którąś z gałęzi ramieniem lub biodrem, bo gdyby się otarła, cała konstrukcja zapewne natychmiast by się zawaliła. Kiedy znowu będzie „musiała się pośpieszyć” (w każdym razie tak mówiła mama, Pepsi nazywała to raczej

„wyciskaniem soczku Hersheya” albo „kibelkową polką”), prawdopodobnie i tak ją zawali, na razie jednak miała coś w rodzaju dachu nad głową.

Chuck Knobloch wybił coś, co Troop nazwał „baaardzo wysoką i baaardzo szybką piłką”. Darren Bragg złapał ją, ale Posada zdobył punkt. Osiem do jednego dla Jankesów. Można powiedzieć, że ma dzisiaj dobrą passę, ma dzisiaj bardzo dobrą passę.

– Co robisz, gdy w samochodzie pięknie ci szyba? – zanuciła pod nosem, leżąc na warstwie sosnowych igieł. – Dzwonisz: 1-800-54-GI...

Nagle dostała dreszczy. Nie czuła już gorączki, lecz przejmujący chłód. Złapała się pokrytymi błotem palcami za pokryte błotem ramiona i skuliła z nadzieją, że nie zwali sobie na głowę tak troskliwie poukładanych gałęzi.

– Woda – jęknęła. – Ta cholerna obrzydliwa woda, nie tknę więcej tej cholernej obrzydliwej wody.

Red Sox, którzy przegrywali w tej chwili osiem do pięciu, wypełnili bazy i w końcu dziewiątej mieli tylko jednego wykluczonego. Nomar Garciaparra wybił daleko na środek pola. Gdyby wyautował, Sox wygrałby dziewięć do ośmiu, ale Bernie Williams wyskoczył tuż przed ławkami zawodników i zdołał złapać piłkę. Soxom udało się jeszcze wybić na jedną bazę, ale tylko na to było ich stać. Na boisko wyszedł O’Leary, wybijając przeciw Marianowi Riverze, i tak skończyło się to nieszczęśliwe spotkanie. Trisha natychmiast wyłączyła walkmana, oszczędzając w ten sposób baterie. Potem, leżąc z głową na złożonych ramionach, rozplakała się cicho, rozpaczliwie i bezsilnie. Bolał ją brzuch, miała rozwolnienie, Sox przegrali, a Tom Gordon nie wyszedł nawet na to głupie boisko! Co za gówniane życie.

W momencie kiedy Trisha poddała się i po raz drugi piła ze strumienia, w koszarach policji stanowej stanu Maine w Castle Rock zadzwonił telefon. Na magnetofon, który rejestrował wszystkie przyjmowane połączenia, nagrana została następująca rozmowa:

Początek rozmowy: godzina 21.46.

Dzwoniący: Dziewczynka, której szukacie, została porwana ze szlaku przez Francis’a Raymonda Mazzerole, na początku „M” jak mikroskop. Ma trzydzieści sześć lat, krótkie włosy ufarbowane na blond, nosi okulary. Zapisaliście?

Telefonista: Proszę pana, czy mogę prosić...

Dzwoniący: Niech pan się zamknie i słucha. Mazzerole prowadzi niebieską półciężarówkę Forda, ten model nazywa się chyba Econoline. Zdążył już dojechać co najmniej do Connecticut. To kawał chorego sukinsyna. Sprawdźcie w swoich aktach, to sami się przekonacie. Jeśli dziewczynka nie będzie mu sprawiać kłopotów, popieprzy ją parę dni, więc być może macie trochę czasu, ale potem ją zabije. Robił to przedtem.

Telefonista: Proszę pana, czy ma pan może numer rejestracyjny...

Dzwoniący: Dostaliście nazwisko i opis samochodu. Macie wszystko, czego potrzebujecie. Robił to przedtem.

Telefonista: Proszę pana...

Dzwoniący: Mam nadzieję, że go zabijecie.

Koniec rozmowy: 21.48.

Udało się ustalić, że rozmowę prowadzono z budki telefonicznej w Old Orchard Beach. Nic to nie dało.

Około drugiej nad ranem, w trzy godziny po tym, jak policja stanów Massachusetts, Connecticut, Nowy Jork i New Jersey rozpoczęła poszukiwanie niebieskiej półciężarówki marki Ford, prowadzonej przez mężczyznę o krótkich jasnych włosach, w okularach, Trisha obudziła się, czując mdłości i skurcze żołądka. Zawaliła się, wypełzając z niego, ściągnęła dżinsy i majteczki i wywaliła coś, co wydawało się jej jakąś niesamowitą ilością słabego kwasu. Pupa bolała ją, paliła i swędziała, zupełnie jakby usiadła nią w pokrzywach. Kiedy skończyła, podpełzła do „Rzygawki Trishy” i po raz kolejny objęła to samo drzewo. Skórę miała gorącą, włosy zlepione potem, ale zarazem drżała na całym ciele i szczekała zębami.

„Boże, proszę, nie mogę już wymiotować. Boże, proszę. Jeśli zacznę znów wymiotować, umrę”.

Wówczas właśnie po raz pierwszy rzeczywiście zobaczyła Toma Gordona. Stał najwyżej dwadzieścia metrów od niej, a jego biały strój wydawał się płonąć w świetle świecącego poprzez drzewa księżycy. Na dłoni miał rękawicę. Prawą rękę schował za plecy; wiedziała, że trzyma w niej piłkę, że obraca ją długimi palcami, wyczuwając szwy, i że przestanie to robić dopiero wówczas, gdy palce znajdą się dokładnie tam, gdzie powinny się znaleźć, a chwyt będzie doskonały.

– Tom – szepnęła – nie dali ci dziś szansy, prawda?

Tom w ogóle jej nie zauważył. Czekał na znak. Czekał w bezruchu, bezruch służył mu z ramion i okrywał go jak płaszcz. Stał w świetle księżycy tak rzeczywisty, jak skaleczenia na jej ramionach, tak prawdziwy, jak szarpące żołądkiem i przełykiem mdłości, całe to okropieństwo. Był nieruchomy i czekał na znak. Nie doskonale nieruchomy, schowana za plecami dłoń cały czas obracała piłkę, obracała piłkę, szukając najlepszego chwytu, ale tego ruchu nie było widać, tak, mała, Tom, wcielenie bezruchu czekające na znak. Zastanowiła się, czy ona też by tak mogła, czy mogłaby znieruchomieć i czekać, aż dreszcze i skurcze żołądka spłyną po niej jak woda po gęsi, stać nieruchomo, ukryć to, co porusza się w jej żołądku.

Trzymając się kurczowo drzewa, spróbowała. Nie stało się to od razu (tata lubił powtarzać, że nic, co dobre, nie zdarza się od razu), ale jednak się stało: poczuła wewnętrzny spokój, błogosławiony bezruch. Bardzo długo stała tak, nieruchoma. Czy wybijający zechce zejść ze stanowiska, ponieważ uzna, że przerwa między narzuceniami jest za długa? Jeśli tak, to świetnie. Jej to nie dotyczyło, niech robi, co chce. Ona stała, nieruchoma; była wcielonym bezruchem i czekała tylko na właściwy znak i właściwy chwyt piłki. Bezruch służył jej z ramion, uspokajał, pomagał się skoncentrować.

Dreszcze złągodniały, a potem uspokoiły się całkowicie. W pewnej chwili uświadomiła sobie, że żołądek też przestał jej dokuczać. Nadal bolał trochę, ale już nie tak jak poprzednio. Księżyc zaszedł. Tom Gordon znikł. Oczywiście tak naprawdę nigdy go tam nie było, wiedziała o tym doskonale, mimo wszystko...

– Tym razem wyglądał doprawdy zupełnie jak żywy – wychrypiała. – Tak żywy jak rzeczywistość.

Oderwała się od drzewa i powoli wróciła na miejsce, gdzie stał niegdyś jej szałas. Choć pragnęła tylko skulić się na sosnowych igłach i zasnąć, odbudowała schronienie gałąź po gałęzi, po czym do niego wpełzła. W pięć minut później spała już jak zabita, a kiedy spała, coś podeszło, by ją obserwować, i obserwowało bardzo długo. Poruszyło się, dopiero gdy na niebie, na wschodzie, pojawiła się linia światła... ale nie odeszło daleko.

## Szósta rozgrywka

Kiedy Trisha się obudziła, ptaki śpiewały głośno i pewnie, słońce świeciło jasno, mocno; najprawdopodobniej był już późny ranek. Być może spałaby jeszcze dłużej, ale poczuła głód. Czowała go, niczym wielką ssącą próżnię od gardła aż do kolan, pośrodku zaś ból, po prostu ból. Zupełnie jakby ktoś szczypał ją w brzuch. Trishę przeraziło to uczucie. Wcześniej bywała już przecież głodna, ale nigdy tak głodna, by bolało.

Wypęłza z szałasu, przewracając oczywiście gałęzie, wstała i pochylona, trzymając dłonie na krzyżu, chwiejnym krokiem podeszła do strumienia. Prawdopodobnie wyglądała jak prababka Pepsi Robichaud, głucha i chora na artretyzm do tego stopnia, że nie mogła się poruszać bez specjalnego wózka. Pepsi nazywała ją Jęczącą Babcią. Trisha uklękła przy brzegu, podparła się dłońmi i piła jak koń z koryta. Jeśli będzie później chorować, a prawdopodobnie będzie, cóż, trudno. Musiała czymś napęścić pusty żołądek.

Wstała, rozejrzała się tępo dookoła, podciągnęła dżinsy (dawno, dawno temu, kiedy wkładała je w sypialni domu w Sanford, pasowały jak ulał, ale teraz były na nią za luźne) i ruszyła w dół, z biegiem strumienia. Nie miała już nadziei, że wyprowadzi ją z lasu, chciała po prostu oddalić się od „Rzygawki Trishy”; na to z pewnością było ją stać.

Przeszła może sto kroków, kiedy twarda ślicznotka przemówiła. „Zapomniałaś o czymś, prawda, kochanie?” Twarda ślicznotka wydawała się nieco zniechęcona, ale jej głos był po dawnemu ironiczny, chłodny. No i oczywiście miała także rację. Trisha stanęła na chwilę z opuszczoną głową (splątane włosy zasłoniły jej buzię), zawróciła i ruszyła powoli pod górę. Po drodze do miejsca, w którym spędziła noc, musiała przystawać dwukrotnie, by dać odpoczynek walącemu jak oszalałe sercu. Przeraziła ją własna słabość.

Napełniła butelkę wodą, schowała ją oraz smętne pozostałości płaszcz przeciwdeszczowego do plecaka, podniosła go, westchnęła z rozpaczą, taki był ciężki („Przecież nic w nim nie ma, do diabła” – pomyślała) i znów ruszyła przed siebie. Szła powoli, pociągając nogami, i choć droga prowadziła w dół, Trisha i tak musiała przystawać mniej więcej co kwadrans. Bolała ją głowa. Wszystkie kolory wydawały jej się zbyt jaskrawe, a kiedy na gałęzi wrzasnęła sójka, dźwięk ten przeszył uszy niczym ostra igła. Udawała, że jest z nią Tom Gordon, że dotrzymuje jej towarzystwa, a po jakimś czasie nie musiała już wcale udawać. Tom szedł przy niej i choć wiedziała, że jest halucynacją, w słońcu wyglądał na tak samo rzeczywistego jak przy księżycu.

Około południa Trisha potknęła się o kamień i przewróciła wprost na rozroste, kolczaste, splątane krzaki jeżyn. Leżała, z trudem łapiąc oddech, a serce waliło jej tak mocno, że przed oczami widziała tańczące w jego rytm białe iskierki. Spróbowała wstać, ale nie starczyło jej na to siły. Poczekala chwilę, przymknęła oczy, znieruchomiała, szukając wewnętrznego spokoju, i spróbowała po raz drugi. Tym razem odczepiła się jakoś od krzaka, ale kiedy usiłowała się podnieść, nogi odmówiły jej posłuszeństwa. I doprawdy trudno było im się dziwić. W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin zjadła jajko na twardo, kanapkę z tuńczykiem, dwa batoniki i kilka pędów jadalnej paproci. A po drodze miała jeszcze rozwolnienie i wymiotowała.

– Umrę w tym lesie, Tom, prawda? – spytała spokojnym, normalnym, wyraźnym głosem.

Odpowiedziała jej cisza, więc podniosła głowę i rozejrzała się dookoła. Numer 36 znikł. Podeszła do strumienia i znów napiła się wody. Nie miała żadnych kłopotów żołądkowych. Nie wiedziała, czy dlatego, że jej organizm przyzwyczał się do wody, czy też może dlatego, że nie miał już siły pozbywać się nieczystości, trucizn.

Usiadła, wytarła usta i spojrzała na północny zachód, wzdłuż biegu strumienia. Grunt wyrównywał się tu, stary las znikał stopniowo, jodły ustępowały miejsca młodszemu drzewom, rosnącym blisko siebie, splątany, oraz gęstym krzakom, utrudniającym marsz. Trisha nie miała pojęcia, jak długo uda jej się posuwać w wybranym kierunku, a gdyby próbowała iść korytem strumienia, prąd najprawdopodobniej szybko by ją przewrócił. Nie słyszała helikopterów, nie słyszała szczekania psów. Pomyślała, że pewnie bez problemu potrafiłaby je sobie wyobrazić, w końcu Toma Gordona widziała na każde życzenie, uznała jednak, że lepiej nie próbować. Dźwięk, który ją zaskoczy, może przecież okazać się dźwiękiem rzeczywistym.

– Nie sądziła zresztą, by jakkolwiek dźwięk miał ją zaskoczyć.

– Umrę w tym lesie – powiedziała głośno i tym razem nie było to pytanie.

Skrzywiła usta w podkówkę, ale nie rozplakała się. Wyciągnęła ręce i przez chwilę obserwowała, jak drżą, po czym wstała i ruszyła przed siebie. Szła, chwytając pnie i gałęzie drzew, żeby się nie przewrócić, a tymczasem dwaj wywiadowcy z biura prokuratora generalnego przesłuchiwali jej matkę i brata. Po południu psychiatra współpracujący z policją stanową spróbował ich zahipnotyzować i z Pete'em mu się udało. Pytania dotyczyły przede wszystkim szczegółów sobotniego ranka, kiedy dojeżdżali na parking i przygotowywali się do wycieczki, czy widzieli niebieską półciężarówkę? Czy widzieli blondyna w okularach?

– Jezu Chryste – powiedziała Quilla i rozplakała się wreszcie; do tej chwili udawało jej się jakoś unikać łez. – Jezu Chryste, myślicie, że ktoś porwał moją małą, prawda? Porwał ją, kiedy myśmy się kłócili.

Słyszając te słowa, Pete także się rozplakał.

Trishy nadal poszukiwano pomiędzy TR-90, TR-100 i TR-110, rejon poszukiwań znacznie jednak ograniczono, a członków ekip ratowniczych pouczono, by skoncentrowali się na terenie, gdzie dziewczynkę widziano po raz ostatni. Szukano przede wszystkim nie jej, ale śladów jej obecności: plecaka, płaszcza przeciwdeszczowego, fragmentów ubrania. Lecz nie majteczek – wywiadowcy z biura prokuratora generalnego oraz funkcjonariusze policji stanowej byli właściwie pewni, że nikt ich nie znajdzie. Faceci pokroju Mazzerole'a zatrzymywali na ogół bieliznę ofiar na pamiątkę, choć ciała wrzucali do rowów i kanałów ściekowych.

Trisha McFarland, która w życiu nie widziała Francisca Raymonda Mazzerole, znajdowała się w tej chwili pięćdziesiąt kilometrów od północno-zachodniej granicy nowego, ograniczonego terenu poszukiwań. Przewodnicy stanowi z Maine oraz ludzie ze służby leśnej nie uwierzyliby w to nawet bez wprowadzającej w błąd informacji. Zresztą nie była już nawet w Maine; w poniedziałek, około trzeciej po południu, przekroczyła granicę New Hampshire.

Mniej więcej godzinę później obok kępy stojących przy brzegu strumyka brzoź dostrzegła krzaczki. Ruszyła w ich kierunku, nie wierząc własnym oczom. Nie ośmieliła się im uwierzyć, nawet gdy dostrzegła jaskrawoczerwone jagody; przecież całkiem niedawno tłumaczyła sobie, że może widzieć i słyszeć, co zechce, jeśli tylko odrobinę się postara.

To prawda... ale przecież tłumaczyła sobie także, że jeśli zaskoczy ją coś, co zobaczy, to to coś może być prawdziwe. Zrobiła jeszcze kilka kroków i już była pewna, że jagody istnieją naprawdę. Zwisły z gęstych krzaczków jak małe jabłuszka.

– Golterie na horyzoncie! – krzyknęła chrapliwym, łamiącym się głosem i pozbyła się wszystkich wątpliwości, gdy uczujące na opadłych owocach wrony poderwały się do lotu, kracząc na nią z wrzutomem.

Trisha była pewna, że idzie w kierunku krzaczków, i ze zdziwieniem zorientowała się, że nie idzie, lecz biegnie. Zatrzymała się przy nich gwałtownie. Oddychała ciężko, na jej policzkach pojawiły się cienkie czerwone linie. Wyciągnęła brudne ręce i natychmiast je cofnęła, w najgłębszej głębi serca nadal przekonana, że palce mogą po prostu przejść przez krzaczki, że znikną one wówczas, rozmyją się niby jakiś filmowy efekt specjalny (Peter uwielbiał „rozmycia”), i dopiero wówczas te splątane brązowe gałęzie jeżyn o kolcach gotowych wypić jej krew, póki płynie i jest jeszcze ciepła, okażą swą prawdziwą naturę.

– Nie! – powiedziała i tym razem nie cofnęła wyciągniętej ręki. Przez chwilę jeszcze miała wątpliwości, a potem... och, a potem!

Trzymała w palcach niewielką, miękką jagodę. Rozgniotła ją, zobaczyła czerwone krople soku i przypomniała sobie, jak obserwowała kiedyś gołącego się tatę, i tata zaciął się w brodę. Podniosła umazany sokiem palec, do którego przyczepił się także kawałek skórki, do ust. Poczowała ostry, słodki smak, przypominający nie gumę Teaberry, lecz sok z dzikich jabłek nalany do szklanki wprost z butelki trzymanej w łódówce. Czując ten smak, rozpląkała się, nie była jednak świadoma ciekających jej po policzkach łez. Obiema dłońmi zbierała z krzaków jagody, rozgniatła je w garści, wpychała do ust, przełykała, niemal nie gryząc, i natychmiast sięgała po więcej.

Jej ciało przyjmowało je z błogosławieństwem, pławiło się w ich sycącej świeżości. Czują to, czują, jak się „gotuje”, jakby powiedziała Pepsi. Postępowała całkowicie instynktownie, jej rozumne „ja” wydawało się przyglądać tej uczcie z daleka. Zrywała jagody z krzaków całymi pękami. Czerwone miała palce, potem dłonie, a po chwili także i usta. W miarę jak wchodziła głębiej i głębiej w krzaki, coraz bardziej przypominała dziewczynkę, która miała bardzo nieprzyjemny wypadek i powinna jak najszybciej znaleźć się w izbie przyjęć najbliższego szpitala.

Wraz z jagodami zjadła kilka liści i okazało się, że mama i tu miała rację – były dobre nie tylko dla świstaków. Dodawały energii. Połączenie dwóch smaków przypomniało Trishy babcię McFarland i jej galaretkę podawaną do pieczonego kurczaka.

Mogłaby tak przebijając się przez krzaczki na południe, pożerając wszystko, co napotkała na drodze, jeszcze przez długi czas, gdyby nie to, że jagodowa wysepka nagle się skończyła. Trisha wylazła spomiędzy kilku ostatnich krzaczków i stwierdziła, że patrzy wprost w łagodny, lekko zdziwiony pysk i ciemnobrązowe oczy sporej łani. Wypuściła trzymane w garści owoce i krzyknęła ochryple; wargi miała tak czerwone, że wyglądały jak uszmińkowane po ciemku.

Łani nie obszedł specjalnie hałas, który Trisha robiła wśród krzaków, a krzyk najwyraźniej też jej nie przeraził, nawet nie zaniepokoił – później dziewczynka pomyślała, że to szczególne zwierzę będzie miało szczęście, jeśli przeżyje jesienny sezon łowiecki. Łania tylko poruszyła uszami i wykonała dwa taneczne kroki – wydawały się raczej skokami – z powrotem na polankę, poprzecinaną promieniami zielonożółtego światła. Nieco dalej, z chwalebą ostrożnością, scenie tej przyglądały się dwa jelenki na niezdatnych, cienkich nóżkach. Łania odwróciła łeb, zerknęła na Trishę i w nieprawdopodobnie lekkich podskokach podbiegła do dzieci. Obserwując ją z takim samym zachwytem, z jakim obserwowała



bobry, dziewczynka pomyślała, że łania porusza się tak, jakby kopytka pokryte miała cienką warstewką lagumy, substancji, która w *Latającym profesorze* Walta Disneya likwidowała grawitację.

Trzy jelenie stały na polance wśród bukowego zagajnika, pozując niemal do rodzinnego portretu. Potem łania trąciła jedno ze swych dzieci (a może nawet ugryzła je w bok) i wszyscy razem ruszyli swoją drogą. Trisha dostrzegła tylko mignięcie białych ogonków i już miała polankę dla siebie.

– Do widzenia! – krzyknęła za nimi. – Dzięki za odwiedzinę i...

Przerwała, dopiero teraz bowiem zorientowała się, co jelenie robiły w tym miejscu. Na ziemi leżało pełno orzechów bukowych, buczyny. Wiedziała o nich na odmianę nie od matki, lecz z lekcji przyrody w szkole. Piętnaście minut temu umierała z głodu, a teraz nagle znalazła się przy czymś w rodzaju stołu zastawionego w Święto Dziękczynienia na wspaniałą ucztę. Cóż z tego, że była to jej wegetariańska wersja?

Przykłęka, podniosła buczynę i spróbowała rozłupać skorupkę tym, co zostało jej z paznokci. Nie spodziewała się zbyt wiele, ale skorupka dała się rozłupać równie łatwo jak u orzeszków ziemnych. Orzeszki miały wielkość mniej więcej kostki palców, jądro zaś było rozmiarów ziarenka słonecznika. Spróbowała go, trochę niepewnie, ale okazało się równie wspaniałe jak golteria. I jej ciało przyjęło je tak samo radośnie.

Najgorszy głód zaspokoili jagodami; nie miała pojęcia, ile ich właściwie zjadła, żeby już nie wspomnieć o liściach, zęby miała teraz pewnie tak zielone jak Arthur Rhodes, ten przerażający dzieciak, mieszkający przy tej samej ulicy co Pepsi, a poza tym żołądek chyba się jej skurczył, teraz więc powinna...

– Zbierz zapasy – powiedziała cicho. – Tak, kochana, zbierz tyle zapasów, ile się da.

Zdjęła plecak, świadoma tego, jak wiele energii już odzyskała – było to zdumiewające, wręcz cudowne – i otworzyła go. Pełzała po polance, zgarniając buczynę brudnymi dłońmi. Brudne włosy opadały jej na oczy, brudna bluza powiewała w podmuchach wiatru, od czasu do czasu Trisha musiała podciągać dzinsy, które pasowały na nią doskonale, kiedy wkładała je mniej więcej tysiąc lat temu, ale teraz wciąż się zsuwały. Cały czas nuciła pod nosem reklamówkę z radia: „1-800-54-GIANT”. Kiedy wypełniła już orzechami dno plecaka, jeszcze raz przeszła przez polankę jagód, zbierając część do plecaka, część do ust. Kiedy wróciła na miejsce, od którego wszystko się zaczęło, na miejsce, w którym stała wcześniej, zbierając odwagę, by dotknąć pierwszego krzaczka, zdała sobie nagle sprawę z tego, że czuje się niemal sobą. Nie całkiem, ale i tak było niezłe. Czowała się cała; o tym słowie pomyślała przede wszystkim i spodobało się jej ono tak bardzo, że dwukrotnie powtórzyła je głośno.

Wróciła na brzeg strumienia, ciągnąc za sobą plecak. Przesiadła pod drzewem. W wodzie dostrzegła małą plamiastą rybkę, płynącą w dół strumienia, zapewne małego pstrąga. Być może była to szczęśliwa wróżba?

Siedziała pod drzewem przez dłuższą chwilę, wystawiając twarz do słońca. Następnie wciągnęła plecak na kolana, wsadziła rękę do środka i wymieszała jagody z buczyną. Pomyślała przy tym o Scrooge’u McDucku, igrającym pieniędzmi w skarbcu, i roześmiała się radośnie. Obraz ten był całkowicie absurdalny, a jednak w pewien sposób doskonale pasował do rzeczywistości.

Wyłowila kilkanaście buczyn, zmieszała je z mniej więcej tą samą ilością jagód, tym razem wprawnie i z akuratnością godną prawdziwej damy odrywając jagody od łodyżek, po czym wrzuciła tę mieszankę do ust w trzech garściach; było to coś w rodzaju deseru, który smakował bosko, zupełnie jak wysokoenergetyczna mieszanka płatków śniadaniowych z orzechami, czekoladą i rodzynkami, którą mama tak chętnie jadła na śniadanie. Po trzeciej garści poczuła się nie tyle najedzona, ile wręcz

obżarta. Nie wiedziała, jak długo potrwa to uczucie, buczyna i jagody mogły przecież przypominać chińskie dania, które wprawdzie doskonale wypełniają żołądek, ale po godzinie człowiek czuje się tak głodny, jakby nie zjadł nic, na razie jednak brzuch miała niczym skarpetkę wypchaną świątecznymi prezentami. Jak cudownie było czuć się najedzoną! Dziewięć lat przeżyła, nie wiedząc, jakie to cudowne uczucie, a teraz miała nadzieję, że nigdy go nie zapomni. To cudownie być najedzoną.

Rozsiała się wygodnie, oparła o drzewo i spojrzała na plecak z uczuciem szczęścia i głębokiej wdzięczności. Gdyby nie była tak syta („zbyt ciężka, by skakać” – przyszło jej do głowy kolejne powiedzenie ze świata dorosłych), wsunęłaby głowę do plecaka niczym klacz wsadzająca łeb do worka z owsem, tylko po to, by nasycić się cudownym zapachem golterii i buczyny.

– Ocaliłyście mi życie, kochane – powiedziała głośno. – Ocaliłyście moje cholerne życie.

Po drugiej stronie bystrego strumienia znajdowała się mała polanka, zasłana sosnowymi igłami. Oświetlały ją promienie słoneczne, w których tańczyły pyłki kwiatów i leśny kurz. W blasku słońca płały motyle, to nurkując ku ziemi, to wznosząc się w powietrze. Trisha skrzyżowała dłonie na żołądku, który nie sprawiał jej teraz nawet najmniejszych problemów, i przyglądała się im leniwie. W tej jednej chwili nie tęskniła za matką, ojcem, bratem, najlepszą przyjaciółką. W tej jednej chwili nie pragnęła nawet wrócić do domu, choć nadal czuła się obolała, a pupa swędziała ją i dokuczwała przy każdym ruchu. W tym momencie była spokojna, więcej niż spokojna. W tym momencie była tak zadowolona, jak jeszcze nigdy w życiu. „Jeśli uda mi się jakoś stąd wydostać, nigdy nie zdołam wyjaśnić im tego, co czuję” – pomyślała. Przyglądała się tańczącym po przeciwnej stronie strumienia motylom i oczy powoli jej się zamykały. Były tam dwa białe i jeden aksamitny, ciemnobrązowy, a może czarny?

„Wyjaśnić im czego?” – spytała twarda ślicznotka, ale jej głos tym razem wcale nie był chłodny, zaledwie ciekawy.

„Tego, co prawdziwe. Tego, co takie proste. Najeść się... nawet nie to, mieć coś do jedzenia, a potem nie czuć głodu”.

– Niesłyszalne – powiedziała głośno. Przyglądała się motylom. Dwa białe, jeden ciemny, polatujące to w górę, to w dół w blasku popołudniowego słońca. Myślała o małym czarnym Sambo, siedzącym na drzewie, o tygrysach biegających pod drzewem, drących jego nowe piękne ubranie, biegających, biegających w kółko, aż pozostało po nich świeże masło i to, co tata nazywał maślanką.

Splecione na brzuchu dłonie Trishy rozłączyły się, zsunęły i płasko opadły na ziemię. Uniesienie ich i ponowne złączenie wydawało się dziewczynce pracą zbyt ciężką, by mogła jej podolać, więc niech leżą tam, gdzie spoczęły.

„Niesłyszalne co, skarbie? O co ci właściwie chodzi?”

– No cóż... – powiedziała powoli sennym, pełnym namysłu głosem – ...to nie tak, żeby nie było niczego, prawda?

Twarda ślicznotka nie odpowiedziała. Trishę bardzo to ucieszyło. Była śpiąca, najedzona, czuła się doskonale. Jednak nie zasnęła i nawet później, kiedy wiedziała, że przecież musiała zasnąć, nie wydawało jej się, by spała. Pamiętała, że myślała o ogrodzie za nowym, mniejszym domem taty, gdzie trawa wymaga przycięcia... krasnale wyglądają tak chytrze... jakby wiedziały coś, czego ty nie wiesz... i o tym, jak tata nagle wydał jej się stary, smutny... jego oddech i skórę stale teraz czuć było piwem. Uświadomiła sobie, że życie może być smutne i że przeważnie jest bardzo smutne. Wszyscy udają, że nie jest, kłamią dzieciom (żaden film i żaden program telewizyjny nie przygotował jej na przykład do utraty codziennego świata i do siadania we własnej kupie), pewnie po to, by ich nie straszyć, nie

onieśmiałać, ale tak naprawdę życie rzeczywiście potrafi być smutne. Życie to zębaty stwór, gotów gryźć cię, kiedy tylko zechce. Tę prawdę zdążyła już poznać bardzo dobrze. Miała zaledwie dziewięć lat, ale poznała tę prawdę i – co więcej – była chyba zdolna ją zaakceptować. W końcu niedługo zacznie dziesiąty rok i jest wysoka jak na swój wiek.

„Nie wiem, dlaczego mam płacić za wasze błędy”. Te słowa usłyszała z ust Petera ostatnie i zaraz potem zablądziła. Pomyślała, że teraz zna odpowiedź na to pytanie. Nieprzyjemną odpowiedź, ale prawdopodobnie prawdziwą: dlatego. A jeśli nie smakuje ci ta odpowiedź, proszę bardzo, wyjdź z kolejki i zrób miejsce innym.

Trisha przypuszczała, że pod wieloma względami jest teraz starsza od Petera.

Powiodła wzrokiem wzdłuż biegu strumienia i dostrzegła, że mniej więcej czterdzieści metrów dalej wpływa do niego inny strumień, spadając niewielkim wodospadem. I doskonale. Tak właśnie powinno to wyglądać. Ten drugi strumień będzie większy, coraz większy i w końcu doprowadzi ją do ludzi. No i...

Spojrzała na polankę po drugiej stronie swojego strumyka. Dostrzegła na niej trzy przyglądające się jej postacie. To znaczy założyła, że się jej przyglądają, tak naprawdę bowiem nie widziała ich twarzy. Nie była w stanie dojrzeć także ich stóp, gdyż postacie miały na sobie długie szaty, niczym mnisi z filmów o dawnych czasach („W czasach wieczornych pacierzy, w czasach dzielnych rycerzy, gdy damy pokazywały to, czego nie należy” – podśpiewywała czasem Pepsi Robichaud, kiedy skakały przez skakankę). Długimi płaszczami zamiatały okrywające polankę sosnowe igły. Kaptury naciągnęły na twarze. Trisha przyglądała się im lekko zaskoczona, lecz bez strachu... no, przynajmniej na razie bez strachu. Postać stojącą pośrodku okrywał czarny płaszcz, dwie pozostałe miały płaszcze białe.

– Kim jesteście? – spytała. Spróbowała się wyprostować i stwierdziła, że nie może. Za bardzo się najadła. Po raz pierwszy w życiu odkryła, że można oszołomić się jedzeniem. – Czy mogłybyście mi pomóc? Zablądziłam. Błąkam się w lesie od... – Nie pamiętała, od kiedy. Od dwóch dni, może od trzech. – Od bardzo dawna. Proszę, czy mogłybyście mi pomóc?

Trzy postacie stały, milcząc, i tylko wpatrywały się w nią (w każdym razie przypuszczała, że się w nią wpatrują), i w tym momencie Trisha naprawdę się przestraszyła. Skrzyżowały ramiona na piersiach, nie widziała nawet ich dłoni, zasłoniętych długimi rękawami płaszczy.

– Kim jesteście? Powiedzcie mi, kim jesteście?!

Postać stojąca po lewej wysunęła się o krok naprzód, a kiedy podniosła ręce do kaptura, rękawy szaty zsunęły się z jej dłoni o długich palcach. Pod kapturem kryła się inteligentna, choć nieco końska twarz z cofniętym podbródkiem. Przypominała pana Borka, nauczyciela biologii ze szkoły podstawowej w Sanford, który uczył ich o zwierzętach i roślinach Nowej Anglii... w tym, oczywiście, o światowej sławy buczynie. Większość chłopaków i niektóre dziewczyny (na przykład Pepsi Robichaud) nazywały go oczywiście Borkiem Rozporkiem.

Postać ta spojrzała na nią poprzez strumień oczyma ukrytymi za małymi okularkami w złotej oprawie.

– Jestem posłańcem Boga Toma Gordona – powiedziała. – Tego Boga, na którego Tom wskazuje palcem, kiedy uda mu się uratować wynik meczu.

– Doprawdy? – spytała uprzejmie Trisha. Nie bardzo wiedziała, czy powinna zaufać temu facetowi. Gdyby powiedział, że jest Bogiem Toma Gordona, wiedziałaby z całą pewnością, że nie wolno jej zaufać. Była skłonna uwierzyć w wiele rzeczy, lecz nie w to, że Bóg wygląda dokładnie tak, jak nauczyciel biologii z czwartej klasy. – To bardzo... bardzo interesujące.

– Niestety, nie mogę ci pomóc – powiedział Bork. – Mieliśmy dziś bardzo ciężki dzień. Weźmy na przykład trzęsienie ziemi w Japonii, i to silne. A w ogóle Bóg rzadko ingeruje w sprawy ludzi, jakkolwiek muszą przyznać, że jest zapalonym kibicem. Choć niekoniecznie kibicem Red Soxów.

Cofnął się o krok i ukrył twarz pod kapturem. Po chwili wystąpiła druga postać w białym kapturze... i Trisha tego właśnie się spodziewała. Wszystko, co się działo, odbywało się w zgodzie z pewnym rytuałem: trzy życzenia, skrzyżowanie trzech dróg, trzy siostry, trzy szanse odgadnięcia imienia złego czarodzieja. By już nie wspomnieć o trzech jeleniach jedzących buczynę.

– Czy ja śnię? – zadała sobie pytanie, podnosząc rękę i dotykając opuchlizny po ukąszeniu os na lewym policzku. Opuchlizna pozostawała na swoim miejscu i choć nie dokuczała już tak jak przedtem, jej dotknięcie nadal bolało. A więc to nie był sen. Lecz kiedy druga postać w białym płaszczu odrzuciła kaptur i okazała się podobna do jej ojca – nie dokładnie, w takim stopniu, w jakim pierwsza przypominała Borka Rozporka – pomyślała, że tak właśnie powinno być. A skoro było, nie przypominało żadnego z jej snów.

– Tylko nic nie mów – powiedziała. – Jesteś posłańcem Niesłyszalnego, prawda?

– No, właściwie to jestem samym Niesłyszalnym – powiedziała przepraszająco postać do złudzenia przypominająca jej ojca. – Musiałem przybrać obraz kogoś, kogo znasz, żeby ci się pojawić, bo w gruncie rzeczy jestem bardzo słaby. Nie mogę nic dla ciebie zrobić, Trisho. Bardzo mi przykro.

– Jesteś pijany? – spytała Trisha i nagle się rozgniewała. – Jesteś pijany, prawda? Czuję ten zapach. O rany!

Niesłyszalny uśmiechnął się do niej zawstydzony, nie odpowiedział nic, tylko cofnął się o krok i ukrył twarz pod kapturem.

Przyszedł czas na postać w czarnym płaszczu i Trisha nagle się przestraszyła.

– Nie – powiedziała. – Tylko nie ty. – Próbowała wstać, ale nie była w stanie się poruszyć. – Tylko nie ty, odejź, daj mi spokój.

Ramiona okryte czarnym płaszczem unosiły się jednak, obnażając żółte szpony... szpony, które pozostawiły ślady na korze, szpony, które oderwały łeb jelenka, a potem rozdarły jego ciało.

– Nie – szepnęła Trisha. – Nie, proszę, nie. Nie chcę tego widzieć.

Postać w ciemnym płaszczu nie zwróciła uwagi na jej słowa. Zdjęła kaptur. Pod kapturem nie było twarzy, lecz tylko niekształtna głowa – gniazdo os. Osy łążyły po sobie nawzajem, ocierały się o siebie i brzęczały. W niektórych miejscach widać było żałosne fragmenty ludzkich rysów: pusty oczodół, skrzywione w grymasie uśmiechu usta. Postać wydawała niskie dźwięki, przypominające bzyczenie much nad rozszarpaną szyją jelenka, jakby miała motor zamiast mózgu.

– Przychodzę od stworzenia z lasu – powiedziała brzęczącym, nieludzkim głosem. Trishy przypominał on trochę głos człowieka z radia, radzącego ludziom, żeby rzucili palenie, człowieka, który miał raka gardła i któremu wycięto struny głosowe, więc musiał mówić przez specjalne urządzenie elektroniczne. – Przychodzę od Boga Zagubionych. Obserwuje cię. Czeka na ciebie. To twój cud i ty jesteś jego.

– Odejdź! – Trisha próbowała wykrzyknąć to słowo, z jej ust wydobył się jednak zaledwie ochryply szept.

– Na świecie sprawdzają się zawsze najgorsze przypuszczenia, obawiam się więc, że to, co wyczuwasz, jest prawdziwe – mówił dalej nieludzki, brzęczący głos. Żółte szpony przesunęły się powoli po skroni, zdzierając z niej osy i obnażając ukrytą pod nimi kość. – Skóra świata utkana jest

z żądeł, czego bez wątpienia zdążyłaś się już nauczyć, pod nią zaś istnieje już tylko kość i Bóg, którego wyznajemy oboje. Nie uważasz, że to bardzo przekonujący obraz?

Przeżrana, zapłakana Trisha odwróciła wzrok od postaci w ciemnym płaszczu. Spojrzała na strumień. Odkryła, że kiedy nie patrzy na obrzydliwego kapłana os, może się troszkę poruszać. Podniosła dłonie do policzków, wytarła łzy i znów spojrzała na polankę.

– Nie wierzę ci. Nie...

Kapłan os znikł. Zniknęły wszystkie postacie w płaszczach. W strugach światła jak przedtem tańczyły motyle, był ich osiem albo dziewięć, nie trzy, każdy inny, a wszystkie kolorowe, nie tylko czarne i białe. Światło też było inne, nabrało złotopomarańczowego odcienia. Minęły co najmniej dwie godziny, a może nawet trzy? A więc zasnęła. „A wszystko to ci się przyśniło...” – jak piszą autorzy niektórych książek... tylko że nie pamiętała chwili zaśnięcia, nie pamiętała żadnej przerwy w procesie świadomego myślenia. No i to, co przeżyła, bynajmniej nie przypominało snu.

Nagle przyszła jej do głowy myśl dość przerażająca, a jednocześnie pocieszająca. Być może orzechy i jagody nie tylko dostarczyły jej energii, lecz także oszołomiły ją niczym narkotyki? Wiedziała, że niektóre grzyby mają właściwości narkotyczne, czasami dzieciaki jedzą je, by zakosztować odlotu. Jeśli mogą do tego doprowadzić grzyby, to dlaczego nie jagody?

– Albo liście – powiedziała głośno. – Może to przez liście? Założę się, że tak. Dobra, dajmy sobie spokój z liśćmi, niezależnie od tego, ile przywracają człowiekowi energii.

Trisha wstała, skrzywiła się, czując ból brzucha, przyknęła i natychmiast poczuła się lepiej. Podeszła do strumienia, wypatrzyła kilka tkwiących w nim kamieni i przeszła po nich na drugą stronę. Pod pewnymi względami czuła się jak nowa: była świeża, pełna energii, nadal jednak prześladowała ją myśl o kapłanie os i doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że wspomnienie to powróci znacznie żywsze, gdy tylko zajdzie słońce. Jeśli nie będzie uważać, przeżyje straszne chwile, jeśli jednak udowodni sama sobie, że to był tylko sen, spowodowany zjedzeniem golterii albo pićem wody, do której jej organizm nie jest jeszcze całkiem przystosowany...

Kiedy znalazła się na polance po drugiej stronie strumienia, poczuła zdenerwowanie, zupełnie jak postać z filmowego horroru, głupia dziewczyna, wchodząca do domu mordercy-psychopaty ze słowami: „Hej, jest tam kto?”. Spojrzała za siebie, natychmiast poczuła, że coś obserwuje ją zza linii drzew, i odwróciła wzrok tak szybko, żeomal się nie przewróciła. Nie widziała niczego. Jeśli o nią chodzi, nie widziała zupełnie niczego.

– Głupia jesteś – zganila się, ale nadal czuła, że coś ją obserwuje, nie miała wątpliwości, że coś ją obserwuje. „Bóg Zagubionych – powiedział kapłan os. – Obserwuje cię, czeka na ciebie”. Kapłan os powiedział też wiele innej rzeczy, ale te jego słowa zapamiętała najlepiej: „Obserwuje cię, czeka na ciebie”.

Trisha podeszła do miejsca, w którym – była tego całkiem pewna – widziała tamte trzy postacie. Szukała jakiegoś śladu, który powinny pozostawić, ale nie znalazła żadnego. Nie znalazła w ogóle niczego. Przykłęła i dokładniej przyjrzała się ziemi. Nadal nic, nie widziała nawet wgłębienia w warstwie sosnowych igieł, w której, przestraszona, mogłaby dostrzec ślad ludzkiej stopy. Wyprostowała się, odwróciła, by przejść z powrotem przez strumyk, i wówczas, w lesie, dostrzegła coś ciekawego. Ruszyła w tym kierunku i przystanęła przed gęstym, mrocznym zagajnikiem, gdzie młode drzewka o cienkich pniach walczyły między sobą bezlitośnie o przestrzeń i światło nad ziemią, z poszyciem i krzakami zaś o wilgoć i miejsce na korzenie pod ziemią. Tu i tam wśród ciemnej zieleni stały brzozy niczym wynędzniałe duchy. Na korze jednej z nich widać było ciemną plamę. Trisha

obejrzała się nerwowo przez ramię, po czym ruszyła powoli przez zagajnik w kierunku drzewa. Serce waliło jej w piersi, powtarzała sobie, że zachowuje się jak idiotka, jak kretynka, jak ostatnia dupa, lecz mimo to szła przed siebie.

Na ziemi pod brzozą leżał ochłap wnętrzości, krwawiący i wyrwany z ciała tak niedawno, że nawet muchy jeszcze się nim nie zainteresowały. Zaledwie wczoraj na widok czegoś podobnego Trisha dławiliby się od mdłości, powstrzymywałyby je całym wysiłkiem woli, od wczoraj jednak jej życie zmieniło się i sprawy wyglądały zupełnie inaczej; nie doznała ściskania w żołądku, nie dostała zwiastującej mdłości czkawki, nie poczuła instynktownej konieczności ucieczki lub choćby odwrócenia wzroku. Czuła tylko spokój i chłód, pod pewnymi względami znacznie gorsze. Miała wrażenie, że tonie, ale nie w wodzie, tylko w czymś, co rodzi się wewnątrz niej.

Obok, przy wnętrzościach, zauważyła kłębek brązowego futra z białymi plamami. Nie miała wątpliwości, że zginął jelonek, jeden z tych, które spotkała razem z łąnią na bukowej polance. Głębiej wśród drzew, gdzie las ciemniał już z nadchodzącym wieczorem, stał wysoki klon, na którego korze dostrzegła ślady szponów. Znajdowały się one bardzo wysoko, tak wysoko mógł sięgnąć jedynie naprawdę potężny mężczyzna. Trisha nie wierzyła jednak, by pozostawił je człowiek.

„Obserwuje cię”. Oczywiście, obserwował ją właśnie w tej chwili. Czuła jego wzrok na swej skórze, dokładnie tak, jak czuła na niej małe muszki. Być może trzej kapłani przyśnili się jej albo miała halucynacje, ale jelenie wnętrzości i ślady szponów już jej się nie przyśniły. Obserwując ją oczy też nie wydawały się halucynacją.

Oddychając ciężko, spoglądając to w lewo, to w prawo, Trisha wycofywała się w kierunku, z którego dobiegał dźwięk strumienia, spodziewając się, że w każdej chwili dostrzeże jego, Boga Zagubionych. Wydostała się wreszcie z gęstwiny i chwytając gałęzie dla równowagi, tyłem dotarła nad sam brzeg. Odwróciła się jak najszybciej i przeskoczyła po kamieniach na drugą stronę, pewna, że to coś wyskoczyło z lasu i ściga ją, potwór z kłów, szponów i żądeł. Poślizgnęła się na drugim kamieniu, z najwyższym trudem złapała równowagę, omal nie wpadła do wody i nareszcie wydostała się na brzeg. Obejrzała się przez ramię. Pusto. Nawet motyle odleciały... nie, dwa tańczyły jeszcze, nie przyjmując do wiadomości, że dzień już się kończy.

Prawdopodobnie trafiła na miejsce idealne, by spędzić w nim noc, w pobliżu krzaczków jagód i bukowych orzechów, czuła jednak, że nie jest w stanie przenocować tam, gdzie widziała kapłanów. Prawdopodobnie jej się przyśnili, ale ten w czarnym płaszczu wydawał się straszny nawet we śnie. No i był jeszcze ten mały jelonek. Kiedy muchy wreszcie się pojawią, wszędzie na polance będzie słychać ich brzęczenie.

Trisha otworzyła plecak, wyjęła z niego garść jagód i zawahała się.

– Dziękuję wam – powiedziała – bo niczego smaczniejszego jeszcze nie jadłam.

Poszła wzdłuż strumienia, obierając buczynę i jedząc ją. Po kilku chwilach zaczęła śpiewać, najpierw z wahaniem, a później na cały głos: „Obejmij mnie... chcę się do ciebie przytulić... Kochaj mnie na wieki... przy tobie czuję, że płonę...”.

No tak, mała.

## Początek siódmej

Zmierch powoli ustępował miejsca nocy. Trisha znalazła się na skalistej polance przy zboczu niewielkiej, pogrążonej w fioletowych cieniach dolinki. Gdzieś z daleka krzyknął nur, na jego krzyk odpowiedziała wrona. I tyle.

Rozejrzała się dookoła i dostrzegła szereg niskich skalistych występów; nawiane przez wiatr sosnowe igły wypełniały miejsca między nimi, tworząc miękkie hamaki. Zdjęła plecak, ułożyła go pod jednym z występów, podeszła do najbliższego sosnowego zagajnika i narwała gałęzi, z których zrobiła sobie materac. Nie przypominał wprawdzie w niczym Serta Perfect Sleeper, ale lepszy rydz niż nic. Zapadający zmrok wywołał znajome uczucie samotności i żalnej tęsknoty za domem, Trisha nie czuła jednak wcześniejszego, przeraźliwego strachu. Znikło także uczucie, że jest obserwowana. Jeśli rzeczywiście w lesie coś na nią czyhało, to teraz odeszło i zostawiło ją w spokoju.

Trisha wróciła nad brzeg strumienia, przykłęka i napiła się wody. Przez cały dzień odczuwała niezbyt dotkliwe skurcze żołądka, nie wątpiła jednak, iż jej organizm powoli przystosowuje się do wody ze strumienia.

– Orzechy i jagody też są w porządku – powiedziała głośno i uśmiechnęła się. – No, jeśli nie liczyć koszmarów i takich tam.

Zrobiła kilka kroków z powrotem do zaimprovizowanego łóżka, wyjęła z plecaka walkmana i założyła słuchawki na uszy. Powiał chłodny wiatr, który wyraźnie odczuła na spoconej skórze. Zadrzała. Wygrzebała z dna plecaka podarty płaszcz przeciwdeszczowy i przykryła się brudnym plastikiem jak kocem. Niespecjalnie ją to ogrzało, ale – jak mawiała mama – liczy się przede wszystkim pomysł.

Włączyła walkmana. Nie próbowała go przestroić, usłyszała jednak wyłącznie szum zakłóceń. Zgubiła WCAS.

Sprawdziła całe pasmo FM. W paśmie 95 odebrała słabo muzykę klasyczną, w paśmie 99 kazondzieję wrzeszczącego coś o wybawieniu. Wybawienie akurat bardzo ją interesowało, ale niestety, nie takie, o jakim rozprawał ten facet w radiu; modliła się w tej chwili wyłącznie do takiego Boga, od którego dostałaby helikopter pełen przyjaznych, machających rękami ludzi. Przesuwała strzałkę po skali, na 104 głośno i wyraźnie usłyszała Céline Dion, zawahała się i zdecydowała dalej obracać pokrętko. Zależało jej tylko na tym, by usłyszeć transmisję meczu Red Soxów, a nie Céline śpiewającą o tym, jak to się będzie kochać... i kochać... i kochać...

Na FM nie znalazła baseballu, na FM nie znalazła w ogóle niczego. Przełączyła się na AM, na 850, czyli WEEI w Bostonie, WEEI było stacją Red Soxów. Nie spodziewała się doskonałego odbioru, ale pewna nadzieja istniała, wieczorami dawało się złapać całą kupę stacji na AM, a WEEI miała silny sygnał. Będzie najpewniej pojawiał się i zanikał, ale z tym mogłaby się ewentualnie pogodzić. W końcu nie musiała dziś rozstrzygać żadnych wielkich problemów, nie umówiła się na randkę ani nic z tych rzeczy.

WEEI odbierało całkiem nieźle, właściwie to nawet wspaniale, ale, niestety, nie odbierało Joego i Troopa. Ich miejsce zajął facet z gatunku tych, których jej tata nazywał „teleturniejowymi idiotami”.

Ten, na którego trafiła, był „teleturniejowym idiotą sportowym”. Czyżby w Bostonie padało? Czyżby odwołano mecz, czyżby trybuny były puste, czyżby siedzenia przykryto plastikowymi płachtami? Trisha z powątpiewaniem zerknęła w widoczne nad drzewami, pogodne niebo, na którym rozbłysły właśnie pierwsze gwiazdy, niczym cekiny na czarnym aksamicie. Już niedługo będzie ich tyle, że wręcz nie da się policzyć, na niebie nie dostrzegła ani jednej, nawet najmniejszej chmury. No oczywiście, od Bostonu dzieliło ją przeszło dwieście kilometrów, może nawet więcej, ale...

Teleturniejowy idiota rozmawiał przez telefon z Waltem z Framingham. Walt miał telefon komórkowy w samochodzie. Kiedy teleturniejowy idiota spytał go, gdzie jest, Walt z Framingham odparł: „Gdzieś koło Danvers, Mike”, wymawiając nazwę miejscowości tak, jak wymawiają ją ludzie z Massachusetts, Danvizz, zupełnie jakby nie była to nazwa miasteczka, lecz lekarstwa na ból brzucha. „Zabłądziłeś w lesie? Piłeś wodę wprost ze strumienia i przez to rzygałeś dalej, niż widzisz? Wystarczy łyżeczka Danvizz, żebyś poczuł się lepiej!”

Walt z Framingham chciał wiedzieć, dlaczego Tom Gordon zawsze, gdy tylko uda mu się uratować wynik, wskazuje niebo („Wiesz, Mike, chodzi o ten jego palec” – sam tak to ujął), i Mike, teleturniejowy idiota, wyjaśnił, że numer 36 w ten sposób dziękuje Bogu.

– Uważam, że powinien raczej wskazywać na Joego Kerrigana – powiedział Walt z Framingham. – To przecież Kerrigan wpadł na pomysł, by wystawiać go w końcówce meczu. Jako rozpoczynający grę nie nadawał się do niczego.

– Może Bóg podpowiedział Kerriganowi ten pomysł, przyszło ci to do głowy, Walt? – spytał idiota. – Dla tych, którzy nie wiedzą: Joe Kerrigan jest trenerem miotających Red Sox.

– Ja to wiem, ty głupku – burknęła niecierpliwie Trisha.

– Rozmawiamy dziś przede wszystkim o Red Soxach, podczas gdy cieszą się oni rzadkim w tym sezonie wolnym wieczorem – powiedział Mike, teleturniejowy idiota. – Jutro zaczynają trzydniówkę w Oakland. Dowiedzie się o wszystkim, co się dzieje na Zachodnim Wybrzeżu, od nas, na WEEI, ale dziś mamy wolny wieczór.

Wolny wieczór, to wyjaśniało wszystko. Trisha poczuła wielkie przygnębienie i w jej oczach pojawiły się łzy (choć w Danvizz nazywano je „zzami”). Tak łatwo przychodziło jej teraz płakać, gotowa była płakać dosłownie z byle powodu. Ale przecież czekała na ten mecz, do cholery, nie wiedziała, jak bardzo potrzebne są jej głosy Joego Castiglione i Jerry’ego Trupiano, dopóki nie dowiedziała się, że ich nie usłyszy.

– Odbieramy telefony od słuchaczy – powiedział teleturniejowy idiota – niech więc słuchacze do nas dzwonią. Czy jest tam ktoś, kto sądzi, że Mo Vaughn powinien przestać zachowywać się jak szczeniak i po prostu złożyć podpis na umowie? Ile chce zarobić ten facet? To dobre pytanie, prawda?

– Kretyńskie pytanie, kretynie – syknęła Trisha. – Gdybyś umiał wybijać jak Mo, też zażądałbyś kupy forsy.

– Chcecie porozmawiać o cudownym Pedrze Martinezie? Darrenie Lewisie, znakomitym rezerwowym narzucającym Red Soxów? Miła niespodzianka ze strony drużyny, czyż nie? Zadzwońcie, powiedzcie, co myślicie. Przerwa na reklamę.

Wesoły głos zaśpiewał na znajomą melodyjkę: „Do kogo dzwonicie, kiedy pęknie wam szyba?”.

– 1-800-54-GIANT – odśpiewała Trisha i przekreśliła pokrętko walkmana, uwalniając się od WEEI. Może uda się jej znaleźć jakiś inny mecz? Nawet mecz znienawidzonych Jankesów byłby lepszy niż nic. Nim jednak udało jej się znaleźć baseball, usłyszała swoje nazwisko i zamarła.



– ...coraz mniejsze szanse na odnalezienie dziewięcioletniej Patricii McFarland, zaginionej od sobotniego poranka. – Głos czytającego wiadomości był słaby, to znikał, to się pojawiał wśród szumu zakłóceń. Trisha pochyliła się, głębiej wciskając w uszy słuchawki walkmana. – ...siły policyjne Connecticut, biorąc pod uwagę anonimowy telefon, który otrzymała policja w Maine, aresztowały w dniu dzisiejszym Francisca Raymonda Mazzerole z Weymouth w Massachusetts i przesłuchiwały go przez sześć godzin w związku z zaginięciem Patricii McFarland. Mazzerole, robotnik budowlany, ostatnio zatrudniony przy budowie mostu w Hartford, był już skazany dwukrotnie za napastowanie nieletnich. Został aresztowany w związku z wnioskiem o ekstradycję do stanu Maine z oskarżenia o napaść seksualną i napastowanie nieletnich. W tej chwili wydaje się jednak, że nie wie on nic o Patricii McFarland. Z kręgów zbliżonych do policji dowiadujemy się, iż w ciągu ostatniego weekendu przebywał w Hartford, co potwierdza wielu świadków...

Głos zanikł. Trisha wyłączyła walkmana i wyjęła słuchawki z uszu. Czy nadal jej szukano? Prawdopodobnie tak, choć miała nieodparte wrażenie, iż ostatnie kilka godzin szukający jej spędzili na przesłuchiwaniu Mazzerole'a.

– Co za banda kretynów – orzekła rozgoryczona, wkładając walkmana do plecaka. Położyła się na sosnowych gałęziach, przykryła płaszczem przeciwdeszczowym; wierciła się tak długo, aż wreszcie mogła powiedzieć, że jest jej prawie wygodnie. Wiał wiatr, cieszyła się więc, że leży między występami skalnymi. Było chłodno, a przed wschodem słońca mogło zrobić się wręcz zimno.

Na niebie, zgodnie z prognozami, świeciła niezliczona ilość gwiazd. Dokładnie niezliczona. Miały zblednąć wraz z wzejściem księżyca, na razie świeciły jednak wystarczająco jasno, by rzucać cienie na jej policzki. Jak zawsze, Trisha zastanowiła się, czy światło któreś z nich oświetla inne istoty żywe? Czy gdzieś istnieją dżungle i zamieszkujące je baśniowe stwory? Piramidy? Królowie i giganci? Czy gra się tam w coś, co przypomina baseball?

– Gdzie dzwonicz, gdy pęknie ci szyba? – zaśpiewała cicho. – 1-800-54...

Przerwała. Odetchnęła, wciągając dolną wargę, jakby coś ją zabolalo. Niebo zabłysło bielą – to spadła któraś z gwiazd. Jej blask przekreślił czarne tło i zgasł. Nie była to oczywiście gwiazda, lecz raczej meteor.

Pojawił się kolejny błysk. I kolejny. Trisha usiadła, otwierając szeroko oczy, podarty płaszcz przeciwdeszczowy zsunął się jej na kolana. Błyski przekreślały teraz niebo we wszystkich kierunkach. Był to prawdziwy deszcz meteorów.

I zupełnie tak, jakby ktoś czekał, by sobie to uświadomiła, całe niebo rozjarzyło się od jaskrawych błysków. Trisha gapiła się na nie z uniesioną głową, z ramionami skrzyżowanymi na płaskiej piersi, z dłońmi o ogryzionych z nerwów paznokciach wpiętymi w przedramiona. Nigdy czegoś takiego nie widziała, nie marzyła nawet, by coś podobnego zobaczyć!

– Och, Tom – szepnęła drżącym głosem. – Tylko popatrz, Tom. Widzisz to, co ja?

Większość błysków trwała krótko, mały cienki przecinek na niebie znikający tak szybko, że mógłby się wydawać halucynacją, gdyby nie był jednym z tak wielu, jednak kilka – może pięć, a może osiem – rozjaśniło trwale niebo jaskrawymi błyskami, niczym bezgłośnie fajerwerki, które po brzegach zdawały się świecić pomarańczowym światłem. Być może pomarańczowy kolor wynikał z oślepienia oczu, tego jednak Trisha nie była całkiem pewna.

Jaskrawe światła na niebie zaczęły w końcu blednąć. Trisha położyła się na wznak i kręciła, póki nie znalazła wygodnej pozycji... no, może nie wygodnej, ale najwygodniejszej z możliwych. Przez cały czas wpatrywała się jednak w niebo, w nieliczne już teraz błyski kawałków skały, zbaczających ze swej

drogi znacznie dalej, niż ona zboczyła ze swojej, uchwyconych przez ziemską grawitację, czerwieniących, w miarę jak przedzierały się przez coraz gęstsze warstwy atmosfery, aż wreszcie ginących w krótkich rozbłyskach światła.

Patrzyła na to przedstawienie, dopóki wreszcie nie zapadła w sen.

Jej sny były jednocześnie żywe i fragmentaryczne, przypominały umysłowy deszcz meteorów. Zaledwie jeden zapamiętała niejasno; śniła go tuż przedtem, nim przebudziła się w ciemności, zmarznięta, kaszląca, leżąc na boku z kolanami podciągniętymi pod brodę i drżąc na całym ciele.

W tym śnie wraz z Tomem Gordonem stała na zaniedbanej i porośniętej krzaczkami i młodymi drzewkami łące. Tom stał przy palu, spękany, sięgającym mu do biodra. Na szczycie pala znajdował się metalowy krąg przeżarty rdzą, aż czerwony. Zawodnik z numerem 36 przesuwiał go między palcami. Na szary kombinezon przyjezdnej drużyny narzuconą miał kurtkę do rozgrzewki. Dziś po południu miał przyjechać do Oakland. Spytała go, co wskazuje palcem. Oczywiście wiedziała co, ale mimo to spytała, być może dlatego, że spytał o to Walt z Framingham, a komórkowy dupek pokroju Walta z Framingham nie uwierzyłby przecież małej dziewczynce, która zablądziła w lesie, Walt czekał na odpowiedź wprost ze źródła.

– Wskazuję niebo, ponieważ w naturze Boga leży to, iż objawia się u początku dziewiątej – powiedział Tom. Bawił się zardzewiałym metalowym krążkiem z czubka pala. Przesuwiał go między palcami, to w jedną stronę, to w drugą. Do kogo dzwonisz, gdy pęknie ci metalowy krążek? Ależ oczywiście, dzwonisz: 1-800-54-Metalowy Krążek. – Zwłaszcza gdy obsadziłeś bazy i masz tylko jedno wykluczenie. – Coś w lesie odezwało się kpiąco, słysząc te słowa. Głos stawał się donośniejszy, aż Trisha otworzyła oczy i zorientowała się, że to ona tak głośno szczeka zębami.

Wstała powoli, krzywiąc się, bo wszystko ją bolało. Najgorzej było z nogami, a zaraz po nogach z krzyżem. Uderzył w nią podmuch wiatru, coś więcej niż zwykły powiew, i omal nie przewrócił jej z powrotem na posłanie. Trisha musiała pomyśleć o tym, jak bardzo schudła. „Jeszcze tydzień, a kiedy przywiążesz do mnie sznurek, ulecę w powietrze niczym latawiec”. Jednak zamiast roześmiać się na tę myśl, zaczęła kaszleć, kaszel wrywał się z głębi piersi przez gardło. Stała, opierając ręce na nogach nieco powyżej kolan, opuściła głowę, kaszlała i nie mogła przestać. Wspaniale. Po prostu cudownie. Przyłożyła dłoń do czoła, ale nie potrafiła powiedzieć, czy ma gorączkę, czy nie.

Ruszyła powoli, na szeroko rozstawionych nogach; w ten sposób mniej dokuczała jej otarta pupa. Oblamała z sosny jeszcze kilka gałęzi, żeby się nimi przykryć jak kocem. Zniosła jedną naręcz na miejsce, które wybrała sobie do snu, i właśnie niosła drugą, gdy nagle przystanęła w połowie drogi między drzewami a pokrytym sosnowymi igłami wgłębieniem, gdzie spała, i powoli obróciła się dookoła, oświetlona nieprawdopodobnym blaskiem gwiazd, błyszczących o wczesnym świcie. Była czwarta nad ranem.

– Zostaw mnie w spokoju! – krzyknęła i natychmiast się rozkaszała. Kiedy minął atak, mówiła już ostrożniej, ciszej. – Nie mógłbyś po prostu przestać? Odczep się ode mnie, daj mi żyć, dobrze?

Zamilkła, nasłuchiwała, lecz nie słyszała nic oprócz szumu wiatru w gałęziach sosen... a potem do jej uszu dobiegło chrząknięcie; niskie, basowe i zupełnie, ale to zupełnie nieprzypominające żadnego z odgłosów, które mógłby wydać człowiek. Trisha stała w miejscu, przyciskając do piersi wonne, ociekające żywicą gałęzie. Dostała gęziej skórki na całym ciele. Nie wiedziała, skąd dobiegło chrząknięcie: z tej strony strumienia, z drugiej, spośród sosen? Nagle, z całą siłą pewności, uderzyła ją straszna myśl: tak, chrząknięcie dobiegło spośród sosen. To coś, co ją obserwowało, czaiło się między sosnami. Kiedy zbierała gałęzie, którymi zamierzała się przykryć, pysk tego czegoś znajdował się być

może niespełna metr od jej twarzy. Pazury, te same, które pozostawiły głębokie ślady na korze i rozerwały na strzępy oba jelenie, dzieliły pewnie zaledwie centymetry od jej dłoni, gnących sosnowe gałęzie w górę i w dół, najpierw kruszących je, a potem odrywających od drzewa.

Trisha znów się rozkaszała, i to wyrwało ją z bezruchu. Upuściła gałęzie i wpełzła między nie, nie starając się ich nawet uporządkować. Skrzywiła się i jęknęła, kiedy ostry patyk podrapał ją w użądłone przez osy biodro, a potem znieruchomiła. Wyczuwała tę tajemniczą istotę, wyslizgującą się spomiędzy drzew i wreszcie, wreszcie, decydującą się zapolować na nią, specjalnie stworzenie twardej ślicznotki, Boga Zagubionych, o którym opowiadał kapłan os. Istota miała wiele imion: władca mrocznych miejsc, cesarz zakamarków, najgorszy koszmar każdego dziecka. Niezależnie od nazwy, istota przestała się z nią drażnić, skończyła z zabawą w chowanego. Zaraz rozrzuci gałęzie, pod którymi Trisha się schowała, i pożre ją żywcem.

Kaszłąc i drżąc na całym ciele, utraciwszy kontakt ze światem i otaczającą rzeczywistością, w tej chwili zupełnie oszalała z przerażenia Trisha osłoniła głowę ramionami i czekała na chwilę, gdy rozedrą ją pazury stwora, a dalszego dzieła zniszczenia dokonają potężne kły w jego paszczy. Zasnęła w tej pozycji, a kiedy obudziła się we wtorkowy, jasny ranek, poczuła, że ramiona zdrętwiały jej od łokci do nadgarstków, kark zaś zesztyniał do tego stopnia, że nie była w stanie poruszyć głową; do strumienia podeszła, trzymając ją przechyloną na ramię.

„Chyba nie będę musiała pytać żadnej babci, jak to jest być starą – pomyślała, kucając i robiąc siusiu. – Teraz już doskonale wiem”.

Kiedy wróciła do kupki gałęzi, na których przespała noc („jak wiewiórka ziemna w swojej norze” – pomyślała, krzywiąc się lekko), dostrzegła, że sąsiednie wypełnione igłami zagłębienie w ziemi wygląda dość niezwykle. Igły zostały rozrzucone, a spod nich w jednym miejscu wyzierała czarna ziemia. Być może więc dziś, wczesnym rankiem, wcale nie oszalała ze strachu. A przynajmniej nie oszalała do końca. Kiedy bowiem wreszcie zasnęła, coś jednak do niej przyszło. Przyszło do miejsca, gdzie spała, może nawet przykucnęło w rozpadlinie i obserwowało ją śpiącą; namyślało się, czy skończyć z nią teraz, i w końcu postanowiło, by dojrzewała przez jeszcze jeden dzień. Żeby przez ten dzień stała się słodsza, niczym jagoda.

Trisha okręciła się dookoła, doznając niejasnego wrażenia, że kiedyś już to robiła; nie pamiętała jednak, że przed zaledwie kilku godzinami obróciła się dokładnie tak samo i w tym samym miejscu. Wykonała pełny obrót, zatrzymała się w tej samej pozycji, którą przybrała wcześniej, i kaszlnęła nerwowo, zakrywając usta dłonią. Od kaszlu poczuła tępy ból głęboko w piersi. Nie zaniepokoiło jej to; ból sprawiał przynajmniej wrażenie ciepłego, a ona była tak strasznie zmarznięta...

– Odeszło, Tom – powiedziała. – Czymkolwiek było, odeszło. Przynajmniej na razie.

„Owszem – odparł Tom. – Ale przecież wróci. Prędzej czy później będziesz musiała jakoś sobie z tym poradzić”.

– Niech dzień ten nie kończy się gorzej, niż się zaczął – rzekła dziewczynka. To powiedzenie zawdzięczała babci McFarland. Nie bardzo wiedziała, co ono właściwie ma znaczyć, ale wydawało jej się, że przynajmniej trochę je rozumie i że pasuje ono do tej sytuacji.

Usiadła na kamieniu przy wiązce gałęzi i zjadła trzy wielkie garście mieszanek golterii z buczyną, wmawiając sobie, że to płatki śniadaniowe z suszonymi owocami. Jagody nie wydawały się już takie smaczne jak poprzednio, ba, wręcz twarde; spodziewała się, że jeszcze mniej smaczne i jeszcze twardsze wydadzą jej się po południu. Niemniej jednak zjadła pełne trzy garście, po czym poszła do strumyka napić się wody. W wodzie znów dostrzegła małe pstrągi i choć nie wydawały się jej większe

od okonków lub dużych sardynek, powodowana nagłym impulsem postanowiła schwytać jednego z nich. Zesztywnienie ciała po nocy już tak nie doskwierało, słońce wstawało powoli i dzień robił się coraz cieplejszy, więc i Trisha czuła się odrobinę lepiej. Niemal spodziewała się czegoś dobrego. Prawie wierzyła, że wreszcie dopisze jej szczęście. Nawet kaszel już jej tak bardzo nie dokuczał.

Powróciła do miejsca, w którym spędziła noc, znalazła żalodne pozostałości płaszczka od deszczu i rozpostarła go na kamieniach. Następnie udała się na poszukiwanie kamienia o ostrych krawędziach i znalazła jeden, znakomity, w miejscu, gdzie strumień spadał przez obłą krawędź równiny do znajdującej się poniżej dolinki. Zbocze było chyba tak samo strome jak to, po którym zjechała pierwszego dnia (ten pierwszy dzień wydawał się jej odległy o dobre pięć lat), uznała jednak, że bardzo łatwo będzie tędy zejść, ponieważ gęsto porastały je drzewa, których mogłaby się chwycić w potrzebie.

Trzymając kamień w dłoni, wróciła do miejsca, gdzie przedtem rozłożyła płaszcz (rozpostarty na kamieniach wyglądał niczym szereg wyciętych z papieru laleczek), i zaczęła odcinać od niego kaptur poniżej linii ramion. Właściwie nie wierzyła, by udało jej się schwytać rybę w odcięty kaptur, ale zawsze przecież można spróbować i będzie z tego niezła zabawa, a poza tym nie miała zamiaru schodzić po zboczu, dopóki jej ciało nie odzyska dawnej sprężystości. Pracując, nuciła pod nosem, najpierw piosenkę *Boyz To Da Maxx*, która od dawna chodziła jej po głowie, potem *MMMM-Bop*, później fragmenty *Take Me Out to the Ballgame*, ale najczęściej wracała do reklamowego refrenu „Do kogo dzwonisz, gdy pęknie ci szyba?”.

Chłodny wiatr, wiejący nocą, przepłoszył większość owadów, ale dzień robił się coraz cieplejszy i wkrótce nad głową Trishy unosiła się jak zwykle chmara małych powietrznych akrobatów. Już prawie ich nie zauważała, od czasu do czasu, gdy któryś z nich za bardzo zbliżył się do jej oczu, machała nań niecierpliwie ręką.

Odcięła wreszcie kaptur i trzymając go do góry nogami, przyjrzała się swemu dziełu krytycznym okiem. Pewnie nie zadziała jak należy, ale wyglądał fajnie. Po prostu fajnie.

– Do kogo zadzwonisz, mała, ach, do kogo, kiedy ta cholerna szyba rozleci ci się w drodze? – zaśpiewała cicho, podchodząc do brzegu strumienia. Wypatrzyła sterczące nad powierzchnią wody dwa kamienie i stanęła na nich. Spojrzała w dół, pomiędzy rozstawione nogi. Ujrzała kamieniste dno, drżące w miejscach, gdzie światło załamywało się w prądzie przejrzystej wody. Nie widziała na razie żadnej ryby, ale co z tego? Rybacy, nawet dziewczyny, muszą przecież być cierpliwi. – Otocz mnie ramionami, bo chcę się do ciebie przytulić – zaśpiewała i roześmiała się. Ale fajnie. Trzymając kaptur za długie strzępy materiału przy ramionach, pochyliła się i zanurzyła w wodzie ten zaimprovizowany więciez.

Prąd zepchnął kaptur nieco dalej między jej nogi, pozostał on jednak otwarty, więc wszystko było w porządku. Cały problem polegał na tym, że stała pochylona, z wypiętą w górę pupą i głową mniej więcej na wysokości brzucha. Nie da rady wytrzymać w tej pozycji długo, a gdyby próbowała kucnąć, zmęczone, obolałe nogi nie wytrzymałyby pewnie, a ona sama wpadłaby do wody. Zanurzenie z głową bez wątpienia niekorzystnie wpłynęłoby na kaszel.

Kiedy poczuła dudnienie serca w skroniach, zdecydowała się na pewien kompromis. Ugięła kolana, za to lekko wyprostowała się w pasie. W ten sposób musiała spojrzeć nieco w górę strumienia i nagle dostrzegła w wodzie trzy jasne błyski – rybki, bez najmniejszej wątpliwości rybki! – płynące szybko w jej kierunku. Gdyby miała czas, aby jakoś zareagować, najprawdopodobniej poderwałaby kaptur i nie złapała niczego. Na szczęście wystarczyło jej czasu tylko na jedną jedyną myśl: „Są jak podwodne spadające gwiazdy” – i nagle srebrne błyskawice płynęły już pomiędzy kamieniami, na których stała. Jednej rybie udało się ominąć kaptur, ale dwie wpłynęły wprost do niego.

– Hura! – krzyknęła Trisha, i był to okrzyk nie tylko radości, lecz także zdumienia, wręcz szoku. Pochyliła się i złapała dolną krawędź kaptura. Straciła przy tym równowagę i omal nie wpadła do strumienia. Podniosła pełen przelewającej się przez brzegi wody kaptur, trzymając go oburącz. Kiedy schodziła z kamieni na brzeg, ścisnęła go; woda przelała się większym strumieniem, mocząc jej nogawkę dżinsów od biodra do kolana. Z wodą wypłynął jeden z małych pstrągów, wijąc się i machając ogonem w powietrzu, śmignął do strumienia i natychmiast umknął.

– O, mamusiu! – krzyknęła Trisha, lecz teraz także się śmiała. Wspinała się po zboczu, trzymając kaptur przed sobą. Nagle dostała ataku kaszlu.

Znalazła się wreszcie na mniej więcej równym terenie. Zajrzała do kaptura, przekonana, że nic w nim nie zobaczy, druga rybka chyba także jej uciekła, małe dziewczynki nie łapią przecież pstrągów, nawet malutkich pstrągów, a już z całą pewnością nie w odcięte kaptury płaszczy przeciwdeszczowych, musiała jej gdzieś uciec, tyle że ona tego nie zauważyła. Ale pstrąg wcale nie uciekł, wręcz przeciwnie – pływał po kapturze w kółko, wesoło niczym złota rybka w akwarium.

– Boże, co mam teraz zrobić? – spytała Trisha, i była to modlitwa najprawdziwsza z prawdziwych; brzmiał w niej przestרח i zdumienie. Na modlitwę tę odpowiedziało jej ciało raczej niż dusza. Widziała mnóstwo filmów animowanych, w których Wile E. Coyote widział Strusia Pędziwiatra w postaci upieczonego indyka; i ona śmiała się na ten widok, i Pete, i nawet mama, kiedy oglądała z nimi telewizję. Teraz jednak Trisha się nie śmiała. Jagody i buczyna wielkości ziaren słonecznika były oczywiście wspaniałe, ale z całą pewnością nie stanowiły podstawy najpożywniejszej diety świata. Nawet jeśli jadło się je naraz, wmawiając sobie, że to płatki śniadaniowe z owocami, nie wystarczały. Jej ciało zareagowało na dziesięciocentymetrowego pstrąga, pływającego w niebieskim kapturze płaszcza przeciwdeszczowego, gwałtownie, choć nie uczuciem głodu, lecz raczej uciskiem; ściskaniem w żołądku oraz wywodzącym się skądinąd, nieartykułowanym krzykiem

(DAJ MI TO!)

niewiele mającym wspólnego z procesem myślenia. A przecież był to tylko mały pstrąg, o wymiarach, które nie pozwalały na połów, niemniej jednak niezależnie od tego, co widziały oczy dziewczynki, jej ciało wołało o kolację.

Trzymając kaptur nad szczątkami płaszcza, który wyglądał w tej chwili jak wycięta z papieru lalka bez głowy, Trisha powtarzała sobie w duchu: „Zrobię to, ale nikomu o tym nie powiem. Jeśli kiedyś mnie znajdą, jeśli kiedyś mnie uratują, opowiem im o wszystkim z wyjątkiem tego, jak usiadłam we własnej kupie... i pstrąga”.

Postępowała bez żadnego świadomego planu, instynktownie, ciało odsunęło umysł w zapomnienie i przejęło kontrolę nad świadomością. Wylała zawartość kaptura na pokrytą sosnowymi igłami ziemię, przez pewien czas przyglądała się małej rybce, tańczącej na powietrzu, które dla niej oznaczało śmierć, a kiedy rybka wreszcie znieruchomiała, Trisha podniosła ją, położyła na resztkach płaszcza i rozplatała jej brzuch ostrą krawędzią kamienia, którego użyła wcześniej do odcięcia kaptura. Z pstrąga wylał się naparstek wodnisto-galaretowatego płynu, przypominającego bardziej rzadki smark niż krew. W jego cieple widziała małe, drobne wnętrzości. Usunęła je brudnym paznokciem kciuka. Przyszła teraz kolej na kręgosłup. Próbowwała go wyciągnąć; udało się jej to mniej więcej w połowie. Przez cały ten czas umysł dziewczynki zaledwie raz spróbował odzyskać kontrolę nad ciałem.

„Nie zjesz głowy – mówił spokojnie, lecz pod tym pozornym spokojem kryło się przerażenie i obrzydzenie. – Trisha, przecież... przecież tam są oczy! Oczy!” Po czym ciało przejęło nad nim

kontrolę, tym razem odrobinę brutalniej niż przedtem. „Jeśli zechcę wysłuchać twojej opinii, potrąsę klatkę, w której śpisz” – jak to czasami mówiła Pepsi.

Trisha wzięła małą, wybebeszoną rybkę za ogon, zaniosła z powrotem do strumienia i wymyła, by oczyścić ją z igieł i brudu. Następnie odchyliła głowę w tył, otworzyła usta i odgryzła połowę małego pstrąga. Poczula pod zębami delikatne ości, umysł próbował podsunąć jej obraz oczu ryby wyskakujących z głowy i lądujących na języku niczym dwie krople galarety. Nim obraz ten zdążył się wyklarować, ciało po raz kolejny przejęło kontrolę nad umysłem, tym razem naprawdę brutalnie. Umysł może sobie funkcjonować, gdy ktoś będzie go potrzebował, wyobraźnia tak samo, lecz na razie rządziło ciało, a ciało marzyło o kolacji, może to i poranek, nie wieczór, ale mamy kolację, a na kolację podano świeżą rybkę.

Górna połowa małego pstrąga smakowała niczym łyk oleju, pełnego jakichś grudek. Był to smak okropny, lecz w pewien sposób także cudowny. Trisha spojrzała na dolną połowę tylko po to, by wydłubać z niej kawałek ości i powiedzieć szeptem: „Zadzwoni: 1-800-54-Świeża Rybka”.

Pozarła całego pstrąga, nie wyłączając ogona, a kiedy go przełknęła, wstała i stojąc zwrócona twarzą do strumienia, zastanawiała się, czy przypadkiem nie zwymiotuje pożywienia. Zjadła w końcu rybę na surowo i choć nadal czuła w ustach jej smak, trudno było doprawdy w to uwierzyć. Poczula ucisk w żołądku i pomyślała: „Oko, to właśnie to”, ale tylko beknęła i wszystko okazało się w porządku. Odjęła dłoń od ust, dostrzegła na niej małe rybie łuski, wytarła ją o dzinsy, skrzywiła się i podeszła do plecaka. Włożyła do niego resztki płaszczka przeciwdeszczowego i – osobno – odcięty kaptur (okazał się całkiem przydatny, przynajmniej do łapania małych, głupich rybek), przykrywając nimi jagody i buczynę, a potem zarzuciła plecak na ramiona. W tej chwili czuła się jednocześnie silna, zawstydzona, dumna z siebie, rozgorączkowana i z lekka szalona.

„Nikommu o tym nie powiem – pomyślała. – Nie muszę nikomu o tym mówić i nikomu o tym nie powiem. Nawet jeśli się stąd wydostanę”.

– A przecież zasługuję na to, żeby się stąd wydostać – powiedziała cicho. – Każdy, kto zjadł rybę na surowo, zasługiwałby na to, żeby się stąd wydostać.

„Japończycy codziennie jedzą rybę na surowo” – powiedziała twarda ślicznotka. Trisha w tej chwili szła już wzdłuż strumienia.

– No więc im opowiem – obiecała głośno. – Jeśli kiedykolwiek pojedę do Japonii, opowiem im wszystko.

Twarda ślicznotka nie znalazła celnej riposty. Trishę niezwykle to ucieszyło. Zeszła ostrożnie po zboczu dolinki, której dnem strumyk płynął sobie wesoło wśród mieszanego lasu. Drzewa liściaste rosły gęsto, za to mniej było tu krzaków i jeżyn. Trisha szła szybko. Nie czuła, by była obserwowana, surowy pstrąg dodał jej siły i energii. Udawała, że wraz z nią maszeruje przez las Tom Gordon; rozmawiali ze sobą przez cały czas, a ich rozmowa dotyczyła głównie jej. Tom najwyraźniej bardzo pragnął wszystkiego się o niej dowiedzieć: jakie przedmioty najbardziej ją interesują, dlaczego uważa pana Halla, który w piątek zadaje pracę domową, za złośliwego, jak Debra Gilhooly może być taką wredną suką, jak ona i Pepsi zamierzały obchodzić domy w Halloween przebrane za Spice Girls i jak jej mama powiedziała, że mama Pepsi może robić, co jej się żywnie podoba, ona jednak nie pozwoli, by dziewięcioletnia dziewczynka obchodziła domy w krótkiej spódniczce, pantoflach na wysokich obcasach i bardzo skąpym staniczku. Tom chyba doskonale rozumiał, dlaczego tak strasnie ją to zawstydziło.

Opowiadała mu właśnie, jak z Pete'em zdecydowali, że kupią tacie puzzle w tej firmie w Vermoncie, która je robi na zamówienie, a jeśli okażą się za drogie, dostanie od nich środek chwastobójczy, kiedy nagle zatrzymała się jak wrośnięta w ziemię.

Stała i milczała.

Przysłuchiwała się strumieniowi przez pełną minutę. Usta wyginały jej się coraz bardziej w podkówkę, ręką machinalnie opędzała się od krążących nad jej głową muszek. Wśród drzew widziała więcej gęstych krzaczków, same drzewa zaś były wyraźnie niższe. Miała wrażenie, że światło słoneczne jest tu jaśniejsze. Świerszcze cykały donośnie.

– Nie – powiedziała. – Nie, nic z tego, nie ma mowy. Jeden raz wystarczy.

Strumień nie szemrał już tak rozgłośnie; ucichł, i to właśnie zwróciło jej uwagę na fakt, że coś się dzieje, oderwało ją od rozmowy z Tomem Gordonem (ludzie, których sobie wyobrazasz, potrafią tak doskonale słuchać). Zabrakło jej przede wszystkim szmeru strumienia. Strumień nie szemrał, ponieważ płynął znacznie wolniej. Na jego dnie rosło też znacznie więcej wodorostów. I był szerszy niż w dolinie.

– Jeśli to początek kolejnego bagna, zabiję się, Tom – powiedziała.

W godzinę później przedzierała się powoli przez gąszcz brzoź i topoli. Podniosła dłoń do czoła, by zgnieść szczególnie dokuczliwego komara, i nagle zamarła nieruchoma, niczym posąg, jak każdy człowiek od początku dziejów, z mordowany i niewiedzący, co począć i gdzie się obrócić.

W którymś momencie strumień przelał się przez niskie brzegi na okoliczny grunt, tworząc płytkie bagno, zarośnięte trzcinami i pałkami wodnymi. Słońce odbijało się od widocznych między roślinami kałuż stojącej wody. Świerszcze cykały, rechotały żaby, dwa jastrzębie krążyły w powietrzu, nie poruszając skrzydłami, skądś dobiegało krakanie wron. To bagno nie wyglądało tak okropnie jak poprzednie, w którym brnęła od wzgóрка do wzgóрка pomiędzy martwymi, zgniłymi drzewami, rozciągało się jednak co najmniej na półtora kilometra, a może nawet dwa, aż do widocznego stąd, zarośniętego sosnami pagórka.

Po strumieniu nie pozostał oczywiście choćby ślad.

Trisha usiadła na ziemi, zaczęła coś mówić do Toma Gordona i uświadomiła sobie, jak to głupio udawać, kiedy jest jasne – i z każdą godziną staje się jaśniejsze – że przyjdzie jej umrzeć niezależnie od tego, ile kilometrów przejdzie, ile ryb złapie i czy jakimś cudem zdoła je przełknąć. Rozplakała się. Objęła głowę ramionami, szlochając rozpaczliwie.

– Chcę do mamy! – krzyknęła w nieruchome, obojętne powietrze. Jastrzębie odleciały, ale z dala, zza porośniętego sosnami grzbietu wzgórza, nadal słyhać było krakanie wron. – Chcę do mamy, chcę do brata, chcę do lalki, chcę wrócić do domu! – Żaby rechotały, co przypomniało jej opowiadanie, które czytał tata, kiedy była mała, o samochodzie zapadniętym w błoto i żabach rechocących: „Nie rruszsz, nie rruszsz”. Okropnie ją to wówczas przeraziło.

Plakała i plakała, aż w którymś momencie rozzłościło ją, że płacze. Tyle łez, tyle tych wstrętnych, obrzydliwych łez. Spojrzała w niebo; nad jej głową unosiła się chmara owadów. Nienawistne łzy nadal spływały po ubłoconych policzkach.

– Chcę do mamy! Chcę do brata! Chcę się stąd wynieść, słyszycie mnie? – Wiergnęła nogami w górę i w dół, tak mocno, że spadł jej but. Zdawała sobie sprawę, że właśnie dostała ataku dziecięcej wściekłości, pierwszego od czasu, gdy miała pięć czy sześć lat, ale w gruncie rzeczy nic jej to nie obchodziło. Rzuciła się na plecy, waliła w ziemię pięściami, po czym rozwarła je, darła palcami trawę i wyrzucała ją w powietrze. – Chcę się stąd wynieść! – krzyczała. – Wynieść do piekła! Dlaczego nie możecie mnie znaleźć, cholerne gnojki? Dlaczego nie potraficie mnie znaleźć? Ja... chcę... do... domu!

Leżała, patrząc w niebo i oddychając ciężko. Mięśnie brzucha bolały ją od płaczu, gardło od krzyku, ale poczuła się trochę lepiej, jakby uwolniła się od czegoś bardzo niebezpiecznego. Przykryła głowę ramieniem i zasnęła, nadal pochlipując.

Kiedy się obudziła, słońce zachodziło już za wzgórze po przeciwnej stronie bagien. Mijało kolejne popołudnie. „Powiedz, Johnny, jakie nagrody mogą wygrać nasi goście? No cóż, Bob, mamy kolejne popołudnie. Nie jest to żadna wielka nagroda, ale pary takich gnojników jak my nie stać przecież na nic lepszego”.

Trisha usiadła i natychmiast zakręciło jej się w głowie. Przed oczami wirowały ciemne plamy niczym stado wielkich, czarnych ciem. Przez chwilę była pewna, że nic nie uratuje jej przed utratą przytomności. Słabość minęła, ale gardło bolało przy przelknięciu, a czoło wydało się gorące. „Nie powinnam spać na słońcu” – pomyślała, choć doskonale wiedziała, że nie czuje się źle od spania na słońcu. Zaczynała po prostu chorować.

Włożyła but, który spadł jej z nogi podczas tego głupiego ataku wściekłości, zjadła trochę jagód i popiła wodą ze strumienia, którą napełniła butelkę. Znalazła kilka jadalnych paproci, rosnących na brzegu bagna, i także je zjadła. Kończyły się już, były twarde i nawet w przybliżeniu nie takie smaczne jak poprzednio, lecz zmusiła się do ich przełknięcia. Spożywszy ten wytworny podwieczorek, wstała i spojrzała na przeciwległy kraniec bagienka, tym razem osłaniając oczy przed blaskiem zachodzącego słońca. Po chwili kręciła głową powoli, z wahaniem; był to gest kobiety raczej, i to starej kobiety, nie dziecka. Wyraźnie widziała wzgórze i była pewna, że jest tam sucho, nie potrafiła jednak wyobrazić sobie siebie samej znów przedzierającej się przez błoto do kolan, z reebokami związanymi za sznurowadła i wiszącymi na szyi. Nawet jeśli to bagienko było płytsze od poprzedniego i nie takie obrzydliwe, nawet jeśli na jego drugim brzegu rosły najpyszniejsze na świecie jadalne paprocie, nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Bo i dlaczego miałyby to robić, skoro i tak by nie szła z biegiem strumienia? Niewykluczone przecież, że w innym kierunku, gdzie iść było łatwiej, znajdzie pomoc lub przynajmniej kolejny strumień.

Snując tego rodzaju myśli, ruszyła wprost na północ wzdłuż wschodniego brzegu bagienka, które wypełniało całe niemal dno leśnej dolinki. Odkąd zabłądziła, podjęła wiele mądrych decyzji, o wiele więcej, niż skłonna była przypuszczać, teraz jednak uczyniła bardzo zły wybór, najgorszy od chwili, gdy w ogóle zdecydowała się zejść ze szlaku. Gdyby przekroczyła bagienko i wspięła się na wzgórze, z jego szczytu dostrzegłaby jezioro Devlin na przedmieściu Green Mount w New Hampshire. Jezioro było niewielkie, ale na jego południowym brzegu znajdowały się letnie domki, była też droga gruntowa, prowadząca do szosy numer 52.

W sobotę lub w niedzielę nawet z miejsca, w którym stała, z pewnością słyszałyby ryk motorówek, ciągnących spędzające weekend w letnich domkach dzieciaki na nartach wodnych. Po czwartym lipca słyszałyby ten ryk już w każdy dzień tygodnia, na jeziorze bywało tak wiele motorówek, że czasami musiały wykonywać gwałtowne uniki, żeby się nie zderzyć. W tej chwili jednak był środek tygodnia w połowie czerwca i na Devlin nie wypływał jeszcze nikt, może z wyjątkiem rybaków w łódeczkach z dwudziestokonnymi, brzęczącymi niczym komary silniczkami, Trisha nie usłyszała więc nic z wyjątkiem śpiewu ptaków, rechotu żab i bzyczenia owadów. Zamiast iść w kierunku jeziora, skierowała się w stronę granicy kanadyjskiej i wchodziła coraz głębiej w las. Od Montrealu dzieliło ją jakieś siedemset kilometrów.

Pomiędzy nią i Montrealem nie było właściwie nic.



## Siódma rozgrywka

Na rok przed separacją i rozwodem, podczas szkolnych ferii zimowych w lutym, McFarlandowie pojechali na tydzień na Florydę. Nie były to bynajmniej miłe wakacje, za często dzieci ponuro przesypywały piasek, gdy tymczasem rodzice kłócili się, zamknięci w małym, wynajętym domku przy plaży (on za dużo pije, ona za dużo wydaje, przecież mi obiecałeś, dlaczego ty nigdy, ple, ple, ple, bo ty tak zawsze). W drodze powrotnej do domu jakimś cudem to Trishy, a nie jej bratu, przypadło miejsce przy oknie. Samolot podchodził do lądowania na Logan przez warstwę chmur, lecąc tak ostrożnie, że przypominał grubą starszą damę idącą chodnikiem miejscami pokrytym lodem. Trisha siedziała z głową przyciśniętą do szyby, zafascynowana widokiem. Lecieli przez doskonale biały świat... gdzieś nisko na moment przeblyskiwała ziemia lub stalowoszara woda bostońskiego portu... a potem znów ogarniała ich biel i tylko gdzieniegdzie, na krótko, migał jakiś skrawek prawdziwego świata.

Przez cztery dni od chwili, gdy podjęła decyzję nieprzekraczania bagienka, Trisha żyła jak wówczas, w samolocie... przede wszystkim w świecie białej pustki. Pozostały jej po tych dniach oderwane wspomnienia, którym nie ufała; mniej więcej we wtorek po południu granica między rzeczywistością a światem wyobraźni zaczęła się zacierać. Od niedzielnego ranka, w tydzień po tym, jak zabłądziła (choć nie wiedziała, że minął tydzień, zdążyła już stracić poczucie czasu), Tom Gordon był już jej stałym towarzyszem, nie udawanym, lecz uznanym za rzeczywistego. Przez pewien czas towarzyszyła jej także Pepsi Robichaud, śpiewały na głos ulubione piosenki Spice Girls i Boyz To Da Maxx, ale w pewnym momencie Pepsi skryła się jednak za drzewkiem i już z za niego nie wyszła. Trisha zajrzała za to drzewko, nie zobaczyła za nim przyjaciółki, stała przez kilka chwil zdziwiona, ze zmarszczonym czołem, aż wreszcie zrozumiała, że Pepsi tam nigdy nie było. Usiadła na ziemi i rozplakała się. Kiedy szła przez wielką, usianą głazami polanę, nad jej głową zawisł złowrogą czarny helikopter, bardzo podobny do tych, jakimi latali źli faceci z rządu, ukrywający istnienie obcych w serialu *Z archiwum X*. Wisiał tak w powietrzu, słychać było tylko bardzo ciche pulsowanie jego wirnika. Trisha machała jak szalona i krzyczała, faceci z helikoptera musieli ją widzieć, ale helikopter odleciał i już nie powrócił. Trafiła na las starych sosen, w wiszącym w powietrzu pyłe widziała przedzierające się przez ich gałęzie skośne promienie słońca i było zupełnie jak w katedrze, tylko z gałęzi tych sosen zwisały okaleczone ciała tysięcy jeleni, wymordowanej jeleniej armii, robaki pożywiały się tymi ciałami, wokół których krążyły muchy. Zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, gnijące jelenie tusze znikły. Znalazła strumień i przez jakiś czas szła z jego biegiem, ale potem albo strumień znikł, albo ona od niego odeszła, nim się to jednak stało, zajrzała do wody i dostrzegła w niej, na dnie, ogromną twarz topielca, w jakiś sposób jednak żywą, patrzącą na nią i poruszającą ustami, jakby coś mówiła. Trisha minęła wielkie siwe drzewo, przypominające pustą w środku dłoń z chudymi, powykręcanyimi palcami, i z głębi tego drzewa usłyszała swoje imię, wymówione przez groźny, martwy głos. Którejś nocy obudziła się, czując na piersi ucisk, i była pewna, że to coś z lasu wreszcie ją dopadło, ale kiedy wyciągnęła rękę, nie dotknęła niczego i po chwili znów mogła oddychać. Kilkakrotnie słyszała wołających ją ludzi, lecz kiedy sama krzyczała, nikt jej nie odpowiadał.

W białej pokrywie złudzeń błyskała od czasu do czasu rzeczywistość, niczym ziemia widziana z lądującego samolotu. Dziewczynka pamiętała wielką polanę jagód na zboczu wzgórza; zbierała je, śpiewając: „Gdzie zadzwonisz, gdy pęknie ci szyba?”. Pamiętała, jak napełniała butelkę po wodzie i po surge z małego źródelka. Pamiętała, jak potknęła się o korzeń i spadła do małego, wilgotnego wgłębienia w ziemi, gdzie rosły najpiękniejsze kwiaty, jakie zdarzyło się jej widzieć w życiu: białe jak śnieg, pachnące, pełne wdzięku niczym dzwonki. Doskonale pamiętała, że widziała pozbawione głowy ciało lisa, które – w odróżnieniu od armii jeleni – nie znikło, gdy zamknęła oczy, policzyła do dwudziestu, a potem znów je otworzyła. Była także całkiem pewna, że widziała wronę wiszącą na gałęzi łbem w dół i kraczącą na nią, i choć wydawało się to niemożliwe, wspomnienie owego wydarzenia miało – w odróżnieniu od wspomnienia helikoptera – żywy kolor i określony kształt. Pamiętała, jak w strumieniu, w którym później zobaczyła twarz topielca, próbowała znów łapać ryby w kaptur, lecz z braku pstrągów musiała zadowolić się kilkoma kijankami; połknęła je w całości, upewniwszy się przedtem, że nie żyją; przerażała ją sama myśl o tym, że mogłyby przeżyć w jej żołądku i zamienić się tam w żaby.

Była chora, co do tego bynajmniej się nie myliła, ale jej organizm wyjątkowo uparcie walczył z infekcją płuc, gardła i zatok. Bywało tak, że przez kilka godzin gorączka pożerała ją i Trisha nie miała praktycznie żadnego kontaktu z rzeczywistością. Światło, nawet słabe, przefiltrowane przez gęste gałęzie drzew, raziło ją w oczy. Rozmawiała przez cały czas, przede wszystkim z Tomem Gordonem, lecz także z matką, bratem, ojcem, Pepsi oraz ze wszystkimi nauczycielami, którzy do tej pory ją uczyli, łącznie z panią Garmont z przedszkola. Pewnej nocy obudziła się, leżąc na boku, zwinięta w kłębek, z kolanami przyciśniętymi do piersi, kaszląc tak ciężko, że aż bała się, że coś się w niej oberwie. Za każdym razem jednak, zamiast wzrastać, gorączka spadała lub znikła w ogóle, podobnie znikają towarzyszące jej bóle głowy. Była taka noc (czwartkowa, choć ona oczywiście o tym nie wiedziała), którą przespała bez przerwy do rana, i obudziła się niemal wypoczęta; jeśli nawet kaszłała, to nie na tyle silnie, by kaszel ją obudził. Trujący bluszcz zranił ją w lewe ramię, lecz natychmiast rozpoznała niebezpieczeństwo i natarła rękę błotem. Podrażnienie nie rozszerzyło się.

Najwyraźniej pamiętała jednak chwile, kiedy leżała w szalaszach, które kleciła z gałęzi, i słuchała transmisji meczów Red Soxów. Red Soxci wygrali dwa z trzech meczów w Oakland, w obu wypadkach dzięki Tomowi Gordonowi. Mo Vaughn wybił na dwa pełne obiegnięcia, a Troy O’Leary (zdaniem Trishy, naprawdę fajny zawodnik) na jedno. Mecze odbierała na WEEI i choć odbiór był każdej nocy nieco gorszy, baterie sprawowały się doskonale; pamiętała, jak pomyślała raz, że jeśli uda jej się wyjść z lasu, będzie musiała napisać list wielbicielki do króliczka Energizera. Zresztą dbała o nie, wyłączając radio za każdym razem, kiedy poczuła się senna. Ani razu nie pozostawiła go włączonego na noc, nawet w piątek, gdy drżała z gorączki, szarpały ją dreszcze i miała rozwolnienie. Radio było jej linią ratunkową, mecze – tratwą na wzburzonym morzu. Gdyby nie oczekiwanie na transmisje, chyba by się w końcu poddała.

Dziewczynka, która weszła do lasu (mającą prawie dziesięć lat i wysoka jak na swój wiek), ważyła czterdzieści trzy kilogramy. Dziewczynka, która w siedem dni później prawie na ślepo wspięła się na wzgórze w sosnowym lesie, a potem wyszła na niewielką polankę, porośniętą gęsto krzaczkami, ważyła najwyżej trzydzieści pięć. Twarz miała spuchniętą od ukąszeń komarów, w kąciку ust po lewej stronie wyrósł wielki, spowodowany zimnem wrzód. Jej ramiona wyglądały jak cienkie patyczki. Bezustannie i nieświadomie podciągała opadające dżinsy. Śpiewała pod nosem: „Otocz mnie ramionami... chcę się do ciebie przytulić”, i w ogóle wyglądała jak jedna z najmłodszych na świecie ofiar heroiny. Do tej pory

wykazywała się pomysłowością, miała szczęście do pogody (cieplej, lecz nie upalnej, suchej od dnia, kiedy zabłądziła i zmokła w burzy), a poza tym udało jej się odkryć w sobie wielkie, choć ukryte rezerwy sił. Teraz jednak rezerwy te były na wyczerpaniu i Trisha, mimo że nie mogła już myśleć jasno, w jakiś sposób zdawała sobie z tego sprawę. Dziewczynka, która zataczając się, szła przez polankę na szczycie wzgórza, dotarła już niemal do kresu swej drogi.

W świecie, który pozostawiła za sobą, ludzie udawali jeszcze, że jej szukają, choć w głębi duszy wszyscy członkowie resztek ekip poszukiwawczych byli pewni, że nie żyje. Rodzice Trishy, z wahaniem i wciąż jeszcze z niedowierzaniem zaczęli zastanawiać się, czy powinni już przygotowywać uroczystości żałobne, czy też poczekać z nimi do znalezienia ciała. A jeśli zdecydują się czekać, to jak długo? Nie zawsze przecież znajdowano ciała zaginionych. Pete mówił niewiele, oczy miał podkrążone, nie reagował na otoczenie. Zabrał Moanie Balognę do swojego pokoju. Posadził ją w kącie tak, że patrzyła na jego łóżko, a raz, kiedy zobaczył, że matka się jej przygląda, powiedział: „Nie śmieję jej dotknąć. Zabraniam”.

W świecie elektryczności, samochodów i asfaltowych dróg Trishę uznano za zmarłą. W tym świecie, który istniał poza utartymi ścieżkami, w świecie, gdzie wrony zwisają czasami z gałęzi łebkami w dół, była bliska śmierci, lecz nadal parla przed siebie (jak zwykły mawiać jej ojciec). Zbaczała czasami na wschód, czasami na zachód, ale niezbyt często i nie aż tak, by robiło to jakąś różnicę. Cechująca jej umysł zdolność do poruszania się w jednym, określonym kierunku była niemal tak samo cudowna, jak cechująca jej ciało zdolność do zwalczania infekcji płuc i zatok, nie wróżyła jednak aż tak dobrze. Powoli, lecz wytrwale Trisha oddalała się od co gęściejszych skupisk miasteczek i wiosek New Hampshire, zagłębiając się w coraz dzikszy, dziewiczy las.

Stwór z lasu, kimkolwiek był, towarzyszył jej nieustępliwie. Choć nie uznawała za rzeczywiste większej części tego, co czuła, słyszała i widziała, bez wahania uznawała za rzeczywistą obecność tego, co kapłan os nazwał Bogiem Zagubionych, i nie brała poznaczonych pazurami drzew (oraz, by o nim nie zapomnieć, także bezgłowego lisa) za zwykłą halucynację. Kiedy czuła obecność stwora (lub słyszała go, kilkakrotnie bowiem dobiegł ją dźwięk łamanych przez niego gałęzi, a dwukrotnie także niskie, nieczłowiecze chrząkanie), nie miała najmniejszych wątpliwości, że stwór rzeczywiście istnieje, a gdy wrażenie jego obecności opuszczało ją, nie wątpiła, że po prostu się oddalił. Byli ze sobą związani i pozostaną, dopóki ona nie umrze. Zdaniem Trishy, miało to nastąpić niedługo. Śmierć „czekała na nią za rogiem”, jak zwykła mawiać jej matka, tyle że w lesie nie było rogów. Były owady, bagna i strome zbocza dolinek, ale nie węgły, nie rogi. Nie wydawało jej się w porządku, że ma umrzeć, choć tak długo i wytrwale walczyła o życie, lecz ta fundamentalna niesprawiedliwość nie powodowała już wybuchów złości. Gniew odbierał energię. Odbierał żywotność. A jej zaczynało brakować i jednego, i drugiego.

W połowie nowej polanki, która niczym nie różniła się od wielu poprzednich, Trisha dostała ataku kaszlu. Od kaszlu bolały ją płuca; czuła się tak, jakby w pierś wbito jej wielki hak. Pochyliła się, złapała sterczący z ziemi ułamek drewna i kaszlała, póki z oczu nie popłynęły jej łzy, tak że wszystko widziała podwójnie. Kaszel osłabł wreszcie i ucichł, lecz przez pewien czas pozostawała jeszcze skulona, czekając, aż jej serce zwolni szaleńczy bieg, a tańczące przed oczami wielkie czarne ćmy zwiną skrzydła i odlecą tam, skąd przyleciały. Dobrze, że znalazł się tu ten pieniek i mogła się go przytrzymać, gdyby go nie było, z pewnością by się przewróciła.

Spojrziała na pieniek i nagle przestała myśleć, a kiedy oprzytomniała, jej pierwszą myślą było: „Nie widzę tego, co wydaje mi się, że widzę. To kolejne dzieło wyobraźni, kolejna halucynacja”. Zamknęła oczy i policzyła do dwudziestu, a kiedy je otworzyła, czarne ćmy znikły, ale poza tym nic się nie

zmieniło. Pieniek drzewa nie był pieńkiem drzewa, lecz słupem. Na wierzchu przegniłego, miękkiego drewna widniało przerdzewiałe na czerwono kółko.

Trisha chwyciła je i poczuła dotyk prawdziwego żelaza, a kiedy podniosła dłoń, na palcach zobaczyła ślad rdzy. Złapała je znowu, poruszyła nim. Nagle ogarnęło ją uczucie, że już to kiedyś przeżywała, tylko tym razem było to jakby prawdziwsze i wiązało się jakoś z Tomem Gordonem. Co?...

– To ci się śniło – powiedział Tom. Stał niespełna dziesięć metrów od niej, opierając się plecami o klon. Ramiona skrzyżował na piersiach. Miał na sobie szary kostium do gry na wyjazdach. – Śniło ci się, że byliśmy w tym miejscu.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Nie pamiętasz? Tego wieczoru, kiedy nie graliśmy. Tego wieczoru, kiedy słuchałaś Walta.

– Walta?... – Chyba pamiętała to imię, ale nie wiedziała, czy jest ono ważne, czy nie.

– Walta z Framingham. El Dopo z telefonem komórkowym.

Coś sobie przypomniała.

– To wtedy spadały gwiazdy?

Tom skinął głową potakująco.

Trisha obeszła słupek, cały czas trzymając w ręku metalowe kółko. Rozejrzała się uważnie dookoła. Tak naprawdę wcale nie była na polance, za dużo tu rosło trawy, wysokiej trawy, jak na polach i łąkach. Bo i stała na łące, a w każdym razie na czymś, co dawno temu było łąką. Kiedy zignorowało się brzozy i krzaki, kiedy ogarnęło się wzrokiem cały obraz, nie było wątpliwości. Stała na łące, a łąki są dziełem ludzi, to ludzie wbijają w ziemię słupki z metalowymi kółkami na górze.

Przykłęka na jedno kolano i przesunęła dłonią wzdłuż słupka, uważając, by nie wbić sobie przy tym drzazg. W połowie jego długości namacała dwa otwory i skręcony kawałek starego metalu. Wsunęła dłoń niżej, w trawę, nie znalazła niczego, poszukała dalej wśród sprężystych pasm i wreszcie, między wyschlą trawą i koniczyną, odkryła coś jeszcze; coś, co musiała wyrwać dwiema rękami. Na światło dnia wyjrzał stary, zardzewiały zawias. Podniosła go do słońca. Jego promień przeszedł przez cienką dziurę po gwoździu i na policzku Trishy pojawiła się jasna smuga światła.

– Tom – westchnęła. Spojrzała na miejsce, gdzie stał, oparty plecami o klon, ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami, pewna, że zniknął. Ale Tom nie zniknął. Nie uśmiechał się wprawdzie, miała jednak wrażenie, że w oczach i kącikach jego ust czai się uśmiech. Pokazała mu zawias.

– Popatrz tylko, Tom!

– To była brama – powiedział Tom.

– Brama! – powtórzyła zachwycona Trisha. – Brama! – Innymi słowy: dzieło człowieka. Mieszkańców magicznego świata elektrycznych światła i środków przeciwko komarom.

– Masz ostatnią szansę, wiesz?

– Co? – Dziewczynka spojrzała na niego zaniepokojona.

– To już końcówka meczu. Nie popełnij błędu, Trisho.

– Tom, ty...

Ale Tom zniknął. Nie to, żeby widziała, jak znika, bo przecież Toma wcale tu nie było. Działała wyłącznie jej wyobraźnia.

– W jaki sposób bronzisz wyniku? – spytała go, nie za bardzo już pamiętając kiedy.

– Musisz pokazać, kto jest lepszy – powiedział Tom. Być może włożyła w jego usta zapomniane słowa jakiegoś komentatora sportowego, a może słowa wypowiedziane podczas wywiadu po meczu, którego słuchała w objęciach taty, z głową opartą na jego piersi. – I lepiej, żebyś to zrobiła od razu.

„Ostatnia szansa. Końcówka meczu. Nie popełnij błędu”.

– Jak mam tego dokonać, skoro nie wiem nawet, o co chodzi?

Nie otrzymawszy odpowiedzi na to pytanie, Trisha obeszła słup jeszcze raz, nie wypuszczając z ręki metalowego kółka, poruszając się powoli i godnie niczym starosaksońskie dziewczę tańczące podczas starożytnego rytuału ślubnego wokół majowego słupa. Las otaczający zarośniętą łąkę wirował przed jej oczami, zupełnie jakby kręciła się na karuzeli w Revere Beach w Old Orchard. Ten las nie różnił się przecież w najmniejszym nawet stopniu od lasów, którymi szła do tej pory. W którą stronę miała się obrócić? Która strona była właściwa? Miała do dyspozycji znak, ale przecież nie był to drogowskaz!

– Znak, ale nie drogowskaz – szepnęła, przyspieszając nieco kroku. – Co może mi powiedzieć ten znak, skoro jest to znak, a nie drogowskaz? Jakim cudem ktoś tak głupi jak ja...

Nagle wpadła na pewien pomysł. Uklękła. Zraniła łydkę o kamień, rana zaczęła krwawić, ale Trisha nawet tego nie zauważyła. Może był to jednak drogowskaz?

Bo tu stała brama.

Ponownie odszukała otwory w słupie, gdzie niegdyś przytwierdzone były zawiasy. Ustawiła się z piętami przylegającymi do nich, następnie zaś ruszyła na czworakach przed siebie, pilnując tylko, by iść prosto. Kolano do przodu... drugie kolano do przodu... i znowu...

– Aj! – krzyknęła, podrywając rękę. Zabolało ją bardziej niż obtarcie łydki. Podniosła dłoń do oczu; przez zaschłe błoto płynął cienki strumyk krwi. Pochyliła się, podparta na rękach, odsunęła trawę; wiedziała, co ją zraniło, a jednak pragnęła zobaczyć to coś na własne oczy.

W dłoń zraniła ją ułamek drugiego słupa, sterzcący z ziemi na wysokość najwyżej trzydziestu centymetrów, i doprawdy miała szczęście, że tylko się skałczyła, bo mogła zrobić sobie prawdziwą krzywdę; z odłamka sterzczały kilkucentymetrowe drzazgi, które wyglądały na naprawdę bardzo ostre. Nieco dalej, pogrzebana w starej, wyschłej i sprężystej trawie, zarośniętej czerwcową zielenią, leżała spróchniała reszta słupka.

„Ostatnia szansa. Końcówka meczu”.

– Aha, i może ktoś tu spodziewa się cudów po dziecku – powiedziała głośno. Zdjęła plecak, otworzyła go, wyjęła resztki podartego płaszcza przeciwdeszczowego, urwała z niego strzęp i związała wokół złamanego pala. Pracowała, kaszląc nerwowo. Pot zalewał jej twarz. Muszki próbowały go pić, niektóre topiły się w nim, ale Trisha nie zwracała na to uwagi.

Wstała, założyła plecak i ustawiła się między stojącym słupkiem a złamanym, oznaczonym kawałkiem niebieskiego plastiku.

– Tu była brama, dokładnie tu – powiedziała. Popatrzyła przed siebie, na północny zachód. – Nie wiem, dlaczego komuś przyszło do głowy budować tu bramę, ale wiem, że bramę buduje się wtedy, gdy za nią jest droga, ścieżka, trakt, cokolwiek... Chcę znaleźć tę ścieżkę. Jakąkolwiek ścieżkę. Gdzie ona jest? Pomóż mi, Tom!

Numer 36 nie odpowiedział. Sójka pokpiwała z niej, siedząc na gałęzi, coś poruszyło się w lesie (ale nie to coś, po prostu jakieś zwierzę, być może jeleni, przez kilka ostatnich dni widziała sporo jeleni), poza tym właściwie nic się nie działo. Przed jej oczami i wszędzie dookoła rozciągała się łąka tak stara, że mogła spokojnie ująć za jeszcze jedną leśną polankę, chyba że ktoś przyjrzałby się jej bardzo dokładnie. Łąkę otaczał las, drzewa, których nazwy nawet nie znała.

Nie widziała ścieżki.

„To twoja ostatnia szansa, wiesz?”

Odwróciła się, poszła polanką na zachód, doszła do granicy lasu i obejrzała się za siebie, sprawdzając, czy idzie w linii prostej. Okazało się, że tak, więc znów spojrzała przed siebie. Gałęzie drzew kołysały się na lekkim wietrze, plamy światła poruszały się w każdym możliwym kierunku; efekt był niemal taki, jak od wirującej kuli w dyskotekce. Dostrzegła wielki, powalony pień i doszła do niego, prześlizgując się między gęsto rosnącymi drzewami, pod splątanymi gęsto, niemal do szaleństwa gałęziami, z nadzieją... ale nie, był to tylko powalony pień, nie zaś kolejny słupek. Podniosła wzrok, lecz nie dostrzegła niczego szczególnego. Wróciła do miejsca, w którym niegdyś stała brama, serce biło jej szybko, oddychała ciężko, urywanie. Tym razem poszła na południowy zachód, jak poprzednio docierając do granicy lasu.

– No dobrze, więc sprawa wygląda tak – zwykł był mówić Troop. – Oto końcówka meczu i Red Soxi bardzo potrzebują bazowych.

Las, tylko las i nic więcej niż las, a w lesie tym nie było nawet ścieżki wydeptanej przez zwierzynę – a przynajmniej ona jej nie widziała – nie wspominając już o ścieżce wydeptanej przez ludzi. Poszła nieco dalej, usilnie próbując nie płakać, zdając sobie jednak sprawę, że wkrótce rozplacze się mimo wszystko. Dlaczego musi wiać ten okropny wiatr? Jakim cudem da się dostrzec cokolwiek w wirze tych cholernych plam słońca? Zupełnie jakby było się w planetarium albo w ogóle.

– A to co takiego? – spytał Tom, przemawiając zza jej ramienia.

– Co? – odpowiedziała pytaniem, nawet się nie obracając. Tom mógł się pojawić albo nie, tak czy inaczej, nie wydawało jej się to niczym wyjątkowym. – Nic tu nie widzę.

– Spójrz w lewo. Odrobinę. – Wskazał kierunek palcem nad jej ramieniem.

– To tylko ułamany pieniek – powiedziała, ale czy miała rację? Czy może tylko bała się, że...

– Nie sądzę – oświadczył numer 36, który oczywiście miał oczy baseballisty. – Moim zdaniem to słupek, dziewczyno.

Trisha podeszła do niego i mocno musiała się przy tym napracować, drzewa rosły tu przerażająco gęsto, podłoże zaś było śliskie i zdradliwe, no i owszem, znalazła kolejny słupek. Przy tym słupku pozostały fragmenty drutu kolczastego, przypominającego małe, groźne muszki.

Trisha zatrzymała się z dłonią na słupku, przyglądając się uważnie prześwietlonemu słońcem, oszukańczemu lasowi. Nieco mgliście przypomniała sobie, jak pewnego deszczowego dnia siedziała w swoim pokoju, skupiona nad książeczką z zadaniami, którą przyniosła jej mama. W książeczce był obrazek przedstawiający mnóstwo rzeczy, a na obrazku należało znaleźć dziesięć ukrytych przedmiotów: fajkę, kłowna, pierścionek z brylantem, tego rodzaju drobiazgi.

Teraz musiała znaleźć ścieżkę. „Boże, pomóż mi znaleźć ścieżkę” – pomyślała i zamknęła oczy. Modliła się do Boga Toma Gordona, a nie do Nieśłyszalnego taty. Nie siedziała przecież w tej chwili ani w Malden, ani w Sanford; potrzebowała więc Boga, który byłby tu, Boga, na którego można byłoby wskazać, gdy (jeśli) obroniłoby się wynik meczu. „Boże, proszę, wspomóż mnie w ostatnich rozgrywkach”.

Otworzyła oczy najszerzej, jak potrafiła, i spojrzała przed siebie, wcale przed siebie nie patrząc. Minęło pięć, piętnaście, trzydzieści sekund. I nagle to, czego szukała, pojawiło się przed jej oczami. Nie miała pojęcia, co dokładnie widzi, być może linię drzew rosnących nieco rzadziej, gdzie słońce świeciło trochę jaśniej, być może zaledwie cienie układające się w jednym kierunku, wiedziała jednak, że widzi to, co pozostało ze ścieżki.

„Będę nią szła i nie zбочę z drogi, jeśli nie będę za wiele o tym myśleć” – powiedziała sobie w duchu i ruszyła niemal niewidoczną ścieżką. Znalazła następny słupek, mocno przechylony; kolejna zima ze śniegiem i mrozem, kolejna wiosna odwilży i deszczu – i z pewnością zniknie w trawie. „Jeśli zacznę się zastanawiać, czy dobrze idę, z pewnością zejść z tej ścieżki”.

Pamiętając o tej prostej zasadzie, Trisha ruszyła śladem słupków, którymi w 1905 roku farmer Elias McCorkle oznaczył ścieżkę do ściągania drewna; wykarczował ją jako bardzo młody człowiek, zanim zaczął pić i przestało mu się chcieć. Szła z szeroko otwartymi oczami, nie wahając się (gdymby się zawahała, zaczęłyby wątpić, a wątpliwości mogłyby okazać się jej zgubą). Nie zawsze znajdowała słupki, ale nie zatrzymywała się, by szukać ich resztek wśród trawy i gęstych krzaków; kierowała się światłem, rzucanymi przez drzewa cieniami i własnym instynktem. Szła tak, nie przyśpieszając i nie zwalniając, aż do wieczora. Omijała gęste kępy drzew i kolczaste krzaki jeżyn, nie spuszczać wzroku z nikłych śladów ścieżki. Szła przez siedem godzin i kiedy była właściwie pewna, że kolejną noc spędzi, chroniąc się przed najdokuczliwszymi owadami pod podartym płaszczem przeciwdeszczowym, dotarła do granicy kolejnej polanki, gdzie dostrzegła rząd trzech słupków. Z ostatniego z nich zwisały szczątki starej bramy, trzymające się kupy chyba tylko dzięki trawie, która gęsto zarosła dwa dolne krzyżaki. Za bramą zaś Trisha zobaczyła porośniętą trawą i stokrotkami koleiny drogi, biegnącej na południe i zakręcającej z powrotem w las. Przez chwilę stała nieruchomo, a potem opadła na kolana i na kolanach ruszyła jedną z kolein. Znowu się rozpłakała. Nadal na czworakach przeszła z jednej koleiny w drugą; wysoka trawa łaskotała ją w brodę.

Pełzła niczym ślepiec, wołając przez łzy: „Droga! Droga! Znalazłam drogę! Dzięki ci, Boże. Dziękuję ci za tę drogę!”.

Zatrzymała się wreszcie i położyła w koleinie. „Zrobiły ją koła wozu” – pomyślała, śmiejąc się przez łzy. Przewróciła się na wznak i spojrzała w niebo.

## Ósma rozgrywka

W kilka minut później Trisha wstała. Szła drogą przez dobrą godzinę, aż do zmierzchu. Na zachodzie, po raz pierwszy od dnia, kiedy zabłądziła, słyszała groźne pomruki burzy. Powinna schronić się w najgęściejszej kępie drzew, jaką uda się jej znaleźć, choć ulewa przemoczyłaby ją pewnie i tam do suchej nitki. W tej chwili jednak czuła się tak dobrze, że było jej wszystko jedno.

Zatrzymała się na drodze, między kolejnami, i już miała zdjąć plecak, kiedy kawałek dalej, mimo mroku, dostrzegła coś. Coś ze światła ludzi, coś kanciastego. Poprawiła plecak na ramionach i ruszyła powoli prawą stroną drogi, przypatrując się temu czemuś jak ktoś, komu popsuł się wzrok, jest jednak zbyt próżny, by włożyć okulary. Na zachodzie grzmot odezwał się nieco głośniejsze.

Znalazła półciężarówkę, a właściwie jej szoferkę, zagrzebaną w gęstym poszyciu; maskę miała długą, niemal całkowicie zarośniętą bluszczem i w połowie otwartą; dzięki temu widać było, że z samochodu wyjęto silnik, w miejscu po nim rozrosły się paprocie. Szoferka zardzewiała, przechyliła się także na jedną stronę. Szybka znikła dawno, dawno temu, siedzenie pozostało na miejscu. Jego obicie uległo jednak niemal całkowitemu zniszczeniu, częściowo przegniłe, a częściowo zjedzone przez małe zwierzątka.

Znów rozległ się grzmot. Tym razem Trisha dostrzegła błysk wśród chmur, które zbliżały się błyskawicznie, pożerając po drodze gwiazdy.

Ułamała gałąź, wsunęła ją do środka przez otwór po szybie i zaczęła z całej siły walić w siedzenie. Przede wszystkim wywołała zdumiewająco wręcz wielką i gęstą chmurę kurzu, wypełzającą przez dziury po przedniej szybie i bocznych oknach niczym mgła. Jeszcze bardziej zdumiewająca była liczba wiewiórek ziemnych, wiejących spod podłogi przez tylną szybę.

– Opuścić pokład! – krzyknęła Trisha. – Uderzyliśmy w górę lodową. Kobiety i wiewiórki... – Odetchnęła kurzem, dostała rozrywającego wnętrzości ataku kaszlu, usiadła ciężko, nadal trzymając w rękę oberwaną gałąź, i konwulsyjnie łąpała powietrze, niemal nieprzytomna. Zdecydowała, że mimo wszystko nie spędzi nocy w szoferce półciężarówki. Nie bała się oczywiście tych kilku wiewiórek ziemnych, które mogły tam pozostać, nie obawiała się nawet węży (gdyby w samochodzie zagnieżdżyły się węże, wiewiórki prawdopodobnie wyniosłyby się stamtąd już dawno), nie miała jednak zamiaru spędzić ośmiu godzin, oddychając kurzem i kaszląc do uduszenia. Owszem, fajnie byłoby przespać się znów pod dachem, ale cena za to wydawała się nieco zbyt wysoka.

Minęła zagrzebaną w krzakach półciężarówkę, weszła do lasu. Usiadła przed wielkim świerkiem, zjadła trochę buczyny, napiła się wody. Zaczynało jej brakować jedzenia i picia, była jednak zbyt zmęczona, by się tym teraz martwić. Znalazła drogę i to wydawało się jej w tej chwili najważniejsze. Starą, nieużywaną drogę, ale być może prowadzącą dokądś. Oczywiście, droga ta mogła w pewnym momencie po prostu zniknąć, tak jak znikają strumienie, o tym jednak nie miała zamiaru myśleć. Na razie pozwoliła sobie na nadzieję, że dzięki drodze dotrze tam, gdzie nie zaprowadziła jej woda.

Noc była równie gorąca, co krótka, apoteoza nowoangielskiego, zawsze niedługiego, a czasem upalnego lata. Dołem brudnej bluzy Trisha powachlowała brudną szyję, wysunęła dolną wargę i zdmuchnęła włosy z czoła, po czym włożyła czapkę i położyła się z głową na plecaku. Pomyślała,



czyby nie wyciągnąć walkmana, ale zdecydowała, że jednak nie. Gdyby próbowała posłuchać dziś transmisji z Zachodniego Wybrzeża, z pewnością zasnęłaby i wyczerpała baterie do samiotkiego końca.

Zsunęła się nieco niżej, tak że plecak zmienił się w poduszkę, czując coś, czego nie czuła od tak dawna, że wydało się jej to wręcz cudem: proste zadowolenie. „Dziękuję, Panie Boże” – powiedziała i w trzy minuty później już spała.

Obudziła się mniej więcej po dwóch godzinach, kiedy pierwsze krople zimnego, ulewnego burzowego deszczu przedarły się przez gałęzie drzew i wylądowały jej na policzkach. Ogłuszający grzmot rozdarł ciszę nocy i Trisha usiadła, tłumiąc krzyk. Drzewa trzeszczały i jęczały na silnym wietrze, niemal huraganie, błyskawice wydobywały je z ciemności w szaroczarnej tonacji fotografii prasowej.

Zerwała się na równe nogi, odgarniając włosy z czoła. Drgnęła, słysząc kolejny grzmot, bardziej trzask niczym z bicza niż huk; burza była niemal dokładnie nad jej głową. Już wkrótce przemoknie na wylot, mimo najgęściejszej osłony drzew. Złapała plecak i pobiegła chwiejnie ku ledwie widocznemu w mroku czarnemu kształtowi: szoferce półciężarówki. Zatrzymała się po trzech krokach, ciężko wdychając wilgotne powietrze i natychmiast wykaszlując je z płuc. Nie czuła liści i cienkich, poruszanych porywistym wiatrem gałązek, bijących ją po ramionach i szyi. Gdzieś, nieco dalej, z przeraźliwym trzaskiem przewróciło się drzewo.

To coś było tu. Było bardzo blisko.

Wiatr zmienił kierunek, rzucając jej w twarz krople deszczu, i teraz Trisha wręcz poczuła zapach stwora, kwaśny i dziki, niczym zapach klatek w zoo. Tylko że to coś nie siedziało przecież w klatce.

Poszła w kierunku starego samochodu; jedną rękę miała wyciągniętą dla ochrony przed gałęziami, drugą przytrzymywała czapkę Red Soxów, żeby nie stracić jej na wietrze. Kolce kaleczyły jej kostki i łydki, a kiedy wybiegła na swoją drogę (tak właśnie o niej myślała: „moja droga”), natychmiast przemokła do nitki.

Dobiegła do otwartych drzwi od strony kierowcy, z obu stron oplecionych pnączami, w pozbawionym szyby oknie błysnęło i w ostrym, biało-fioletowym świetle błyskawicy dostrzegła stwora, przygarbionego, stojącego po drugiej stronie drogi, stwora o czarnych oczach i wielkich, nastawionych uszach jak rogi (a może to były rogi?). Nie wydawał się jej człowiekiem, ale także nie był zwierzęciem. Był to bóg, jej bóg, bóg kapłana os, tkwiący nieruchomo w lejącym deszczu.

– Nie! – krzyknęła, wskakując do szoferki i nie zwracając najmniejszej nawet uwagi na chmurę kurzu, która otoczyła ją natychmiast, ani na zgniły zapach starej tapicerki. – Nie! Odejdź! Zostaw mnie w spokoju!

Odpowiedział jej grzmot, a także deszcz, bębniący w przerdzewiały dach samochodu. Trisha ukryła głowę w ramionach. Przewróciła się na bok i czekając na pojawienie się stwora, zasnęła.

Spała mocno i – o ile pamiętała – bez snów. Kiedy się obudziła, był jasny dzień, upalny i słoneczny. Drzewa wydawały się zieleniejsze niż wczoraj, trawa gęściejsza, a ptaki w głębi lasu śpiewały na szczęśliwszą nutę. Woda kapiała z liści i gałęzi, a gdy Trisha podniosła głowę i wyjrzała przez kwadrat przedniego okna samochodu, pierwsze, co ujrzała, to jezioro wody w jednej z kolein drogi, odbijające promienie słońca tak jaskrawe, że aż zmrużyła oczy i osłoniła je ręką. Pod powiekami pozostał jej nikiący obraz odbitego w wodzie niebieskiego, a dalej białozielonego nieba.

W szoferce półciężarówki przetrwała całkiem sucha, mimo wybitych szyb. Na podłodze wokół starych pedałów zgromadziła się kałuża wody, lewe ramię Trishy było mokre, ale większych szkód nie doznała. Jeśli nawet kaszlała we śnie, to nie aż tak ciężko, by się obudzić. Gardło miała obolałe

i zatkały nos, lecz to mogło się przecież zmienić na świeżym powietrzu, z dala od tego przekłętego kurzu.

„Był tu w nocy. Widziałaś go”.

Ale... czy rzeczywiście go widziała? Czy widziała go naprawdę?

„Przyszedł po ciebie, chciał cię zabrać ze sobą, lecz kiedy wlażał do samochodu, zrezygnował. Mimo wszystko. Nie wiesz dlaczego, ale tak właśnie było”.

A może nie? Może był to tylko sen, ten rodzaj snu, jaki miewa się czasami, kiedy człowiek na pół jeszcze śpi, a na pół się obudził? Sen zrodzony w wyobraźni kogoś, kto obudził się w lesie podczas strasznej burzy wśród grzmotów, błyskawic i wiejącego z siłą huraganu wiatru. Nic dziwnego, że w takiej sytuacji coś się komuś przywidzi.

Złapała plecak za naderwany pasek i wypelzła tyłem przez dziurę po drzwiach od strony kierowcy, wzbijając kolejną chmurę kurzu i starając się nią nie oddychać. Odeszła kilka kroków od kabiny (mokra, przerdzewiała na czerwono, nabrała ona teraz koloru dojrzałych śliwek) i właśnie wkładała plecak na ramiona, gdy nagle zamarła. Dzień był słoneczny i ciepły, deszcz się skończył i nareszcie miała drogę, która mogła doprowadzić ją do ludzi, a jednak Trisha poczuła się nagle stara, zmęczona, całkowicie pozbawiona nadziei. Ludzie mogą oczywiście wyobrazić sobie różne rzeczy, zwłaszcza przebudzeni nagle w lesie, podczas burzy, to oczywiste. Tego, co widziała teraz, bynajmniej jednak sobie nie wyobraziła.

Kiedy spała, coś wyryło krąg wokół samochodu, krąg biegnący przez igły i niskie krzaczki. W porannym blasku słońca wyraźnie widać było linię czarnej ziemi i roślin. Rosnące na niej niegdyś krzewy i małe drzewka wyrwane zostały z korzeniami i niedbale odrzucone na bok. Bóg Zagubionych przybył i wyrysował wokół niej krąg, jakby chciał powiedzieć innym: „Nie przekraczajcie tej granicy. Ta dziewczynka jest moja, jest moją własnością”.

## Początek dziewiątej

Całą niedzielę Trisha maszerowała pod niskim, zamglonym niebem, które zdawało się przyciskać ją do ziemi. Rankiem wilgotne lasy parowały, ale wczesnym popołudniem były już tak suche, jakby deszcz w ogóle nie padał. Trisha oczywiście nadal cieszyła się z drogi, teraz jednak marzyła też o cieniu. Znow miała gorączkę, czuła się nie tyle zmęczona, ile wręcz wyczerpana. Stwór obserwował ją; towarzyszył jej w drodze i obserwował ją. Czuła, że jest śledzona, i uczucie to nie mijało, ponieważ była śledzona cały czas. Stwór poruszał się gdzieś po prawej stronie. Parę razy wydawało się jej nawet, że go widziała, ale być może były to tylko promienie słońca na gałęziach drzew. Nie chciała oglądać stwora; poprzedniej nocy, w jednym błysku błyskawicy, dostrzegła więcej, niż chciałaby kiedykolwiek zobaczyć. Widziała jego futro, wielkie nastawione uszy, ogromne cielsko. No i oczywiście ślepie. Wielkie, czarne, nieludzkie, tępe, lecz świadome. Świadome jej obecności.

„Oddali się może, ale tylko jeśli będzie pewien, że się stąd nie wydostanę – pomyślała ze znużeniem. – A na to mi nie pozwoli. Nie pozwoli mi się stąd wydostać”.

Wczesnym popołudniem zorientowała się, że kałuże w koleinach wysychają, więc natychmiast uzupełniła zapas wody, filtrując ją przez czapkę do oderwanego kaptura płaszczka, a potem zlewając do butelek. Woda była mętna, błotnista, ale tego rodzaju drobiazgi już jej nie martwiły. Uznała, że gdyby leśna woda miała ją zabić, to umarłaby wówczas, gdy pierwszy raz zachorowała. Co ją naprawdę martwiło, to brak jedzenia. Po napełnieniu butelek zjadła trochę buczyny i jagód, pozostały jej zaledwie resztki, na jutrzejsze śniadanie będzie je wygrzebywać z dna plecaka, tak jak poprzednio wygrzebywała chipsy. Być może uda się jej uzupełnić zapasy przy drodze, ale nie miała na to większych nadziei.

Droga biegła przed nią, to mniej wyraźna, to znow przez kilkaset metrów wyraźniejsza. Przez pewien czas Trisha szła wzdłuż porastających wzgórek między koleinami krzaczków. Wydawało jej się, że to krzaczki czarnych jagód, w każdym razie przypominały krzaczki czarnych jagód, z których z mamą garściami zbierały słodkie owoce w oswojonych lasach wokół Sanford, ale czarne jagody miały dojrzewać dopiero za miesiąc. Widziała także grzyby, nie zaufała jednak żadnemu na tyle, żeby go zjeść. Mama nie знаła się na grzybach, w szkole także nie uczono o grzybach, tylko o orzeszkach i o tym, żeby nie pozwolić się podwozić obcym, bo niektórzy obcy mają mózdzki jak wyschłe orzeszki, tego je uczono. Pewna była tylko jednego: jeśli zje się trujący grzyb, człowiek umiera straszną śmiercią. A w ogóle, nie jedząc grzybów, niezbyt się poświęcała. Nie miała apetytu, gardło bardzo ją bolało.

Około czwartej po południu przewróciła się o zwalone drzewo, upadła na bok, próbowała wstać i okazało się, że nie może. Nogi jej drżały i były miękkie jak galareta. Zdjęła plecak (zmagając się z nim przez niepokojąco długą chwilę, lecz w końcu zdołała się jakoś od niego uwolnić). Zjadła buczynę prawie do końca – zostały jej dwa, a może trzy orzeszki – omal nie dławiąc się ostatnią. Walczyła z nią, wyciągając szyję jak mały ptaszek i przełykając raz za razem, i wreszcie zwyciężyła. Zatopiła ją w żołądku (przynajmniej na jakiś czas) łykiem ciepłej, błotnistej wody.

– Pora na Red Soxów – szepnęła, wyciągając walkmana. Wątpiła, czy uda się jej złapać transmisję meczu, ale co szkodzi spróbować? Na Zachodnim Wybrzeżu była pierwsza, Red Sox i z pewnością grali, a mecz dopiero się rozpoczął.

Na FM nie usłyszała nic, nawet najsłabszego cienia muzyki. Na AM znalazła mężczyznę mówiącego coś szybko po francusku i śmiejącego się przy tym, co brzmiało raczej nieprzyjemnie. Nagle, na samym dole skali, przy 1600 zdarzył się cud: do jej uszu dobiegł słaby, ale wyraźny głos Joego Castiglione.

– Sytuacja jest taka: narzucenie... i Garciparra wybija wysoką, długą piłkę głęboko na śródpole. Piłka wraca... piłka znika! Red Soxi prowadzą dwa do zera.

– Dobra robota, Nomar. Właściwy człowiek na właściwym miejscu – powiedziała Trisha ochryplym, załamującym się głosem, który z trudem rozpoznała jako swój. Wyciągnęła ku niebu rękę z dłonią zaciśniętą w pięść, ale brakowało w tym geście energii. O’Leary wystrajkował i tak skończyła się rozgrywka. „Do kogo dzwonisz, gdy pęknie ci szyba?” – zaśpiewał głos z dalekiego świata, gdzie drogi były wszędzie, a bogowie nie wpychali się na scenę.

– 1-800-54... – próbowała odśpiewać Trisha, ale zasnęła, nim zdołała dokończyć. W miarę jak jej sen stawał się głębszy, zsuwała się w prawo, kaszląc od czasu do czasu. Był to dudniący, wilgotny kaszel. Podczas piątej rundy stwór pojawił się na granicy lasu i spojrzał na nią. Muszki i inne owady unosiły się chmurą nad zarysem jego pyska. W błyszczących, pustych ślepiach stwora kryła się pełna historia niczego. Stał nad dziewczynką bardzo, bardzo długo. W końcu wskazał ją łapą wyposażoną w ostre niczym brzytwa pazury – jest moja, jest moją własnością – i wycofał się do lasu.

## Końcówka dziewiątej

Trisha miała wrażenie, że gdzieś pod koniec meczu obudziła się, choć nie do końca. Jerry Trupiano – a przynajmniej głos brzmiący jak głos Troopa – informował, że Monstersi z Seattle obsadzili bazy, a Gordon próbuje zakończyć grę.

– Wybijają prawdziwy zabójca – powiedział sprawozdawca – i Gordon po raz pierwszy w tym roku wygląda na przestraszonego. Gdzie jest Bóg, kiedy go potrzebujemy?

– W Danvizz – odparł Joe Castiglione. – Wylewa krokodyle zzy.

Z całą pewnością był to sen, to musiał być sen, choć może wkradły się do niego jakieś elementy rzeczywistości. Trisha wiedziała na pewno jedno: kiedy naprawdę się obudziła, słońce zachodziło, miała gorączkę, gardło strasznie ją bolało przy każdym przełknięciu, radio zaś złowrogo milczało.

– Zasnęłaś, nie wyłączywszy go, ty głupia! – powiedziała swym nowym, schrypniętym głosem. – Ty wielka, głupia dupo! – Przyjrzała się walkmanowi z nadzieją, że dostrzeże małe czerwone światełko na obudowie, że tylko przesunęła gałkę strojenia, kiedy przewracała się na bok (obudziła się z głową na ramieniu i kark strasznie ją bolał), choć właściwie nie miała wątpliwości, co się naprawdę stało. No i oczywiście czerwone światełko się nie paliło.

Próbowała wytłumaczyć sobie, że baterie i tak długo by nie wytrzymały, ale to nic nie pomogło. Rozpląkała się. Teraz, kiedy nie miała już radia, czuła się smutna, taka strasznie smutna, zupełnie jakby straciła ostatniego przyjaciela. Powolnymi, sztywnymi ruchami schowała radio do plecaka, zapięła klapę i założyła plecak na ramiona. Był prawie pusty, a zdawał się ważyć tonę. Jak to możliwe?

– Przynajmniej mam drogę – próbowała się pocieszyć. – Przynajmniej mam drogę.

Teraz jednak, kiedy chylił się ku końcowi kolejny dzień, myśl o drodze nie sprawiała jej już takiej przyjemności. „Droga-sroga” – pomyślała. To, że miała drogę, samo w sobie wydawało się jej jakąś kpina, zmarnowaną okazją, zupełnie jakby drużynę dzieliło od zwycięstwa wykluczenie jednego, najwyżej dwóch zawodników, i wówczas zawałił się dach trybun. Ta droga mogła przecież bieć sobie przez las i dwieście kilometrów, a kończyć się kępą krzaków i kolejnym strasznym bagnem.

Mimo wszystko ruszyła przed siebie, powoli, pociągając nogami. Głowę miała opuszczoną i garbiła się tak bardzo, że paski plecaka zsuwały się jej z ramion, niczym ramiączka za dużego podkoszulka bez rękawów. Tylko że w przypadku podkoszulka ramiączka łatwo było poprawić, a pod paski plecaka najpierw trzeba było włożyć palce, a potem jeszcze je unieść.

O zmroku, mniej więcej na pół godziny przedtem, nim zrobiło się naprawdę ciemno, jeden z pasków zsunął się z jej ramienia do końca i plecak zawisł krzywo. Przez chwilę Trisha myślała, czyby go przypadkiem nie porzucić i nie pójść dalej bez niego, i może by się nawet na to zdecydowała, bo nie przejmowała się resztką golterii, ale przecież w plecaku była woda, a woda ta, choć ciepła i brudna, łagodziła ból gardła. Trisha postanowiła więc, że zostanie tu na noc. Ukłękła między koleinami, zsunęła plecak z ramion, wdychając przy tym z ulgą, a potem położyła na nim głowę. Spojrzała w prawo, na czarną ścianę lasu.

– Trzymaj się z dala ode mnie – powiedziała najwyraźniej, jak potrafiła. – Trzymaj się z dala ode mnie albo zadzwonię pod 1-800 i wezwę giganta. Rozumiesz, co powiedziałam?

Coś ją usłyszało. Może zrozumiało jej słowa, może ich nie zrozumiało, z całą pewnością nie odpowiedziało, ale było tam. Czula je. Czy nadal pozwalało jej dojrzeć? Czy żywiło się jej strachem, nim zacznie się pożywiać nią samą? Jeśli tak, gra była niemal skończona. Trisha nie miała już prawie siły się bać. Pomyślała nagle, że mogłaby znów do tego czegoś zawołać, oznajmić, że przecież wcale tak nie myślała, że jest zmęczona i proszę bardzo, przyjdź po mnie, jeśli tylko chcesz. Pomyślała o Borku Rozporku mówiącym, że Bóg Toma Gordona nie może się nią zająć, że ma inne sprawy na głowie. Wątpiła, czy to rzeczywiście prawda... ale jednak z całą pewnością go tu nie było. Może nie tyle nie mógł, ile nie chciał? Bork powiedział także: „Muszę przyznać, że jest zapalonym kibicem sportowym... choć niekoniecznie kibicem Red Soxów”.

Zdjęła z głowy czapkę Red Soxów: pogniecioną, przepoconą, ubrudzoną ziemią i leśną zielenią. Przesunęła palcem po pogiętym daszku. Ona najbardziej się liczyła. Ojciec zdobył na niej autograf Toma Gordona, wysłał czapkę na Fenway Park z listem, w którym wyjaśniał, że Tom Gordon jest ulubionym graczem jego córki Trishy, i Tom (albo jego autoryzowany przedstawiciel) odesłał ją w załączonej do przesyłki oklejonej znaczkami, zaadresowanej kopercie, ze swoim podpisem na daszku. Oprócz odrobiny brudnej wody, paru zeschniętych jagód bez smaku i brudnego ubrania tylko ta czapka jej została. A teraz autograf Toma Gordona znikł, zmyty przez deszcz i starty przez jej własne spocone dłonie. Ale był tam, a ona nadal tkwiła tutaj... no, przynajmniej przez jakiś czas.

– Boże, skoro nie możesz być kibicem Red Soxów, bądź przynajmniej kibicem Toma Gordona – poprosiła. – Czy możesz zrobić przynajmniej tyle? Czy możesz na tyle być?

Przez całą noc to traciła przytomność, to ją odyskiwała. Dygotała w gorączce, zasypiała i budziła się pewna, że to jest z nią, że opuściło las i zaraz się na nią rzuci. Rozmawiała z Tomem Gordonem, pojawił się nawet jej ojciec, stanął za jej plecami i spytał, czy zjadłaby coś słodkiego, ale kiedy się odwróciła, nie zobaczyła nikogo. Na niebie znów widziała płonące meteory, lecz nie była pewna, czy widziała je naprawdę, czy jedynie jej się śniły. Wyciągnęła nawet radio z plecaka, mając nadzieję, że baterie choć odrobinę się zregenerowały – czasami nawet te wyczerpane zaczynały działać, jeśli tylko dało im się szansę odpocząć, ale nim zdążyła to sprawdzić, upuściła je i nie mogła go znaleźć, choć przeczesała trawę palcami miejsce koło miejsca. Namacała za to plecak, którego kłapa była porządnie zapięta. Uznała, że w ogóle nie wyjmowała radia, bo w ciemności nie byłaby przecież w stanie przeciągnąć pasków przez sprzączki. Kilkanaście razy dostawała ataku kaszlu i teraz czuła już ból głęboko w klatce piersiowej. W którymś momencie zdołała przykucnąć i zrobiła siusiu tak gorące, że aż parzyło; musiała przygryźć wargi, by nie syknąć z bólu.

Noc minęła Trishy w taki sposób, jak mijają noce ludziom ciężko chorym: czas wydawał jej się plastyczny i biegł bardzo dziwnie. Kiedy wreszcie ptaki zaczęły śpiewać, a przez drzewa przedarły się pierwsze promienie wschodzącego słońca, Trisha nie mogła uwierzyć własnym oczom. Zbliżyła dłoń do twarzy, zapatrzyła się na brudne palce. Nie potrafiła też uwierzyć w to, że nadal żyje, ale najwyraźniej jeszcze żyła.

Pozostała na miejscu, póki nie rozjaśniło się na tyle, że dostrzegła zawsze obecną chmurę muszek wirujących nad jej głową. Potem wstała powoli, niepewna, czy nogi utrzymają jej ciężar, czy też może zwali się na ziemię.

„Jeśli nie ustoję, będę pełzać” – pomyślała, ale nie musiała pełzać, jeszcze nie, bo nogi utrzymały jej ciężar. Pochyliła się i chwyciła plecak za jeden z pasków. W głowie zawirowało jej aż do mdłości, przed oczami pojawiło się stado znajomych ciem o czarnych skrzydłach, ale zawrót głowy przeszedł w końcu, śmy znikły i nawet zdołała założyć plecak na ramiona.

Teraz pojawił się kolejny problem: w którą stronę powinna iść? Nie była tego tak całkiem pewna, a droga wyglądała podobnie w obu kierunkach. Trisha odeszła kawałek od pnia, patrząc zdezorientowana to przed siebie, to za siebie. Przy okazji potrafiła coś nogą. Był to walkman, oplątany przewodem słuchawek i wilgotny od rosy. Pochyliła się, podniosła go i przyglądała mu się głupawo. Czyżby miała teraz zdjąć plecak, otworzyć go i schować wiernego walkmana do środka? Wydawało jej się to zadaniem zbyt ciężkim, mniej więcej tak ciężkim, jak przeniesienie góry. Z drugiej strony, nie powinna go chyba wyrzucać, to nie wyglądałoby dobrze, zupełnie jakby rezygnowała, przyznawała się do porażki.

Trisha stała w miejscu przez dobre trzy minuty, przyglądając się małemu magnetofonowi i radiu błyszczącymi z gorączki oczami. Wyrzucić czy zatrzymać? Wyrzucić czy zatrzymać? Co wybierasz, Patricio, komplet garnków do gotowania bez wody czy też grasz o samochód, futro z norek lub podróż do Rio? Pomyślała sobie, że gdyby była mac power bookiem Petera, wyrzucałaby teraz jeden za drugim komunikaty o błędzie i te małe ikonki przedstawiające bomby. Wydało się jej to tak zabawne, że aż zaczęła się śmiać.

Śmiech natychmiast przerodził się w atak kaszlu. Był to niewątpliwie najgorszy z dotychczasowych ataków, aż zgięła się wpół. Szczekała niczym pies, pochylona, z rękami opartymi o nogi tuż nad kolanami i włosami spadającymi na oczy brudną falą. Udało się jej utrzymać na nogach, nie poddała się i nie upadła, atak kaszlu zbliżał się do końca i dopiero wówczas uprzytomniła sobie, że może przecież przyczepić walkmana do paska dżinsów. Do tego przecież służy ten uchwyt na obudowie, prawda? No chyba, jasne. Ale jest głupia.

Otworzyła usta, mając zamiar powiedzieć: „To oczywiście, drogi Watsonie” – mawiały tak czasem do siebie z Pepsi – gdy poczuła, że coś ciepłego i mokrego spływa jej po dolnej wardze. Wytarła to coś grzbietem ręki, zobaczyła plamę jaskrawoczerwonej krwi i wpatrzyła się w nią szeroko otwartymi oczami.

„Musiałam przygryźć język albo coś, kiedy tak kaszlałam” – pomyślała, ale przecież wiedziała lepiej. Źródło tej krwi biło gdzieś głębiej. Przestraszyła się na myśl o tym, a jednocześnie oprzytomniała i nagle znów była w stanie myśleć. Odchrząknęła, czyszcząc gardło (cicho i delikatnie, było tak obolałe, że nie mogła tego zrobić energiczniej) i splunęła. Ślina była jaskrawoczerwona. O Jezu! Cóż, nic nie mogła na to poradzić, a przy okazji odzyskała przecież jasność umysłu w stopniu wystarczającym, by zorientować się, w którym kierunku należy iść. Zachodzące słońce miała po prawej ręce, odwróciła się więc tak, by wschodzące, pobłyskujące już wśród drzew, mieć po lewej, i natychmiast zorientowała się, że stoi twarzą we właściwym kierunku. W ogóle nie pojmowała, jakim cudem mogła do tego stopnia stracić orientację!

Ruszyła przed siebie powoli, ostrożnie, zupełnie jakby szła po świeżo wymytej kafelkowej podłodze. „Prawdopodobnie to jest to – pomyślała. – Prawdopodobnie dziś mam ostatnią szansę, może nawet nie dziś, tylko dziś rano. Po południu mogę już być zbyt słaba i chora, by iść, a jeśli zdołam wstać na nogi po kolejnej nocy w lesie, będę błękitnookim cudem”.

„Błękitnooki cud”. Czy to było powiedzenie matki, czy ojca?

– Ni cholery mnie to nie obchodzi – wychrypiała głośno. – Jeśli jakoś wydam się z tego lasu, wymyślę kilka własnych powiedzeń.

Przeszła może osiem, może dziesięć metrów na północ od miejsca, w którym spędziła niekończącą się niedzielną noc i poniedziałkowy poranek, nim uświadomiła sobie, że nadal ma w ręku walkmana. Przystanąła i powoli, z wielkim trudem, próbowała przypiąć go do paska dżinsów. Dżinsy wydawały się

wręcz polatywać wokół jej talii, widziała sterczące ostro spod skóry biodro. „Stracę jeszcze parę kilo i nadam się w sam raz do prezentowania najnowszej paryskiej mody” – pomyślała. Właśnie zastanawiała się, co zrobić ze słuchawkami, kiedy z oddali dobiegł ją odgłos kilku następujących po sobie szybko wystrzałów; brzmiało to trochę tak, jakby gigant wysysał coca-cola z kałuży przez wielką słomkę.

Krzyknęła, lecz nie tylko ją zaskoczył ten hałas. Kilka wron zaczęło krakać na alarm, z traw błyskawicznie wyskoczył w powietrze przerażony bażant.

Trisha stała nieruchomo, z szeroko otwartymi oczami, zapomniane słuchawki kołysały się na końcu kabla przy jej podrapanej, brudnej lewej kostce. Doskonale знаła ten dźwięk: seria strzałów z gaźnika starego samochodu, chyba dostawczego, a może jakiś dzieciak ćwiczył podrasowaną dumę swego życia? W każdym razie tam była kolejna droga, prawdziwa droga!

Bardzo chciała pobiec w tym kierunku, ale wiedziała, że tego nie wolno jej zrobić. Jeśli pobiegnie, ta odrobina sił i energii, która jej jeszcze została, wypali się w jednym krótkim zryw. Byłoby to doprawdy coś strasznego. Zemdleć i być może umrzeć z odwodnienia albo na udar słoneczny w miejscu, z którego słychać samochody, wydawało się mniej więcej tak głupie, jak przegranie meczu, gdy przeciwnikom pozostało tylko jedno wybiecie. Takie głupoty już się zdarzały, ale przecież nie zdarzą się jej!

Ruszyła przed siebie, zmuszając się, by iść powoli, noga za nogą. Cała zmieniła się w słuch, czekała na kolejne strzały gaźnika, na odległy szum silnika, dźwięk klaksonu. Nie usłyszała niczego, absolutnie niczego, i po godzinie marszu zaczęła myśleć, że strzały z gaźnika były tylko kolejną halucynacją; wprawdzie nie wydawały się nią, ale to możliwe...

Wspięła się na szczyt pagórka i spojrzała w dół. Znów kaszlała i krew ściekała jej na dolną wargę, bardzo jasna w blasku słońca, lecz Trisha nie zwracała na to uwagi, nie podniosła nawet ręki, żeby ją wytrzeć.

Widziała, jak dróżka, którą szła, wpada w przyzwoitą drogę gruntową. Zeszła powoli z pagórka i stanęła na niej. Nie widziała śladów kół, ziemia była tu twarda, widziała za to prawdziwe wyjeżdżone koleiny, a pomiędzy nimi nie rosła trawa. Nowa droga biegła pod kątem prostym do dróżki, którą przyszła Trisha, mniej więcej ze wschodu na zachód. W tej chwili dziewczynka podjęła wreszcie słuszną decyzję. Poszła na zachód wprawdzie tylko dlatego, że zaczęła ją boleć głowa i nie chciała iść zwrócona twarzą ku słońcu, ale jednak poszła. Mniej więcej siedem kilometrów od miejsca, gdzie teraz stała, przebiegała droga 96 w New Hampshire, długa wstęga asfaltu, którą przejeżdżało dziennie kilka samochodów osobowych i całe mnóstwo ciężarówek zwożących drewno; to właśnie jedną z nich usłyszała dziś rano; strzelał jej antyczny gaźnik, gdy kierowca redukował biegi przed wzgórzem Kemongus. Dźwięk ten poniósł się w nieruchomym porannym powietrzu na odległość przekraczającą piętnaście kilometrów.

Szła przed siebie, czując nagły przypływ sił. W mniej więcej trzy kwadranse później usłyszała cichy, lecz wyraźny, doskonale jej znany dźwięk.

„Nie bądź głupia, znalazłaś się tam, gdzie wszystko jest nieznanne”.

Być może, ale...

Przechyliła głowę jak pies na starych płytach babci McFarland, tych, które babcia trzymała na strychu. Wstrzymała oddech. Słyszała pulsowanie krwi w skroniach, słyszała świst własnego oddechu przedzierającego się przez zainfekowane gardło. Słyszała bzyczenie komarów krążących jej nad głową... a także szum. Szum opon na asfalcie. Bardzo odległy, ale przecież go słyszała.



Trisha się rozpląkała.

– Proszę, niech to nie będzie moja wyob...

Za plecami usłyszała głośniejszy szum, i nie był to już szum wiatru w gałęziach, o nie. Nawet gdyby udało jej się przekonać samą siebie (nawet rozpaczliwie i na kilka sekund), że owszem, to tylko wiatr, to już na wiatr nie mogła zwalić trzasku łamanych gałęzi. I następnego, głośniejszego trzasku i poszumu złamanego, padającego małego drzewka, które stanęło mu na drodze. Jemu. Stworowi. To on pozwolił jej dotrzeć wprost do miejsca, w którym mogła zostać uratowana, pozwolił jej dotrzeć do miejsca, w którym słyszała głosy ze szlaku, tak głupio, tak beztrosko opuszczonego. To stwór obserwował, jak powoli i boleśnie wędruje przez las, obserwował być może z rozbawieniem, być może z czymś w rodzaju boskiego współczucia, zbyt strasznego, by w ogóle o nim myśleć. Lecz teraz skończył z obserwacją, nie miał zamiaru dłużej czekać.

Powoli, przerażona do szpiku kości, lecz zarazem czując spokój wywołany końcem rozterek, poczuciem nieuchronności, Trisha odwróciła się, by stanąć twarzą w twarz z Bogiem Zagubionych.

## Końcówka dziewiętej: ratowanie wyniku meczu

To coś wyłoniło się spośród drzew i Trisha najpierw się zdziwiła: „Jest tylko tym? Jest i było tylko tym?”. Dorosły mężczyzna wiałby w panice, widząc, jak spomiędzy rosnących przy drodze krzaków wybiega chwiejnie *Ursus americanus* – dorosły, północnoamerykański czarny niedźwiedź, ważący przeszło dwieście kilo – Trisha była jednak przygotowana na coś doprawdy przerażającego, coś wyrosłego w samej głębi nocy.

Liście i osty czepiały się lśniącego futra stwora. W łapie – łapie jak ręka, kaleka, lecz uzbrojona w przerażające pazury – trzymał gałąź niemal całkowicie obdartą z kory; przypominała drewnianą różdżkę czarodziejską, a może berło? Wpadł na środek drogi, kołysząc się komicznie z boku na bok. Przez chwilę stał na czterech łapach, po czym z cichym chrząknięciem wyprostował się i wówczas Trisha zrozumiała, że nie jest to wcale czarny niedźwiedź. Jej pierwszy wniosek był trafny. Stwór rzeczywiście przypominał niedźwiedzia, a jednak był to Bóg Zagubionych... i przyszedł po nią.

Patrzył na nią czarnymi oczami, które wcale nie były oczami, tylko oczodołami. Ciemnym nosem węszył w powietrzu, a potem podniósł gałązkę do pyska. Podwinął wargi, ukazując dwa rzędy wielkich, pozieleniałych kłów. Posłał koniec gałęzi, przez chwilę przypominając małe dziecko z lodami na patyku, po czym podniósł ją do pyska powoli, jakby uroczyście, i przegryzł w połowie. W lesie panowała całkowita cisza; w tej ciszy Trisha usłyszała bardzo wyraźnie trzask pękającej gałęzi; taki sam odgłos wydaje miażdżona w zębach kość. Tak zmiażdżone zostanie jej ramię w szczękach potwora, jeśli zdoła on je przegryźć. Nie, nie jeśli – kiedy.

Wciągnął szyję, nastawił uszy i dziewczynka dostrzegła, że porusza się w swej własnej ciemnej galaktyce muszek, dokładnie tak jak ona. Jego cień, długi w promieniach porannego słońca, sięgał niemal jej reeboków. Dzieliło ich mniej niż dwadzieścia metrów.

Przyszedł po nią.

– Uciekaj! – powiedział Bóg Zagubionych. – Uciekaj przede mną, może szybciej dobiegniesz do drogi? Ciało niedźwiedzia jest na razie powolne, nie naźrał się jeszcze z wiosną, w lesie nie było za dużo pożywienia. Uciekaj. Być może pozwolę ci żyć.

„Ucieknę” – pomyślała, lecz natychmiast odpowiedział jej głos twardej ślicznotki: „Nie uciekniesz. Kochanie, przecież ty się ledwie trzymasz na nogach!”.

Stwór, który nie był niedźwiedziem, stał, gapiąc się na nią. Poruszał uszami, wokół jego trójkątnego łba unosiła się chmura muszek. Ciało pokryte miał lśniącym, zdrowym futrem. W łapie nadal trzymał ułomek gałęzi. Poruszał szczękami powoli, z namysłem, spomiędzy zębów wypadały mu jej małe kawałki; niektóre lądowały na ziemi, niektóre przylepiały się do pyska. W oczodołach udających oczy roilo się owadzie życie; pełno tam było robaków, małych muszek, larw komarów i jeden Bóg wie, czego jeszcze; żywa galareta, przypominająca bagno, które Trisha musiała sforsować po drodze.

– Zabiłem jelenia. Obserwowałem cię, otoczyłem cię moim kręgiem. Uciekaj przede mną. Oddaj mi hołd stopami, a może pozwolę ci żyć.

Las zamarł w ciszy, dysząc kwaśnym zapachem zieleni. Trisha oddychała hałaśliwie przez obolałe gardło. Stwór przypominający niedźwiedzia przyglądał jej się arogancko z wysokości ponad dwóch metrów. Łeb miał w niebiosach, szponami powstrzymywał ziemię. Spojrzała na jego szpony, na jego łeb i zrozumiała, co musi zrobić.

Musi ocalić zwycięstwo.

„W naturze Boga leży to, iż pojawia się w końcówce dziewiętej” – powiedział jej Tom. A jaki był sekret ratowania zwycięstwa? Pokazanie, kto jest lepszy. Każdego można pokonać... ale nie wolno dopuścić do sytuacji, w której człowiek pokonuje sam siebie.

Najpierw jednak trzeba stworzyć wokół siebie tę strefę bezruchu, strefę, która wykwita z ramion i otula ciało płaszczem pewności. Można cię pokonać, ale nie pokonasz sam siebie. Nie możesz pozwolić sobie na narzucenie pewnej piłki, nie masz dokąd uciec.

– Woda z lodem – powiedziała głośno i stwór stojący pośrodku drogi przekrzywił łeb, co upodobniło go do monsturalnej wielkości psa czekającego na komendę pana. Nastawił uszu. Trisha wyciągnęła rękę, przesunęła czapkę tak, jak należy ją nosić, daszkiem do przodu, po czym naciągnęła ten daszek na oczy, upodabniając się możliwie jak najbardziej do Toma Gordona. Obróciła się tak, by stanąć twarzą ku prawej krawędzi drogi, i zrobiła krok do przodu, szeroko rozstawiając nogi, z lewą skierowaną w stronę niby-niedźwiedzia. Cały czas patrzyła na niego, wlepiała wzrok w jego oczodoły, widziała je mimo tańczącej wokół nich chmury muszek. „Do tego wszystko się sprowadza – powiedział Joe Castiglione. – Panie i panowie, proszę zapiąć pasy”.

– Jeśli masz się ruszyć, rusz się! – krzyknęła. Odpięła walkmana od paska spodni, wyrwała przewód słuchawek i upuściła je na ziemię. Wsunęła trzymającą urządzenie dłoń za plecy i zaczęła nim obracać, szukając najlepszego uchwytu. – Mam w żyłach wodę z lodem i obys zamarzł, jeśli mnie ugryziesz. Dawaj, ty cholero! Wybijaj i niech cię diabli!

Stwór puścił gałąź i opadł na cztery łapy. Przednimi orał twardą powierzchnię drogi niczym rozdrażniony byk, wyrывая pazurami całe kawały ziemi. Nagle ruszył ku dziewczynce niezdarnie, lecz z oszukańczą, niezwykłą szybkością. Położył przy tym uszy po sobie, podwinął wargi i oto Trisha usłyszała dobiegające z jego paszczy brzęczenie, które rozpoznała natychmiast – nie było brzęczeniem pszczół, lecz os. Bóg Zagubionych przyjął dla jej oczu ciało niedźwiedzia, lecz wewnątrz odpowiadało lepiej jego naturze; wewnątrz był pełen os. Ależ oczywiście. Czyż kapłan w czarnej szacie tam, nad strumieniem, nie był jego prorokiem?

– Uciekaj – ostrzegł, zbliżając się do niej; jego wielki tyłek przechylał się na boki. Stwór poruszał się z dziwnym wdziękiem, choć darł pazurami ziemię, a na jej twardej powierzchni zostawiał po sobie kulki nawozu. – Uciekaj, to twoja ostatnia szansa.

Tylko że jej prawdziwą ostatnią szansą był bezruch.

Bezruch i być może dobra, twarda, podkręcana piłka.

Trisha złożyła dłonie, przyjmując odpowiednią postawę. Walkman nie wydawał się jej już walkmanem, lecz piłką do baseballu. Nie było tu wprawdzie wiernych z Fenway, powstających na równe nogi w tym Bostońskim Kościele Baseballowym, nie słyszała rytmicznego klaskania w dłonie, nie widziała sędziów i chłopców opiekujących się sprzętem, ale była ona i zielony, leśny bezruch, i gorące poranne słońce, i stwór przypominający niedźwiedzia, lecz wewnątrz pełen os. Pozostał jej tylko bezruch i teraz już wiedziała, jak musi się czuć Tom Gordon, stojący w pozycji w oku cyklonu, tam gdzie ciśnienie spada do zera, gdzie nie istnieje dźwięk, a rzeczywistość sprowadza się do jednego: proszę zapiąć pasy.

Stała na pozycji, pozwalając, by bezruch ogarnął ją swym płaszczem. Oczywiście, rodził się z ramion, z barków. Stwór może teraz ją zjeść, może ją pokonać. Może zrobić jedno i drugie. Ale ona nie pokona sama siebie.

„I nie ucieknę”.

To coś zatrzymało się naprzeciw niej. Wyciągnęło szyję, zbliżając swój pysk do jej buzi, jakby chciało ją pocałować. W miejscu oczu miało dwa kręgi, w których wirowało życie, owadzie wszechświaty, pełne rojących się robaków. Brzęczały, kłębiły się, walczyły o najlepszą pozycję w kanałach prowadzących do niewyobrażalnego mózgu bestii, a kiedy ta otworzyła pysk, Trisha dostrzegła, że gardło ma pełne os, obrzydliwych, tłustych fabryk jadu, pełzających po resztkach gałęzi i strzępie różowych wnętrzości jelenia, który służył stworowi za język. Oddech stwora był wilgotny, śmierdział bagnem.

Dostrzegła to wszystko, lecz na niczym nie skupiła uwagi. Spojrzała za bestię. Veritek dał znak. Wkrótce narzuci, na razie jednak trwała w bezruchu. Trwała w bezruchu. Niech wybijający czeka, niech przewiduje, jaką dostanie piłkę, niech utraci koncentrację, niech się zastanawia, niech uwierzy, że dostanie akurat taki narzut, jakiego się nie spodziewa.

Niby-niedźwiedź obwąchał delikatnie jej twarz. Z jego nosa wypęzwały robale, inne wpełzały do środka. Muszki fruwały między dwiema połączonymi twarzami, jedną włóchatą, drugą gładką. Siadały na wilgotnych, szeroko otwartych oczach Trishy. Grubo ciosany pysk stwora zmieniał się, przekształcał, stawał się podobny do twarzy jej nauczycieli i przyjaciół, rodziców i brata, obcego, który mógłby zaproponować, że ją podwiezie, kiedy szła ze szkoły do domu. Obcy – znaczy groźny, tego uczyli ją w pierwszej klasie, obcy znaczy groźny. Cuchnął śmiercią, chorobą i wszystkim, co oznaczało chaos; brzęczenie jadowitych os, pomyślała, jest przecież prawdziwym Niesłyszalnym.

Powstał na zadnie nogi, kołysząc się lekko z boku na bok, jakby się wsłuchiwał we własną, potworną muzykę. Zamachnął się na Trishę łapą, na razie jednak tylko dla zabawy, tak że pazury minęły jej twarz o kilkanaście centymetrów. Brudne od ziemi szpony przeleciały jednak wystarczająco szybko, by spowodowany tym ruchem pęd powietrza odrzucił dziewczynce włosy z czoła. Osiały na miejscu delikatnie jak nasiona dmuchawca, a Trisha się nie poruszyła. Stała na pozycji, z oczami utkwionymi w jakiś punkt poza podbrzuszem niedźwiedzia, gdzie niebieskobiałe futro rosło w kształcie błyskawicy.

Spójrz na mnie.

– Nie!

Spójrz na mnie!

Było zupełnie tak, jakby niewidzialna dłoń złapała ją za szyję tuż przy szczęce i poderwała jej głowę do góry. Powoli, nie chcąc tego, lecz zbyt słaba, niezdolna do stawiania oporu, Trisha podniosła wzrok. Spojrzała w puste ślepiea niby-niedźwiedzia i zrozumiała, że ten ma zamiar ją zabić niezależnie od wszystkiego. Odwaga, jak widać, nie wystarczy, lecz co z tego? Jeśli dysponuje się jedynie odrobiną odwagi, co z tego?

Naszedł czas ratowania wyniku.

Nie myśląc o tym, co robi, Trisha cofnęła lewą stopę do prawej i wykonała zamach; nie ten, którego nauczył ją tata za domem, lecz ten, którego nauczyła się z telewizji, obserwując Toma Gordona. Kiedy znów wysunęła się do przodu, podnosząc prawą rękę do prawego ucha i odwodząc ją dalej, odchylając się, ponieważ nie miało to być zwykłe, treningowe narzucenie, nie próbowała niczego wymyślnego, lecz strzelała prawdziwą bombę, jakiej jeszcze nie widziano, stwór podobny do niedźwiedzia zrobił szybki, niezdamny krok wstecz. Czy kłębiące mu się w oczach robale, którym zawdzięczał coś w rodzaju

widzenia, zarejestrowały piłkę w jej ręku jako broń? Czy może zaskoczył go agresywny, groźny ruch: podniesiona dłoń, krok zrobiony w przód, choć przecież powinna cofnąć się, odwrócić, uciec. Stwór chrząknął ze zdumieniem. Mała chmurka os wyleciała mu z pyska niczym żywa para. Próbował utrzymać równowagę, gdy rozległ się strzał.

Mężczyzna, który zawędrował tu tego ranka i jako pierwszy człowiek od dziewięciu dni spostrzegł Trishę McFarland, był zbyt wstrząśnięty, by choćby próbować łączyć na policji na temat tego, co robił w lesie z powtarzalnym sztucerem: a mianowicie miał zamiar ustrzelić sobie jelenia i do diabła z okresem ochronnym! Nazywał się Travis Herrick i nie zamierzał wydawać pieniędzy na jedzenie, jeśli koniecznie nie musiał. Miał na co wydawać pieniądze: na bilety na loterię, na przykład, no i oczywiście na piwo. W każdym razie nie był sądzony pod żadnym zarzutem, nie skazano go nawet na grzywnę, nie zabił także stwora, którego dostrzegł, górującego nad drobną dziewczynką, nieruchomą i tak dzielnie stawiającą mu czoło.

– Gdyby tylko się ruszyła, kiedy do niej podszedł, toby ją rozerwał na strzępy – mówił Herrick. – Cud boski, że i tak jej nie zabił. Pewnie ujarzmiła go spojrzeniem, jak na tych starych filmach z Tarzanem. Wyszedłem zza wzniesienia i zobaczyłem ich, pewnie gapilem się na nich ze dwadzieścia sekund, albo nawet minutę, w takiej chwili człowiek czasu nie liczy. Nie mogłem strzelać. Byli po prostu za blisko siebie. Bałem się, że trafię dziewczynkę. A potem ona się poruszyła. Miała coś w ręku i zamachnęła się tym czymś, zupełnie jakby narzucała piłkę. No i ten ruch go zaskoczył. Cofnął się i jakby stracił równowagę. Od razu skapowałem, że to jedyna szansa dla tej małej, więc poniosłem sztucer do ramienia i wystrzeliłem.

Obyło się bez rozprawy, obyło się bez grzywny. Zamiast jednego i/lub drugiego Travis Herrick doczekał się własnej platformy podczas parady z okazji Czwartego Lipca, w 1998 roku w Grafton Notch. Tak jest, mała!

Trisha usłyszała strzał, rozpoznała go jako strzał, dostrzegła też, jak nastawione ucho bestii rozdziera się na czubku niczym kawałek papieru. Zobaczyła w tym rozdarciu kawałek błękitnego nieba, a także tryskające łukiem w powietrze czerwone krople krwi, niewiele większe od jagód. W tej samej chwili zorientowała się, że niedźwiedź znów jest niedźwiedziem, ma ślepia wielkie, tępe i niemal komicznie zdumione. Zresztą może przez cały czas był to zwykły niedźwiedź?

Tyle że tak naprawdę wiedziała lepiej.

Nie wstrzymała ruchu, narzuciła piłkę. Trafiła go w dziesiątkę, wprost między ślepia i – cuda, ludziska, kto tu mówi o halucynacjach! – widziała wyraźnie, jak dwa paluszki spadły na drogę.

– Wywołany trzeci strike! – krzyknęła i na dźwięk jej ochryplego, radosnego, triumfalnego, załamującego się głosu ranny niedźwiedź nie wytrzymał i uciekł. Opał na cztery łapy, przyspieszał niczym wyścigowy samochód, krew płynęła mu z rozdartego ucha, kręcił tyłkiem i pędził jak oszalały. Huknął kolejny strzał, Trisha poczuła, jak pęd powietrza od kuli mijającej głowę o kilkanaście centymetrów po prawej rozwiewa jej włosy, dostrzegła kłęb kurzu wznoszący się z drogi, w którą uderzył pocisk, spory kawałek za niedźwiedziem, po czym miś skręcił w lewo i znikł w lesie. Dziewczynka przez chwilę widziała jeszcze błysk jego lśniącego czarnego futra, a potem małe drzewka zadrzały w parodii strachu i po zwierzęciu nie było już śladu.

Trisha się odwróciła. Zobaczyła niskiego mężczyznę w spodniach w zielone plamy, zielonych gumowych butach i luźnym podkoszulku, biegnącego ku niej co sił w nogach. Mężczyzna trzymał karabin w rękach wysoko wzniesionych nad głową, zupełnie jak atakujący Indianin w starych

westernach. Nie zaskoczyło jej wcale, że na podkoszulku ma logo Red Soxów; najwyraźniej każdy mężczyzna w Nowej Anglii miał przynajmniej jedną koszulkę tej drużyny.

– Hej, mała! – krzyknął. – Hej, mała, nic ci się nie stało? Jezu Chryste Wszchemogący, to był cholerny niedźwiedź, nic ci się nie stało?

Trisha zatoczyła się, mniej więcej w jego kierunku.

– Trzeci strike – powiedziała, ale sama nie była w stanie usłyszeć swoich słów. Większość energii, którą jeszcze zachowała, wydatkowała na ten ostatni krzyk. Mogła już mówić wyłącznie niemal niesłyszalnym szeptem. – Trzeci strike, rzuciłam podkreconą piłkę i zaskoczyłam go tak, że nawet się nie poruszył.

– Co? – Mężczyzna zatrzymał się przy niej. – Nie słyszę, co mówisz, kochanie, powtórz, proszę.

– Widziałeś? – spytała, mając na myśli piłkę, tę nieprawdopodobną podkreconą piłkę, która więcej niż pękła – rozleciała się z trzaskiem. – Widziałeś?

– Tak... widziałem...

Ale tak naprawdę Herrick nie był pewien, co właściwie widział. W ciągu tych kilku sekund, kiedy czas stanął, kiedy dziewczynka i niedźwiedź wpatrywali się w siebie nawzajem, nie był pewien, wcale nie był pewien, czy ma do czynienia z niedźwiedziem. Ale nigdy nikomu o tym nie powiedział. Ludzie wiedzieli, że pije, tylko tego brakowało, aby zaczęli go uważać za szaleńca. A poza tym miał w tej chwili przed oczami wyłącznie małą dziewczynkę, która wyglądała jak lalka zrobiona z patyczków, trzymana w kupie przez brud i podarte ubranie. Nie pamiętał jej imienia, ale skojarzył oczywiście, kim jest, mówili o niej w radiu i w telewizji też. Nie miał pojęcia, jakim cudem dotarła tak daleko na północny zachód, ale doskonale się orientował, kim jest.

Trisha potknęła się o własne nogi i byłaby się przewróciła, gdyby Herrick jej nie przytrzymał. Duma jego życia, krąg .350, wypalił przy tym tuż przy jej uchu, ogłuszając ją, ale dziewczynka prawie nie zwróciła na to uwagi. Wszystko to wydawało się jej w jakiś sposób normalne.

– Widziałeś? – spytała jeszcze raz. Nie słyszała własnego głosu, nie była nawet całkiem pewna, czy rzeczywiście coś powiedziała. Drobnym mężczyzną wyglądał na zdumionego, przerażonego i niezbyt bystrego, ale, jej zdaniem, był także łagodny. – Rzuciłam mu podkreconą piłkę, przeraziłam go i zamarłam, widziałeś?

Poruszała wargami, ale nie wiedziała, co właściwie mówi. Mężczyzna odłożył jednak sztucer na drogę, co przyjęła z ulgą. Podniósł ją tak szybko, że aż zakreśliło jej się w głowie; zwymiotowałaby pewnie, gdyby w ogóle miała czym wymiotować. Rozkaszała się. Własnego kaszlu także nie słyszała, za głośno dzwoniło jej w uszach, czuła jednak ten kaszel w piersiach i w płucach, czuła go jako ciągnięcie.

Chciała powiedzieć temu mężczyźnie, jak bardzo lubi być noszona, jak bardzo cieszy się z tego, że ktoś ją uratował, chciała mu także powiedzieć, że niedźwiedź uciekał, nim on wystrzelił. Widziała zdumienie na pysku zwierzęcia, widziała, że przestraszyło się jej, kiedy z bezruchu przeszła w ruch. Chciała powiedzieć mężczyźnie, który biegł teraz, trzymając ją na rękach, jedną ważną, bardzo ważną rzecz, ale podskakiwała, kaszłała, w głowie jej dzwoniło i nie wiedziała już, czy mówi coś, czy nie.

Mimo to próbowała powiedzieć: „Udało mi się, uratowałam wynik meczu”, aż wreszcie straciła przytomność.

## Po meczu

Znów była w lesie i weszła na polankę, którą doskonale знаła. Pośrodku polanki, przy pieńku, który nie był pieńkiem, lecz kółkiem z zardzewiałym kółkiem na szczycie, stał Tom Gordon. Podrzucał kółko i łapał je, nawet na nie nie patrząc.

„Przecież już mi się to śniło” – pomyślała, ale kiedy podeszła do Toma, zobaczyła, że zmienił się jeden szczegół: zamiast szarego wyjazdowego stroju Tom miał na sobie biały kostium miotacza z wyszytym czerwonym jedwabiem numerem 36. A więc skończyły się mecze na wyjazdach, Sox wrócili na Fenway, wrócili do domu. Skończyły się mecze wyjazdowe. Tylko że ona i on byli tutaj, znów na polanie.

– Tom? – spytała nieśmiało.

Tom Gordon spojrzał na nią, unosząc brwi. Zręcznymi palcami bawił się metalowym kółkiem. Podrzucał je w górę i w dół, w górę i w dół.

– Tom? – powtórzyła. – Uratowałam zwycięstwo.

– Wiem, że uratowałaś zwycięstwo, skarbie. Odwaliłaś kawał dobrej roboty.

Podrzucał kółko w górę i dół, w górę i w dół. Do kogo dzwonicz, kiedy kółko ci pęknie?

– Ile z tego było rzeczywiście prawdą?

– Wszystko – odpowiedział Tom, jakby nie miało to wielkiego znaczenia. – Odwaliłaś kawał dobrej roboty.

– Głupio zrobiłam, schodząc ze szlaku, prawda?

Tom Gordon spojrzał na nią lekko zaskoczony. Podniósł daszek czapki tą dłonią, która nie podrzucała metalowego kółka. Uśmiechnął się, z tym uśmiechem wyglądała bardzo młodo.

– Z jakiego szlaku? – odpowiedział pytaniem.

– Trisha? – Za jej plecami rozległ się kobiecy głos. Brzmiał jak głos matki, ale co mama miała do roboty tu, w lesie?

– Prawdopodobnie pani nie słyszy – powiedział inny kobiecy głos, którego nie znała.

Trisha się odwróciła. Las ciemniał, drzewa zamazywały się, stawały nierealne, przypominały teatralne tło, widziała jakieś poruszające się wśród nich kształty, przestraszyła się, pomyślała: „Kapłan os, kapłan os wraca!”, ale zdała sobie sprawę z tego, że śni, i strach minął. Spojrzała na Toma, lecz Toma już nie było, pozostał tylko złamany słupek z metalowym kółkiem na górze... oraz leżąca w trawie kurtka do rozgrzewki, z nazwiskiem GORDON na plecach. Dostrzegła go przy ścianie drzew po drugiej stronie polanki; biała sylwetka, przypominająca ducha.

– Trisha, co leży w naturze Boga? – zawołał.

– Pojawiać się w końcówce dziewiętej! – próbowała odkrzyknąć, ale z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk.

– Popatrzcie – powiedziała matka. – Porusza ustami.

– Trish? – spytał Pete głosem, w którym brzmiał niepokój... i nadzieja. – Trish, obudziłaś się?

Trisha otworzyła oczy i las odszedł gdzieś daleko, w ciemność, która miała pozostać w niej na zawsze. „Z jakiego szlaku?” Leżała na łóżku w szpitalnej sali. Włożono jej coś do nosa, a coś innego, rurkę, wbito w ramię. Na piersi czuła ciężar, płuca były czymś wypełnione. Przy łóżku stali tata, mama i brat, a za nimi, duża i biała, pielęgniarka; to ona wyjaśniła: „Prawdopodobnie pani nie słyszy”.

– Trisha – powiedziała zapłakana mama. Pete także płakał. – Trisha, skarbie. Moja maleńka. – Ujęła ją za dłoń, w którą nie wbito rurki.

Dziewczynka próbowała się uśmiechnąć, ale wargi miała za ciężkie, nie chciały się unieść, nawet w kącikach. Poruszyła oczami. Na siedzeniu przystawionego do łóżka krzesła dostrzegła czapkę Red Soxów, a na jej daszku czarnoszary cień. Niegdyś był to autograf Toma Gordona.

Próbowała powiedzieć: „tato”, ale tylko zakaszła. Cicho, jednak nawet ten cichy kaszel sprawił jej ból. Skrzywiła się.

– Nie próbuj mówić, Patricio. – Z głosu i postawy pielęgniarki wynikało jasno, że chce wyrzucić stąd rodzinę Trishy i że zaraz zmusi wszystkich do wyjścia. – Jesteś bardzo chora. Masz zapalenie płuc. Obustronne zapalenie płuc.

Mama nie słyszała chyba tej przemowy. Siedziała na łóżku, gładząc córkę po wychudzonej rączce. Nie szlochała, ale łzy cały czas spływały jej z oczu na policzki. Obok niej stał Pete, także zapłakany. Jego łzy ujęły Trishę bardziej niż łzy matki, choć mimo wszystko brat nadal wydawał jej się dość głupawy.

Za nimi, obok krzesła, stał tata.

Tym razem nie próbowała mówić, spojrzała tylko na ojca i samym ruchem warg wypowiedziała jedno słowo: „tato”. Ojciec dostrzegł jej wzrok i pochylił się ku niej.

– Co, skarbie? O co ci chodzi?

– Dość tego – wtrąciła się pielęgniarka. – Aparatura wskazuje, że dziewczynka jest podekscytowana, a tego właśnie nie chcemy. Za dużo interesujących rzeczy przydarzyło jej się ostatnio. Gdybyście państwo zechcieli mi teraz pomóc... zechcieli jej pomóc...

Mama wstała.

– Kochamy cię, Trisha – powiedziała. – Dzięki Bogu, jesteś już bezpieczna. Będziemy przy tobie, ale teraz powinnaś się przespać. Larry...

Larry nie zwrócił najmniejszej uwagi na żonę. Stał pochyłony, opierając się palcami o łóżko.

– O co ci chodzi, kochanie? Czego chcesz?

Trisha przesunęła wzrok z jego twarzy na krzesło, potem na twarz i z powrotem na krzesło. Tata wyglądał na zaskoczonego – była pewna, że nie zrozumie, o co jej chodzi – ale nagle się rozjaśnił. Z uśmiechem podniósł czapkę i próbował włożyć jej na głowę.

Uniosła rękę, po której gładziła ją mama; ręka ważyła tonę, ale jakoś się udało. Trisha rozwarła dłoń. Zacisnęła palce. Rozwarła dłoń.

– Dobrze, kochanie. Oczywiście.

Włożył jej czapkę do ręki, a kiedy zacisnęła na niej palce, pocałował je. Trisha rozplakała się wówczas, tak samo bezgłośnie jak mama i brat.

– Doskonale – powiedziała pielęgniarka. – Wystarczy tego dobrego. Teraz naprawdę musicie państwo...

Trisha spojrzała na nią i pokręciła głową.

– Tak? – Pielęgniarka się zdenerwowała. – I co jeszcze? Jezu drogi...



Trisha powoli przełożyła czapeczkę do ręki, w którą wkluto jej igłę kroplówki. Cały czas patrzyła na ojca, upewniając się, czy ją obserwuje. Była zmęczona. Zaraz zaśnie. Ale jeszcze nie teraz. Musi powiedzieć, co ma do powiedzenia.

Tata nie spuszczał z niej oka. Doskonale.

Przesunęła prawą rękę wzdłuż ciała, nie odrywając wzroku od ojca, ponieważ tylko on mógł ją zrozumieć, a jeśli zrozumie, przetłumaczy. Postukała w daszek czapki, a potem prawym wskazującym palcem wskazała na sufit.

Uśmiech, który rozjaśnił twarz taty, oczy, usta, wszystko, był najwspanialszą, najśłodszą rzeczą, jaka zdarzyła jej się w życiu. Jeśli w ogóle istniał jakiś szlak, był właśnie tu. Ponieważ ojciec zrozumiał, mogła zamknąć oczy i wreszcie pogrążyć się we śnie.

Gra skończona.

## Postscriptum autora

Po pierwsze, pozwoliłem sobie zmienić nieco kalendarz meczów Red Soxów na 1998 rok, ale upewniam was, że były to zmiany bardzo nieznaczne.

Tom Gordon istnieje naprawdę i naprawdę narzuca w końcówkach meczów Red Soxów, ale Tom Gordon z tej książki jest tworem wyobraźni. Opinia, jaką wielbiciele wyrabiają sobie o ludziach, którym dana została choćby odrobina sławy, jest zawsze tworem wyobraźni, co mogę potwierdzić moim osobistym doświadczeniem. Jednak pod pewnym względem prawdziwy Gordon i Gordon, którego wyobrażała sobie Trisha, są identyczni: obaj wskazują palcem niebo, kiedy uda im się uratować wynik meczu.

W 1998 roku Tom „Flash” Gordon zaliczył czterdzieści cztery uratowane mecze, najwięcej w lidze. Udało mu się też zrobić to czterdzieści trzy razy z rzędu, co jest rekordem Amerykańskiej Ligi Baseballu. Niestety, sezon skończył się dla niego nieszczęśliwie. Postępując się słowami Borka Rozporka, można powiedzieć, że Bóg jest zapewne zapalonym kibicem sportowym, ale niekoniecznie kibicem Red Soxów. W czwartym meczu play-offów grupy, przeciw Indianom, oddał trzy wybiecia i dwie bazy. Red Soxci przegrali dwa do jednego. W niczym nie umniejsza to jednak jego wyczynu, bez tych czterdziestu czterech uratowanych meczów Red Soxci skończyliby prawdopodobnie na czwartym miejscu w grupie, a nie zwyciężyli w dziewięćdziesięciu jeden meczach, co było drugim wynikiem amerykańskiej ligi w 1998 roku. Jest takie powiedzenie, z którym zgodziłaby się pewnie większość zawodników, jak Tom Gordon ratujących mecze: „Czasami zjadasz niedźwiedzia... a czasami niedźwiedź zjada ciebie”.

To, co jadła Trisha, można naprawdę znaleźć w lasach północnej Nowej Anglii późną wiosną. Gdyby nie była dziewczynką z miasta, z pewnością żywiłaby się znacznie lepiej: orzechami, korzeniami, nawet trzciną. Mój przyjaciel, Joe Floyd, pomógł mi w opracowaniu tej części książki. To od niego dowiedziałem się, że paprocie w stadium jadalnym można znaleźć w końcu czerwca na bagnach w gęstych lasach północy.

Lasy też są prawdziwe. Jeśli kiedyś odwiedzicie je podczas wakacji, zabierzcie ze sobą kompas i dobre mapy... i nie próbujcie zbaczać ze szlaku.

Stephen King

Longboat Key, Floryda

1 lutego 1999